



Masquerade

a Blue Bloods novel

MELISSA DE LA CRUZ

Maskarada

Blue Bloods [2]

Melissa de La Cruz

SAN VAL INC (2008)

Plik na stronie został zamieszczony jedynie w celach promocyjnych. Od momentu ściągnięcia na dysk plik należy usunąć w ciągu 24 h

Melissa de la Cruz

Maskarada

Tłumaczenie: M. Kaczarowska

Wyd. Jaguar 2010

*Mojemu bratu, Francisowi de la Cruz,
wiernemu sprzymierzeńcowi i bratniej duszy.*

*A także mojemu mężowi, Mike'owi Johnstonowi,
bez którego nie istnieliby srebrno krwiści.*

JEDEN

Gołębie objęły we władanie plac świętego Marka. Tłoczyły się ich setki: tłuste, szare, przysadziste i milczące, dziobały skórki od *sfogliatelle* i *pane uva*, pozostawione przez beztrojskich turystów. Nawet w samo południe słońce kryło się za chmurami, a miasto spowijał obłok smogu. Puste gondole kołysały się na przystani, ubrani w pasiaste koszulki gondolierzy wspierali się na wiosłach, czekając na klientów, którzy nie przychodzili. Teraz, podczas odpływu, na fasadach budynków dawały się zauważyć ciemne ślady przyptywów.

Schuyler Van Alen oparła łokcie na chwiejnym kawiarnianym stoliku i ułożyła głowę na rękach, kryjąc podbródek w obszernym golfie. Była błękitnokrwistą wampirzycą, ostatnią z Van Alenów. Ta niegdyś znakomita nowojorska rodzina poprzez swe wpływy i hojność odegrała znaczącą rolę w budowie świetności obecnego Manhattanu. Dawniej nazwisko Van Alen było synonimem władzy, przywilejów i patronatów. Dawniej. Potem rodzinna fortuna kurczyła się przez wiele lat, a Schuyler przyzwyczała się raczej liczyć każdy grosz, niż szaleć na zakupach. Jej ubranie — czarny golf do pół uda, krótkie legginsy, kurtka pilotka i zniszczone buty motocyklowe — pochodziło z wyprzedaży w tanich sklepach.

Każda inna dziewczyna w tak obszarpanym stroju kojarzyłaby się raczej z bezdomnym włóczęgą, ale w przypadku Schuyler ubiór prezentował się równie pięknie jak szaty królewskie, dodatkowo podkreślając jej delikatną twarz w kształcie serca, Z jasną skórą koloru kości słoniowej, głęboko osadzonymi niebieskimi oczami i gęstymi, kruczoczarnymi włosami, była oszałamiająco, nieskończenie uroczym stworzeniem. Jeszcze piękniej wyglądała uśmiechnięta - ale na to dziś się raczej nie zanosilo.

— Rozchmurz się. — Oliver Hazard-Perry podniósł do ust małą filiżankę espresso. - Czy nam się uda, czy nie, przynajmniej odsapnęliśmy trochę. Przyznaj, to miasto jest cudowne. Chyba lepiej siedzieć w Wenecji, niż nudzić się na chemii?

Oliver był od dzieciństwa najlepszym przyjacielem Schuyler — chudy przystojniak z falistymi włosami, zaraźliwym uśmiechem i życzliwymi orzechowymi oczami. Był jej powiernikiem i współnikiem, a także, jak niedawno się dowiedziała, jej zausznikiem -

tradycyjnym asystentem i pomocnikiem wampira, kimś w rodzaju wysokiego rangą służącego. To dzięki Oliverowi udało im się tak szybko dostać z Nowego Jorku do Wenecji: zdołał przekonać ojca, żeby zabrał ich ze sobą przy okazji podróży służbowej do Europy.

Mimo prób pocieszenia Schuyler pozostawała ponura. Zaczął się ich ostatni dzień w Wenecji i niczego nie znaleźli. Jutro wrócą do Nowego Jorku z pustymi rękami, a podróż okaże się kompletną klapą.

Metodycznie darła na kawałeczki etykietkę z butelki Pellegrino, starannie odrywając długie paski zielonego papieru. Nie chciała się jeszcze poddawać.

Prawie dwa miesiące wcześniej babka Schuyler, Cordelia Van Alen, została zaatakowana przez srebrnokrwistego, śmiertelnego wroga błękitnokrwistych wampirów. Schuyler dowiedziała się od niej, że podobnie jak błękitnokrwieści, srebrnokrwieści również byli upadłymi aniołami, skazanymi na wieczne życie na Ziemi. Jednakże w odróżnieniu od błękitnokrwistych, przysięgli oni wierność wygnanemu Księciu Niebios, samemu Lucyferowi. Odmówili podporządkowania się Kodeksowi Wampirów i odrzucili surowe normy etyczne, których przestrzeganie miało błękitnokrwistym przynieść odkupienie i umożliwić powrót do Raju.

Cordelia była prawną opiekunką Schuyler, która nigdy nie poznała swoich rodziców. Ojciec

umarł przed jej urodzeniem, a matka niedługo po porodzie zapadła w śpiączkę. Przez większość dzieciństwa Schuyler wyniosła i odległa Cordelia stanowiła jej jedyną rodzinę i niezależnie od wszystkiego dziewczyna kochała swoją babkę.

- Była pewna, że go tu znajdziemy - Schuyler mechanicznie rzucała skórki pieczywa zgromadzonym pod stolikiem gołębom. Powtarzała te słowa, odkąd przyjechali do Wenecji.

Atak srebrnokrwistego osłabi! Cordelię, ale zanim przeszła w stan uśpienia (błękitnokrwiste wampiry były reinkamującymi się nieśmiertelnymi istotami), wymogła na Schuyler obietnicę, że odnajdzie swojego zaginionego dziadka, Lawrence'a Van Alena, który, zdaniem Cordelii, wiedział, jak pokonać srebrnokrwistych. Ostatek sił babka poinstruowała Schuyler, aby wnuczka udała się do Wenecji i spenetrowała labirynt wąskich uliczek i krętych kanałów, poszukując jego śladów.

— Byliśmy już wszędzie. Nikt nie słyszał o Lawrencie Van Alenie ani o doktorze Johnie Carverze — westchnął Oliver, przypominając sobie tuziny pytań, jakie zadali na uniwersytecie, w barze hotelu Cipriani i niemal w każdym dostępnym hotelu, pensjonacie czy willi. Imienia i nazwiska John Carver dziadek Schuyler używał za czasów istnienia kolonii w Plymouth.

— Wiem. Zaczynam podejrzewać, że on w ogóle nie istnieje - odparła Schuyler.

— Może twoja babka niepotrzebnie wysłała cię tutaj. Była osłabiona i oszołomiona — podsunął Oliver. — Może szukamy kogoś, kto w ogóle nie istnieje?

Schuyler zastanowiła się nad słowami przyjaciela. Być może Cordelia się myliła, a Charles Force, przywódca błękitno-krwistych, mimo wszystko miał rację? Ale utrata babki stanowiła dla niej ogromny cios i aby uszanować jej wolę, była absolutnie zdecydowana spełnić ostatnie życzenie starej kobiety.

— Nie mogę tak myśleć, Ollie. Jeśli sobie na to pozwolę, to się poddam. Muszę go znaleźć.

Muszę znaleźć mojego dziadka. Słowa Charlesa Force'a brzmiały tak okropnie...

- Co dokładnie powiedział? - zapytał Oliver. Schuyler wspominała wcześniej, że rozmawiała z Charlesem przed wyjazdem, ale nie zdradzała żadnych szczegółów.

— Powiedział... — Schuyler zamknęła oczy i przypomniała sobie chłodne, nieprzyjemne spotkanie.

Przyszła do szpitala odwiedzić matkę. Piękna Allegra Van Alen, odległa jak zwykle, trwała, zawieszona między życiem a śmiercią. Znalazła się w tym stanie niedługo po narodzinach córki. Schuyler nie była zaskoczona, widząc w jej pokoju innego gościa.

Charles Force klęczał przy łóżku, ale na widok Schuyler szybko wstał, ocierając oczy.

Schuyler współczuła mu trochę. Zaledwie miesiąc temu uważała tego mężczyznę za ucieleśnienie zła, oskarżyła nawet o bycie srebrnokrwistym. Nie mogła się bardziej pomylić.

Charles Force okazał się Michałem o Czystym Sercu, archaniołem, który dobrowolnie opuścił

Niebiosa, aby pomóc swym braciom, wygnanym za poparcie Lucyfera i skażanym na życie na Ziemi w charakterze błękitnokrwistych. Został wampirem z wyboru, nie z powodu grzechu.

Oprócz niego taki status wśród wampirów miała tylko matka Schuyler, Allegra Van Alen.

Allegra była Gabrielą Bez Skazy, Cnotliwą. Michała i Gabrielę łączyła długa i zawikłana historia. Byli wampirzymi bliźniętami, związanymi krwią i odrodzonymi w tym cyklu jako brat i siostra.

Więź oznaczała wieczną przysięgę między błękitnokrwistymi, ale Gabriela zerwała ją, biorąc za męża czerwonokrwistego, swojego familianta, ojca Schuyler.

— Wiesz, czemu twoja matka jest w śpiączce? Czemu chce pozostawać w Śpiączce? — zapytał Charles.

Schuyler skinęła głową.

— Po śmierci ojca przysięgła, że nie weźmie innego familianta. Cordelia mówiła mi, że sama także pragnęła umrzeć.

— Ale nie mogła. Jest wampirem, więc żyje — powiedział gorzko Charles. — Jeśli taki stan można nazwać życiem.

— To był jej wybór - odparła spokojnie Schuyler. Nie podobał jej się osądający ton w głosie Charlesa.

— Wybór— zaklął Charles. — Romantyczny poryw, nic więcej.

- Zwrócił się do Schuyler. - Słyszałem, że jedziesz do Wenecji.

— Jutro wyjeżdżamy — potwierdziła. — Chcę znaleźć mojego dziadka.

Mówi się, że córka Gabrieli przyniesie nam ocalenie, którego oczekujemy, powiedziała jej babka. *Tylko twój dziadek wie, jak pokonać srebrnokrwistych. Pomoże ci.*

Od Cordelii dowiedziała się, że od początku świata srebrno-krwiści polowali na błękitnokrwistych, pożerając ich krew i wspomnienia. Ostatnie ataki miały miejsce w Plymouth, po przybyciu wampirów do Nowego Świata. Cztery lata później, w Nowym Jorku, kiedy Schuyler zaczęła drugą klasę w elitarnym liceum Duchesne, nieszczęście znowu się wydarzyło. Pierwszą ofiarą padła szkolna koleżanka, Aggie Carondolet. Wkrótce po jej śmierci miały miejsce kolejne ataki. Najokropniejsze dla Schuyler było to, że ofiarami stawali się nastoletni błękitnokrwisci, w najbardziej podatnym wieku

- między piętnastym a dwudziestym pierwszym rokiem życia— kiedy nie potrafili jeszcze w pełni panować nad swoimi mocami.

— Lawrence Van Alen jest wyrzutkiem, wygnańcem. Podróż do Wenecji przyniesie ci tylko smutek i rozczarowanie - oznajmił magnat medialny o stalowych oczach.

— Nie szkodzi — mruknęła Schuyler, nie podnosząc wzroku. Mocno ścisnęła brzeg swetra, zwijając go w rulonik. - Pan nadal nie przyjmuje do wiadomości, że srebrnokrwisci wrócili.

Mimo że już tak wielu z nas zginęło.

Ostatni atak miał miejsce niedługo po pogrzebie jej babki. Summer Amory, ubiegłoroczna debiutantka roku, została znaleziona w swoim apartamencie w Trump Tower. Najgorsze było to, że ofiary srebrnokrwistych czekało coś gorszego od śmierci. Kodeks Wampirów bezwzględnie zabraniał przeprowadzania *caerimonia osculor*, świętego pocałunku, picia krwi

- na kimś z ich rodzaju. *Caerimonia* była rytuałem, w przypadku którego obowiązywały surowe zasady. Żaden człowiek nie mógł zostać wykorzystany ponad jego siły ani zabity.

Ale Lucyfer i jego zwolennicy odkryli, że picie krwi innych wampirów zamiast krwi ludzkiej czyni ich potężniejszymi. Czerwonokrwisci noszą w sobie siłę życiową pojedynczej istoty, podczas gdy błękitnokrwisci kryją nieśmiertelną wiedzę i potęgę. Srebrnokrwisci pożerali krew i wspomnienia wampirów, wysysając ofiarę aż do całkowitego wysuszenia i czyniąc ją więźniem szalonej świadomości. Srebrnokrwisci byli wieloma istnieniami uwięzionymi w jednej powłoce. Obrzydliwością.

Grymas niezadowolenia na twarzy Charlesa pogłębił się.

— Srebrnokrwisci zostali zniszczeni. To niemożliwe. Istnieje inne wyjaśnienie tych wypadków. Komitet prowadzi dochodzenie...

— Komitet niczego nie robi! Komitet nie zamierza niczego zrobić! — sprzeciwiła się Schuyler. Znała wersję historii, przy której upierał się Charles Force - o tym, że błękitnokrwisci wygrali decydującą bitwę w starożytnym Rzymie, a on sam pokonał wtedy Lucyfera, znanego jako szalony srebrnokrwisty cesarz Kaligula, ostrzem złotego miecza strącając go w otchłań piekielną.

— Zrobisz, jak zechcesz — westchnął Charles. — Nie będę cię zatrzymywać, ale muszę cię

ostrzec, że Lawrence nie jest nawet w części takim mężczyzną, jakiego chciałaby w nim widzieć Cordelia.

Ujął za podbródek Schuyler, która spojrzała na niego buntowniczo.

— Dbaj o siebie, córko Allegry — powiedział łagodnie.

Schuyler wzdrygnęła się na wspomnienie jego dotyku. Ostatnie dwa tygodnie udowodniały, że być może Charles Force wiedział, o czym mówi. Być może Schuyler powinna przestać zadawać pytania, wrócić do Nowego Jorku i być grzeczną dziewczynką, grzeczną błękitnokrwistą. Taką, która nie podważa motywów ani działań Komitetu. Taką, dla której najważniejszy problem stanowi wybór sukienki na Bal Czterystu w hotelu St. Regis.

Odrzuciła włosy z twarzy i spojrzała błagalnie na swojego najlepszego przyjaciela. Oliver był jej wierną podporą. Przez cały czas pozostawał u jej boku, także w chaosie, jaki zapanował w jej życiu po pogrzebie babki.

— Wiem, że tu jest, czuję to - oświadczyła zdecydowanym głosem Schuyler. - Szkoda, że już musimy wyjeżdżać. - Odstawiła na stół butelkę z całkowicie oderwaną etykietką.

Kelner przyniósł rachunek, a Oliver wyjął ze skórzanego portfela kartę kredytową, zanim Schuyler zdążyła zaprotestować.

Postanowili wybrać się gondolą na ostatnią przejażdżkę po zabytkowym mieście. Oliver pomógł Schuyler wsiąść do łodzi. Jednocześnie oparli się o pluszowe poduszki, tak że ich ramiona się zetknęły. Schuyler odsunęła się odrobinę, trochę zażenowana tą fizyczną bliskością. To było zupełnie nowe uczucie. Dawniej zawsze czuła się całkowicie swobodnie przy Oliverze. Dorastali razem - czy to pluskając się w stawie za domem jej babki w Nantucket, czy śpiąc zwinięci obok siebie w podwójnym śpiworze. Byli ze sobą tak blisko jak rodzeństwo, ale ostatnio uświadomiła sobie, że jego obecność budzi w niej niewyjaśnialny niepokój. Zupełnie jakby pewnego dnia odkryła, że jej najlepszy przyjaciel jest także chłopakiem - w dodatku bardzo przystojnym.

Gondola odbiła od brzegu i rozpoczęła powolną podróż. Oliver robił zdjęcia, Schuyler starała się cieszyć widokami. Ale niezależnie od piękna miasta czuła tylko przyływ bezradności i rozpacz. Co zrobi, jeśli nie uda jej się odnaleźć dziadka? Poza Oliverem nie miała nikogo na świecie. Była bezbronna. Co się z nią stanie? Srebrnokrwisty— jeśli to był srebrnokrwisty—

dwa razy omal jej nie dopadł. Przycisnęła dłoń do szyi, jakby broniąc się przed tamtymi atakami. Kto mógł przewidzieć, czy i kiedy napastnik powróci? I czy zabijanie wreszcie się skończy, na co liczył Komitet - czy też, jak ona przypuszczała, będzie trwało, aż wszyscy zginą?

Schuyler *zadrżała*, choć było ciepło. Spojrzała na drugą stronę kanału, dostrzegając wychodzącą z budynku kobietę.

Kobietę, która wyglądała dziwnie znajomo.

To niemożliwe, pomyślała Schuyler. To nie może być prawda. Jej matka leżała w śpiączce w nowojorskim szpitalu. Nie mogła zatem znaleźć się we Włoszech. Czy może mogła? Czy było coś, czego nie wiedziała o Allegrze?

Jakby słysząc jej myśli, kobieta popatrzyła wprost na Schuyler.

To z całą pewnością była jej matka. Miała delikatne blond włosy Allegry, wąski, arystokratyczny nos, identyczne wystające kości policzkowe, wysmukłą sylwetkę, intensywnie zielone oczy.

— Oliver, to... Boże! — wykrzyknęła Schuyler, ciągnąc przyjaciela za rękaw. Gorączkowo wskazała na tamten brzeg kanału.

— Tak? — odwrócił się Oliver.

— Ta kobieta... To chyba moja... moja matka! Tam! - Schuyler wskazała idącą szybkim krokiem

kobietę, która znikła w tłumie wychodzącym z Pałacu Dożów.

— O czym ty mówisz? — Oliver spojrział we wskazanym przez Schuyler kierunku. - Ta kobieta? Serio? Sky, coś ci odbiło? Twoja matka jest w Nowym Jorku, w szpitalu. W śpiączce

— dodał ze złością.

— Wiem, ale... - zająknęła się Schuyler. - Patrz, jest tam! To ona, przysięgam, że to ona.

— Dokąd się wybierasz? — zapytał Oliver, gdy wstała. - *Co w ciebie wstąpiło? Czekaj.* Sky, siadaj natychmiast! To wszystko strata czasu - mruknął pod nosem.

Spojrziała na niego ze złością.

- Wiesz, nie musiałeś ze mną jechać. Oliver westchnął.

- Jasne. Sama byś przyjechała do Wenecji, akurat! Nigdy w życiu nie dotarłaś nawet do Brooklynu.

Schuyler odetchnęła głęboko, starając się nie stracić z oczu blondynki. Jedyne, czego pragnęła, to wydostać się ze zbyt powolnej łodzi. Oliver mówił prawdę — zaciągnęła u niego wielki dług wdzięczności za wspólną podróż do Wenecji, co nie zmieniało faktu, iż złościło ją, że musi na nim stale polegać. Wygarnęła mu wszystko prosto w oczy.

- Powinnaś na mnie polegać — wyjaśnił cierpliwie Oliver.

— Jestem twoim zausznikiem. Moim zadaniem jest pomóc ci w poruszaniu się po świecie ludzi. Wprawdzie nie wiedziałem, że mam pełnić funkcję biura podróży, ale co mi tam.

- W takim razie pomóż mi - rzuciła Schuyler niecierpliwie.

— Muszę iść... — dokończyła nerwowo. Podjęła decyzję i jednym zgrabnym ruchem przeniosła się z gondoli na chodnik - takiego skoku nie byłby w stanie wykonać żaden człowiek, biorąc pod uwagę, że znajdowali się dobre dziesięć metrów od najbliższej *marciapiede*.

- Czekaj, Schuyler! - krzyknął Oliver. - *Andiamol Segua quella ragazzcil* - ponaglił gondoliera, aby płynął za Schuyler, chociaż był praktycznie pewny, że łódka z jednym wiosłem nie nadaje się do ścigania rozpędzonego wampira.

Schuyler czuła, jak jej wzrok nabiera bystrości, a zmysły się wyostrzają. Zdawała sobie sprawę, że porusza się szybko — odnosiła wręcz wrażenie, iż wszyscy wokół niej zastygli w bezruchu.

Ale kobieta okazała się równie szybka, a może nawet szybsza. Przeskakiwała wąskie kanały przecinające całe miasto, zwinnie unikała motorówek, przelatując tuż ponad rzeką. Schuyler deptała jej po piętach, również zmieniając się w rozmazaną smugę na tle miasta. Poczwała nieoczekiwanie, że cieszy się tym pościgiem, jakby rozciągała mięśnie, o których istnieniu dotąd nie wiedziała.

— Mamo! — krzyknęła w końcu w desperacji, widząc, jak tamta z gracją przeskakuje z balkonu do ukrytego przejścia.

Ale kobieta, nie oglądając się, zniknęła w jednej chwili w drzwiach pobliskiego pałacu.

Schuyler skoczyła idealnie w to samo miejsce, wyrównała oddech i podążyła jej śladem, bardziej niż przedtem zdeterminowana, aby odkryć prawdziwą tożsamość tajemniczej niezna-jomej.

Mimi Force odetchnęła z zadowoleniem, lustrując wzrokiem zgromadzonych w sali Jeffersona w Duchesne. Było późne poniedziałkowe popołudnie; lekcje już się skończyły, natomiast cotygodniowe posiedzenie Komitetu trwało w najlepsze. Błękitnokrwisci, skupieni w niewielkich grupkach przy okrągłym stole, pilnie omawiali ostatnie szczegóły dotyczące imprezy roku: dorocznego Balu Czterystu.

Jasnowłosa, zielonooka Mimi wraz ze swoim bratem bliźniakiem, Jackiem, należała do grona tegorocznych debiutantów. Była to wielowiekowa tradycja. Zaproszenie do Komitetu, tajnej i niezwykle potężnej grupy wampirów rządzących Nowym Jorkiem, stanowiło tylko wstęp do poznania swojej prawdziwej tożsamości. Oficjalna prezentacja młodych członków Komitetu przed całą społecznością wampirów była wydarzeniem znacznie ważniejszym.

Błękitnokrwisci odradzali się w różnych powłokach fizycznych, i w każdym cyklu (jak nazywali okres równy długości ludzkiego życia) nosili nowe imiona. Dlatego prezentacja na balu albo „coming out” była tak niezwykle istotna dla ich rozpoznania.

Mimi Force nie potrzebowała herolda z trąbą, aby powiedział jej, kim jest lub kim była. Jest Mimi Force— najpiękniejszą dziewczyną w historii Nowego Jorku, jedyną córką Charlesa Force’a, Regisa, czyli głowy Rady i najgrubszej szczy wśród wampirów, znanego świata jako bezlitosny magnat medialny, którego sieć Force News Network oplatała glob od Singapuru do Addis Abeby. Jest Mimi Force — dziewczyną o włosach jasnych jak len, śmietankowej skórze i pełnych ustach, które mogły rywalizować z ustami Angeliny Jolie.

Nastoletnią seksbombą, znaną ze swoich podbojów wśród potomków najlepszych rodzin - gorących, czerwonokrwistych chłopców, będących jej ramilantami.

Ale sercem zawsze będę znacznie, znacznie bliżej domu, pomyślała, patrząc przez salę na swojego brata, Jacka.

Na razie Mimi była zadowolona. Wszystko wskazywało na to, że noc w hotelu St. Regis stanie się oszałamiającym sukcesem. W odróżnieniu od tandetnego cyrku zwanego Galą Oskarową, z pochlipującymi aktoreczkami i rekinami finansjery, Bal Czterystu, bez wątplenia największe towarzyskie wydarzenie roku, był niezwykle staromodny - tu liczyły się klasa, status, uroda, potęga, pieniądze i urodzenie. Ściślej mówiąc, urodzenie się jako błękitnokrwisty. Był to bal tylko dla wampirów, najbardziej ekskluzywna impreza w Nowym Jorku, jeśli nie na całym świecie.

Czerwonokrwisci nie mieli wstępu.

Zamówiono odpowiednie kwiaty: białe róże odmiany White American Beauty. Specjalnie na tę okazję z Ameryki Południowej miało zostać sprowadzonych dwadzieścia tysięcy sztuk: połowa ozdobi girlandy nad wejściem, reszta znajdzie się w bukietach na stołach. Najdroższy specjalista od organizacji imprez w mieście, który z okazji rosyjskiej wystawy Instytutu Kostiumologii zamienił Metropolitan Museum w rosyjską krainę czarów wprost z *Doktora Żywago*, zamówił także dziesięć tysięcy ręcznie robionych jedwabnych róż do podtrzymywania serwetek. Do tego wszystkiego zapach róż w sali balowej miały zapewnić litry wody różanej, rozpylanej przez system klimatyzacji.

Na dzisiejszym spotkaniu Komitet debatował nad sprawami, jakie pozostały jeszcze do załatwienia. Młodszy członkowie, podobnie jak ona, licealiści, zajmowali się głównie wypełnianiem zaproszeń i sprawdzaniem list gości. Sprawdzali także, czy zostały spełnione wymagania dwóch pięćdziesięcioosobowych orkiestr w zakresie potrzebnego sprzętu i oświetlenia. Natomiast starsi, pod przewodnictwem Priscilli Dupont, znanej manhattańskiej damy, której królewski wizerunek

zdobił cotygodniowe kolumny towarzyskie, zajmowali się delikatniejszymi sprawami. Pani Dupont stała w gronie szczupłych, zadbanych i doskonale ubranych kobiet, których niestrudzona praca na rzecz Komitetu pozwalała zachować w dobrym stanie wiele cennych miejsc Nowego Jorku i wspierać działalność najbardziej prestiżowych placówek kulturalnych.

Superczuły słuch Mimi pochwycił ich konwersację.

— Pozostaje kwestia Sloane i Cushinga Carondoletów — oznajmiła ponuro Priscilla, podnosząc kremową wizytówkę z leżącego przed nią stosiku. Karty z wytłoczonymi imionami gości miały być umieszczone przy wejściu wraz z odpowiednim nu-merem stołu.

W eleganckiej grupce rozległy się szepty dezaprobaty. Nie można było ignorować narastającej niesubordynacji Carondoletów. Po tym, jak kilka miesięcy wcześniej stracili córkę, zaczęli ostro krytykować działania Komitetu. Chodziły plotki, że grozili nawet złożeniem wniosku o odsunięcie od władzy ojca Mimi.

- Sloane nie mogła dzisiaj przyjść - ciągnęła Priscilla. - Jednakże przekazała coroczną darowiznę. Nie jest tak wysoka, jak dawniej, ale nadal znacząca, w odróżnieniu od kilku innych rodzin, których nie będę tu wymieniać.

Darowizny na Bal Czterystu zasilają fundusz Nowojorskiego Komitetu Banku Krwi. Pod taką nazwą publicznie funkcjonował Komitet, oficjalnie mający na celu zbiórkę pieniędzy na badania chorób krwi. Wpływy pieniężne były wykorzystywane w części do walki z AIDS i hemofilią.

Od każdej rodziny oczekiwano się szczodrych darowizn, a połączone dochody zasilają wielomilionowy roczny budżet Komitetu. Niektórzy, tak jak Force'owie, dawali znacznie więcej niż przyjęta kwota, natomiast inni, jak Van Alenowie, pożałowania godną gałąź

niegdyś potężnej rodziny, z trudnością wywiązywali się każdego roku z wymaganej dziesięciny. Teraz, po śmierci Cordelii, Mimi nie była pewna, czy Schuyler w ogóle wie, czego się od niej oczekuje.

- Pytanie brzmi - odezwała się melodyjnym głosem Trinity Burden Force, matka Mimi - czy stosowne będzie posadzenie ich jak zawsze przy głównym stole, biorąc pod uwagę to, co mówili na temat Charlesa? - Pytanie było sformułowane w sposób jasno dający reszcie Komitetu do zrozumienia, że ona i Charles woleliby jeść suchy chleb, niż spożywać obiad w towarzystwie Carondoletów.

—Wywalmy ich do tylnego stołu, niech siedzą z innymi oszołomami - oznajmiła BobiAnne Llewellyn mocnym, teksańskim akcentem. Żartobliwie przeciągnęła dłońią po szyi, być może po to, żeby zaprezentować pierścionek z trzydziestokaratowym brylantem. BobiAnne była drugą, dużo młodszą żoną Forsytha Llewellyna, obecnie piastującego stanowisko senatora Nowego Jorku.

Kilka dam usadowionych wokół Priscilli Dupont wzdrygnęło się lekko na taką sugestię, nawet jeśli po cichu się z nią zgadzały. Prostactki sposób wyrażania się BobiAnne bardzo zdecydowanie nie pasował do stylu błękitnokrwistych.

Mimi zauważyła, że jej przyjaciółka, Bliss Llewellyn, podniosła głowę, słysząc donośny głos swojej macochy. Bliss należała do najmłodszych członków Komitetu. Kiedy usłyszała gardłowy śmiech BobiAnne rozbrzmiewający w całej Sali, jej twarz oblała się purpurą.

— Być może uda nam się znaleźć kompromisowe rozwiązanie — zauważyła taktownie Priscilla. - Wyjaśnimy Sloane, że w tym roku nie zajmują miejsc przy głównym stole, ponieważ pozostają w żałobie i chcemy uszanować ich uczucia. Posadzimy z nimi młodą Van Alen. Nie będą się sprzeciwiać, biorąc pod uwagę, że byli zaprzyjaźnieni z Cordelia, a ona, jako jej wnuczka, także poniosła bolesną stratę.

Skoro o Schuyler mowa — gdzie się podziała ta menelka? Generalnie obecność albo

nieobecność Schuyler nie stanowiła dla Mimi szczególnego problemu, ale irytowało ją, że Schuyler nie raczyła się pojawić na dzisiejszym zebraniu Komitetu. Słyszała od kogoś, że razem ze swoim ludzkim kumpłem, Oliverem, wybrała się do Wenecji. Wenecja? Co, do cholery, robili w Wenecji? Mimi zmarszczyła nos. Jeśli ktoś już musiał jechać do Włoch, to czy nie lepsze byłyby zakupy w Rzymie albo w Mediolanie? Zdaniem Mimi Wenecja była po prostu mokra i śmierdząca. I jakim cudem dostali pozwolenie ze szkoły?

W Duchesne niechętnie patrzono na samowolne wakacje - nawet Force'owie zostali upomnieni, kiedy w lutym zeszłego roku zabrali bliźniaki na narty. Szkoła przewidywała oficjalny „tydzień narciarski” w marcu i wszystkie rodziny powinny były się dostosować do tego terminu. Ale powiedzcie to Force'om, uważającym, że marcowy zbity śnieg w Aspen jest o wiele gorszy niż obfity puch, padający w lutym.

Mimi rzuciła jedwabną różą przez stół, celując w Jacka, dyskutującego z ożywieniem o kwestiach bezpieczeństwa nad rozłożonymi planami hotelu St. Regis.

Spojrzał z zaskoczeniem, kiedy róża upadła mu na kolana.

Mimi wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Jack nieznacznie się zmartwił, ale odwzajemnił uśmiech. Wpadające przez witrażowe okna promienie słońca oświetlały na złoto jego przystojną twarz.

Mimi pomyślała, że nigdy nie znudzi jej się patrzeć na niego: było prawie tak samo przyjemne, jak przyglądanie się własnemu odbiciu. Odetchnęła z ulgą, kiedy wyszła na jaw prawda o pochodzeniu Schuyler- Półkrewek! Prawie Obrzydliwość! Dzięki temu stosunki między rodzeństwem wróciły do normy. A przynajmniej do stanu, który stanowił normę dla bliźniaków Force.

Hej, *przystojniaku* — wysłała myśl Mimi.

Co jest? — odpowiedział Jack bez słowa.

Nic, *myślę o tobie*.

Jack uśmiechnął się szerzej. Odrzucił różę tak, że wylądowała na kolanach siostry. Mimi wsadziła ją za ucho i z wdzięcznością przymrużyła powieki.

Jeszcze raz przyjrzała się zaproszeniom. Ponieważ Bal był przeznaczony dla całej społeczności błękitnokrwistych, większość gości stanowić mieli dorośli— Starsi i Strażnicy.

Mimi zacisnęła usta. Pewnie, to będzie fajna impreza, superuroczyste wydarzenie, ale nagle wpadła na nowy pomysł.

A może by tak urządzić after party?

Tylko dla błękitnokrwistych nastolatków? Gdzie można by naprawdę poszaleć, nie przejmując się, co pomyślą rodzice, Strażnicy i władze Komitetu?

Coś bardziej ryzykownego i wystrzałowego... Coś, na co zaproszeni zostaną tylko najlepsi.

Cyniczny uśmiech załśnił na jej twarzy, kiedy pomyślała o wszystkich głupiutkich koleżaneczkach z Duchesne, błagających ją o zaproszenie na imprezę. Daremnie, pomyślała Mimi. Ponieważ nie będzie żadnych zaproszeń. Tylko SMS wysłany do odpowiednich osób w wieczór Balu Czterystu wskaże lokalizację after party. Balu Alterna-wampirycznego.

Mimi rzuciła okiem na Jacka, którego przystojna twarz skrywała się w tej chwili za trzymaną płachtą papieru. I nagle przypomniała sobie scenę z przeszłego życia: ich dwoje składających ukłon w Wersalu, z twarzami ukrytymi pod bogatymi, zdobionymi piórami maskami.

Jasne!

Bal maskowy.

Na after party wymagane będą wyszukane maski.

Nikt nie będzie pewny, kto jest kim - kto został zaproszony, a kto nie - co przyda imprezie nutkę

niezwykle subtelnego napięcia towarzyskiego.

Pomysł bardzo jej się spodobał. Mimi zawsze była otwarta na propozycje, które miały uniemożliwić innym dobrą zabawę.

TRZY

Już wcześniej miewała sny tego rodzaju. Sny, w którym zmarznięta i przemoczona, nie mogła złapać oddechu, wszystkie przebiegały podobnie, ale ten wydawał się wyjątkowo realistyczny. Drżała z zimna, a kiedy otworzyła oczy, dojrzała tylko ciemność i wyczuła w niej jakąś obecność. Czyjaś ręka pochwyciła jej rękę, ciągnąc w górę, w górę, do światła, na powierzchnię. *Pluski*

Bliss odetchnęła spazmatycznie i zaczęła kaszleć, rozglądając się gorączkowo. To nie był sen.

To się działo naprawdę. Tkwiła w wodzie, na środku jeziora.

- Nie ruszaj się, jesteś za słaba. Doholuję cię do brzegu - niski głos brzmiał kojąco i spokojnie. Spróbowała obejrzeć się, żeby zobaczyć twarz mówiącego, ale głos sprzeciwił się.

- Nie ruszaj się, nie oglądaj, po prostu skoncentruj się na brzegu.

Skinęła głową. Woda spływała z włosów, zalewała oczy. Nadal kasłała, chciało jej się wymiotować. Była tak osłabiona, że z trudem poruszała ramionami i nogami, mimo że nie musiała walczyć z nurtem. Jezioro trwało spokojnie i nieruchomo. Trudno nawet było je nazwać jeziorem. Kiedy wzrok Bliss przyzwyczał się do ciemności, spostrzegła, że jest w Central Parku, na środku sztucznego stawu. Ostatniego lata, zanim rozpoczęła naukę w Duchesne, rodzice zabrali tutaj ją i jej siostrę na obiad do restauracji na statku.

Tym razem w zasięgu wzroku nie dostrzegła żadnych łódek. W końcu listopada jezioro świeciło pustkami. Ziemię ściał przymrozek, a Bliss nagle poczuła, że chłód wkrada się w jej żyły. Zaczęła drzeć.

- To minie. Nie martw się, twoja krew się rozgrzeje. Wampirom nie zdarzają się odmrożenia - powiedział ten sam głos.

Bliss Llewellyn pochodziła z Teksasu. Była to pierwsza rzecz, jaką mówiła o sobie nowym znajomym. — „Jestem z Teksasu”. Jakby wskazanie rodzinnego stanu miało tłumaczyć wszystko, co jej dotyczyło: akcent, burzę kręconych włosów, kolczyki z pięciokaratowymi brylantami. Pozwalało także Bliss zachować w pamięci ukochane rodzinne miasto i życie, które stawało się coraz odleglejsze od jej obecnej egzystencji w roli nowojorskiej piękności.

W Teksasie Bliss się wyróżniała. Mierzyła metr siedemdziesiąt wzrostu (doliczając włosy — metr osiemdziesiąt), była nieposkromiona i nieustraszona - jedyna czirliderka, która potrafiła wykonać skok z obrotem ze szczytu pięćdziesięciosobowej piramidy i wylądować bezpiecznie na miękkiej trawie boiska futbolowego. Zanim odkryła, że tego rodzaju zwinność wiąże się z byciem wampirem, przypisywała swoją nadzwyczajną koordynację szczęściu i treningom.

Mieszkała z rodziną w okazałej, ogrodzonej posiadłości w luksusowej dzielnicy na przedmieściach Houston i jeździła do szkoły zabytkowym cadillakiem dziadka - takim z prawdziwymi bawolimi rogami na masce. Ale jej ojciec wychował się na Manhattanie i po owocnej karierze czołowego polityka w Houston nieoczekiwanie przesiedlił całą rodzinę, kiedy kandydował — z powodzeniem - na stanowisko senatora Nowego Jorku.

Przystosowanie się do zwariowanego, metropolitalnego stylu życia było trudne dla dorastającej w Houston Bliss. Czowała się źle w tych wszystkich wspaniałych nocnych klubach i na ekskluzywnych przyjęciach, na które ciągnęła ją jej samozwańcza najlepsza przyjaciółka, Mimi Force. Bliss do szczęścia wystarczyłby kufel piwa, kilka koleżanek i DVD z *Pamiętałem*. Nie lubiła siedzieć w klubach, podierać ścian i patrzeć, jak Mimi świetnie się bawi.

Egzystencja nieoczekiwanie nabrała barw, kiedy Bliss poznała Dylana Warda, chłopaka o smutnych czarnych oczach, pełnych wewnętrznego żaru, który kilka miesięcy wcześniej wkroczył w

jej życie z papierosem w kąciку ust w pewnym zaułku na Lower East Side. Dylan także był wyrzutkiem w Duchesne — ponury, wyobcowany buntownik, trzymający się z równie godnymi politowania przyjaciółmi: Oliverem Hazardem-Perrym i Schuyler Van Alen, dwójką najmniej popularnych dzieciaków w szkole. Dla Bliss Dylan stał się kimś więcej niż przyjacielem: był jej sojusznikiem, nie mówiąc o tym, że mógł stać się jej chłopakiem.

Rumieniła się na wspomnienie głębokich, długich pocałunków — o, gdyby tylko nie przeszkadzono im tej nocy na imprezie.' Gdyby tylko...

Gdyby tylko Dylan nadal żył. Ale został zaatakowany przez srebrnokrwistych, zamieniony w jednego z nich, a potem zabity, kiedy wrócił, żeby ją odwiedzić— żeby ją ostrzec... Bliss nieustannie miała łzy w oczach za każdym razem, kiedy przypominała sobie, jak znalazła jego zakrwawioną kurtkę na podłodze łazienki.

Bliss była przekonana, że nigdy więcej nie zobaczy Dylana, ale teraz... chłopak, który ją uratował... niski głos przy jej uchu brzmiał tak bardzo znajomo. Nie pozwalała sobie łudzić się nadzieją, nie chciała wierzyć w coś, co nie miało szans się spełnić, nie mogło się wydarzyć. Przyłgnęła do swego wybawcy i pozwoliła się holować do brzegu.

Nie po raz pierwszy budziła się w nieoczekiwanym miejscu, o włos unikając niebezpieczeństwa. W zeszłym tygodniu otworzyła oczy i stwierdziła, że stoi na najwyższym parapecie w Cloisters Museum, wysoko ponad Fort Tryon Park. Lewą nogą dawała właśnie krok poza krawędź. Bliss ocknęła się w samą porę, żeby cofnąć ją i uchronić się przed groźnym upadkiem. Zdawała sobie sprawę, że pewnie by przeżyła, wychodząc z tego z kilkoma zadrapaniami; zastanawiała się, jakie opcje właściwie byłyby dostępne dla nieśmiertelnej istoty, która chce popełnić samobójstwo.

A dzisiaj znalazła się na środku jeziora.

Zamroczenia — koszmary o tym, że ktoś ją śledzi, i o tym, że Bliss jest i jednocześnie nie jest w danym miejscu - nasila- By się. Mniej więcej rok wcześniej zaczęły ją męczyć także wyjątkowo silne migreny, którym towarzyszyły przerażające wizje ostrych, lśniących zębów, szkarłatnych oczu o srebrnych źrenicach... Miała wrażenie, że ucieka niekończącymi się korytarzami, podczas gdy cuchnący oddech ścigającej ją bestii przybliża się coraz bardziej,.. aż w końcu nieznaną stwor obalał ją na ziemię, wrywając duszę z ciała.

Przestań, powtarzała sobie. Czemu o tym myślisz? Wizja z koszmarów minęła. Bestia — czymkolwiek była - istniała tylko w jej wyobraźni. Czy nie to właśnie mówił ojciec? Ze koszmary są po prostu częścią przemiany? Bliss miała piętnaście lat, w tym wieku zaczynały powracać wspomnienia błękitnokrwistych, uświadamiając im, że w rzeczywistości istnieją jako nieśmiertelne byty.

Bliss próbowała sobie przypomnieć wcześniejsze wydarzenia i ego dnia. Miała nadzieję, że może wśród nich odszuka wskazówkę, jakim sposobem, na wpół utopiona, znalazła się na środku stawu w Central Parku. Dzień rozpoczął się zwyczajnie, najpierw była w szkole, a potem uczestniczyła w kolejnym nużącym zebraniu Komitetu. Komitet powinien nauczyć ją i pozostałych kontroli i wykorzystywania wampirzych zmysłów, ale przez ostatnie dwa miesiące wszystkie wysiłki pochłaniało organizowanie wystrzałowej imprezy. Na nic więcej nie zostawało już czasu. Pośród zebranych pojawiła się jej macocha, BobiAnne, a Bliss wstydziła się za jej wrzaskliwy głos i obciachowy strój, ostentacyjnie markowy dres Yuitton.

Bliss nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że sportowe ubrania są szyte z tego samego rodzaju brązowej tkaniny, co torby podróżne. Pomyślała, że macocha przypomina ogromną, złotobrązową walizkę.

Potem, jako że ojciec, co rzadkie ostatnio, był w domu, cała rodzina wybrała się na obiad do Le Cirque, które ostatnio przeniosło się do eleganckiego lokalu w samym One Beacon Court.

Słynna nowojorska restauracja gościła zawsze wpływowych i bogatych ludzi, więc senator Llewellyn spędził wieczór, ściskając ręce rozmaitym dostojnym przybyszom — burmistrzowi, producentowi radiowemu, aktorze i innemu senatorowi. Bliss zamówiła krwiste *foie gras* i cieszyła się smakiem żurawiny, grubo rozsmarowanej na gęstej, pożywnej, kremowej gęsiej wątrobie.

Po obiedzie udali się do opery, zajmując prywatną lożę. Wystawiano najnowszy spektakl tego sezonu w Metropolitan Opera - *Orfeusza i Eurydykę*. Bliss zawsze uwielbiała tragiczną opowieść o Orfeuszu, który zstąpił do piekła, aby ratować ukochaną po to tylko, by na końcu ją utracić. Jednak tym razem przejmujące dźwięki żalonych arii ukołysały ją do snu o przepastnych otchłaniach Hadesu.

Na tym kończyły się wspomnienia. Czy rodzina nadal była w operze? Ojciec przypominający surowy, ponury posąg, z rękami splecionymi pod brodą uważnie śledził spektakl, podczas gdy macocha ziewała i krzywiła się, a młodsza przyrodnia siostra Bliss bezgłośnie powtarzała słowa arii. Jedenastoletnia Jordan miała bzika na punkcie opery - przy czym zdaniem Bliss kluczowe słowa brzmiały: „miała bzika”.

Znajdowali się przy przystani. Silne ręce uniosły Bliss do drabinki przy molo. Poślizgnęła się na wilgotnej krawędzi, ale uświadomiła sobie, że może stanąć. Kimkolwiek był jej ratownik, miał rację: wampirza krew rozgrzewała i po kilku minutach Bliss przestało przeszkadzać, że są cztery stopnie Celsjusza. Gdyby była człowiekiem, już by nie żyła, utopiona.

Spojrzała na mokre ubranie. Nadal miała na sobie ten sam strój, co na obiedzie i w operze.

Czarna, aksamitna sukienka Temperley, wyszywana w skomplikowane wzory, była kompletnie zniszczona. Tyle, jeśli chodzi o „pracę wyłącznie chemicznie”. Na nogach pozostał tylko jeden z koturnów Balenciagi na dwunastocentymetrowych obcasach - drugi zapewne spoczywał na dnie jeziora. Spojrzała z ukosa na ściskany w dłoni program operowy i upuściła go na ziemię.

- Dzięki... - odwróciła się, żeby zobaczyć wreszcie twarz swojego ratownika.

Ale jej wzrok napotkał jedynie spokojną, granatową tafłę wody.

Chłopak zniknął.

1 iątej Aici, i od tamtej pory nie była widziana przez rodzinę ani krewnych. Maggie Stanford jest córką Dorothei i Tiberiusa Stanfordów z Newport. Policijni detektywi, niestrudzenie pracujący nad tajemniczą sprawą, nie zdołali na razie odkryć żadnych poszlak.

Zaginięcie panny Stanford, zgłoszone w komisariacie X rewiru, miało miejsce w piątek, 22 sierpnia. Wedle słów jej matki, znanej damy z towarzystwa, Dorothei Stanford, tego wieczoru Maggie została zaprezentowana na Balu Patrycjuszowskim,

wary bardzo dobrze. W wieczor balu ogłoszono jej zaręczyny z lordem Alfredem Burlingtonem, earlem Devonshire.

Pani Stanford zeznała na policji, iż przypuszcza, że jej córka została zwabiona lub porwana przez jakiegoś złoczyńcę. Rodzina Stanfordów wyznaczyła wysoką nagrodę za wszelkie informacje mogące przyczynić się do odnalezienia Maggie. Tiberius Stanford jest założycielem Stanford Oil, najbardziej dochodowego przedsiębiorstwa w Stanach Zjednoczonych.

CZTERY

Przed chwilą ją widziałam. Schuyler była tego pewna.

Ścigana kobieta minęła drzwi pałacu, ale teraz jakby zapadła się pod ziemię.

Schuyler rozejrzała się — stała w holu małego, lokalnego pensjonatu. Wiele spośród wspaniałych pałaców na wodzie dawnej Wenecji zostało przekształconych w zaniedbane hoteliki dla turystów. Ich goście nie mieli za złe spróchniałych balustrad i obłazącej farby, ponieważ kredowe folderki obiecały im, że będą mogli obcować z „atmosferą prawdziwych Włoch”.

Starsza kobieta w czarnej chustce na głowie spojrzała z ciekawością znad kontuaru recepcji.

— *Posso li aiuto?* — Czym mogę służyć?

Schuyler rozglądała się, zdezorientowana. W pomieszczeniu nie było śladu po blondynce. Jak mogła ukryć się tak szybko? Schuyler deptała jej cały czas po piętach. Nie zauważyła tu także żadnych szaf ani drzwi.

- *Ci era una donna qui, si?* — zapytała Schuyler. Weszła tutaj kobieta, tak? Była wdzięczna Duchesne za to, że wymagała od wychowanków nauki dwóch języków obcych. Oliver namówił ją na włoski, argumentując, że ułatwi jej to składanie zamówień w restauracji Mario Batali.

Starsza kobieta zmarszczyła brwi.

- *Una donna?* — potrząsnęła głową. Dalszy ciąg konwersacji nastąpił w szybkim włoskim. -

Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Nikt oprócz pani nie wchodził.

— Jest pani pewna? — naciskała Schuyler.

Nadal przepytывała gospodynię, gdy pojawił się Oliver. Podpłynął do budynku w smukłej motorówce — doszedł do wniosku, że wodna taksówka bardziej się przyda niż poruszana wiosłami gondola.

- Znalazłaś ją? — spytał.

- Była tu, przysięgam. Ale ta pani mówi, że nikt nie wchodził.

- Żadnej kobiety. - Starsza pani potrząsnęła głową. - Tu mieszka tylko profesor.

- Profesor? - zapytała czujnie Schuyler. Według Repozytorium Historycznego, archiwum kryjącego całą wiedzę i wszystkie tajemnice błękitnokrwistych, jej dziadek był profesorem lingwistyki. — Gdzie on jest?

- Wyjechał wiele miesięcy temu.

- Kiedy wróci?

- Za dwa dni, za dwa miesiące, za dwa lata - może się pojawić w każdej chwili. Jutro albo nigdy - westchnęła gospodyni.

- Z profesorem nigdy nie wiadomo. Cieszę się, że przynajmniej rachunki płaci zawsze w terminie.

— Czy możemy... możemy zobaczyć jego pokój? - poprosiła Schuyler.

Gospodyni wzruszyła ramionami i gestem wskazała schody. Schuyler z bijącym sercem weszła na piętro, Oliver nie odstępował jej ani na krok.

— Czekał - zatrzymał ją, kiedy stanęli przed niskimi drewnianymi drzwiami. Przekręcił

gałkę. — Zamknięte. — Pociągnął ponownie. — Nie ma szans.

— Niech to szlag! — Schuyler sięgnęła, żeby spróbować. Szarpnęła, a drzwi stanęły otworem.

— Jak to zrobiłaś? — zdziwił się Oliver.

— Nic nie zrobiłam.

— Na bank były zamknięte - upierał się.

Schuyler wzruszyła ramionami i delikatnie popchnęła drzwi. Za nimi znajdował się schludny, pusty pokój z pojedynczym łóżkiem, zniszczonym drewnianym biurkiem i sięgającymi do sufitu półkami pełnymi książek.

Schuyler wyciągnęła książkę z niższej półki.

— *Śmierć i życie w kolonii Plymouth*, autor: Lawrence Win-slow Van Alen. - Zajrzała na pierwszą stronę. Zobaczyła wypisaną eleganckim charakterem pisma dedykację „Dla najdroższej Cordelii”.

— To jest to - szepnęła Schuyler. - On tu jest. - Przejrzała kilkanaście innych książek na półce i przekonała się, że na grzbietach wielu z nich jako autor widniał L.W. Van Alen.

- Teraz go nie ma - powiedziała od drzwi gospodyni Schuyler i Oliver podskoczyli. — Ale dzisiaj kończy się Biennale, a profesor zawsze je odwiedzał.

Biennale, odbywająca się co dwa lata wystawa sztuki w Wenecji, było jedną z największych, najbardziej prestiżowych i znaczących imprez w świecie sztuki i architektury. Co drugi rok na kilka miesięcy całe miasto opanowywała międzynarodowa zbieranina artystów, marszandów, turystów i studentów, pragnących wziąć udział w historycznym święcie sztuki. Schuyler i Oliver nie mieli czasu, by zajrzeć podczas weekendu na Biennale, zajęci bezowocnymi poszukiwaniami Lawrence'a Van Alena.

- Jeśli dzisiaj się kończy - odezwała się Schuyler - musimy! tam dotrzeć.

Gospodyni skinęła głową i wyszła z pokoju.

Schuyler po raz kolejny zastanowiła się, kim mogła być tak niesamowicie przypominająca jej matkę kobieta. Czy to matka doprowadziła ją do dziadka? Czy w jakiś sposób pomagała Schuyler? Czy może widziała tylko jej ducha?

Zbiegli po schodach, zastając starszą kobietę zajętą przekładaniem papierów w recepcji.

- Dziękujemy za pomoc - Schuyler skłoniła głowę.

- Co? Przepraszam. *Posso aiuto?* - rzuciła kobieta.

- Profesor, na Biennale, postaramy się go tam znaleźć.

- Profesor? Nie, nie, żadnego profesora... - Kobieta przeżegnała się i potrząsnęła głową.

Schuyler zmarszczyła brwi.

- Żadnego profesora? Co ona ma na myśli? - spytała Olivera.

— Wyjechał... dwa lata temu - wyjaśniła gospodyni łamaną Angielszczyzną. — Nie mieszka tutaj teraz.

- Ale mówiła pani... — upierała się Schuyler. - Przed chwili rozmawialiśmy na górze.

Pozwoliła nam pani obejrzeć jego pokój.

- Nie widziałam was wcześniej, jego pokój zamknięty — gospodyni wyglądała na zaskoczoną i upierała się przy kulawym angielskim, mimo że Schuyler mówiła płynnie po włosku.

- *Eravamo giusti qui* - nie poddawała się Schuyler. Byliśmy tu przecież przed chwilą.

Gospodyni z niechęcią potrząsnęła głową, mamrocząc coś pod nosem.

- Jest jakaś dziwna - szepnęła Schuyler do Olivera, kiedy Opuuszczali hotel.

- Tak, kompletnie stuknięta - prychnął Oliver. Schuyler obejrzała się, żeby po raz ostatni rzucić okiem na

przygarbioną kobietę, i zauważyła na jej szyi brodawkę, z której wyrastało kilka włosków.

Była absolutnie pewna, że kobieta, z którą wcześniej rozmawiali, nie miała takiego znamienia.

PIĘĆ

Opuuszczając klasę po lekcji francuskiego, Mimi rzuciła okiem na wibrującą komórkę.

Czy jestem na liście?

Kolejny SMS, już siódmy tego dnia. Czy oni wszyscy nie mogliby się trochę opanować?

Jakimś cudem niespełna dwadzieścia cztery godziny wystarczyły, by wieści o organizowanym przez słynną Mimi Force after party po Balu Czterystu rozeszły się wśród nastoletniej elity nowojorskich wampirów. Jak łatwo zgadnąć, sama Mimi wspomniała o planowanym wydarzeniu Piper Crandall, największej plotkarze w szkole, która dopilnowała, żeby absolutnie każdy dowiedział się, co jest grane. Tajna lokalizacja. Gospodarzami będą bliźniaki Force. Ale nikt nie dowie się, czy jest zaproszony, wcześniej niż w noc imprezy.

Czysta towarzyska tortura!

Napisz T/N! MM!

Skasowała SMS bez odpowiadania.

Mimi zeszła schodami do *mieszczącej* się w podziemiach Duj chesne kafeterii. Kilkoro mijanych błękitnokrwistych uczniów! próbowało zwrócić na siebie jej uwagę.

- Mimi... Słyszałam o after party... Ekstra pomysł, nie potrzebujesz pomocy? Mój stary może załatwić Kany'ego jako DJ-a — zaproponowała Blair McMillan, której ojciec był właścicielem największej wytwórni muzycznej na świecie.

— Cześć, Mimi, jestem zaproszona, no nie? Mogę przyprowadzić chłopaka? Jest czerwony...

Czy to nie super? - przymilała się Soos Kemble.

— Czołem, złotko, nie zapomnij o mnie! - zawołała Lucy Forbes, przesyłając Mimi ostentacyjny pocałunek.

Mimi uśmiechnęła się do nich z wdziękiem i położyła palec na ustach.

- Nie mogę nic powiedzieć. Same się niedługo *dowiecie*.

Na dole, w kafeterii, pod wiszącym naprzeciwko kominka złotym barokowym lustrem Bliss Llewellyn skubała apatycznie kawałek sushi, spoglądając na nie jak na wyjątkowo nieapetyczny okaz muzealny. Miała zjeść lunch z Mimi, która oczywiście się spóźniła. Bliss była całkiem zadowolona z tej chwili wytchnienia, pozwalającej jej na odtworzenie w pamięci wydarzeń ostatniej nocy.

Dylan. To musiał być on. Ten nieznamy w parku, który ocalił ją przed utonięciem. Bliss zaczęła wierzyć, że przeżył atak srebrnokrwistego. Może się teraz ukrywał, może byłby w niebezpieczeństwie, gdyby powiedział jej, kim jest. Jak super bohaterka, pomyślała rozmarzona. Kto inny wyczułby, że jest w niebezpieczeństwie? Kto inny popłynąłby do niej przez zimną wodę stawu? Kto inny byłby tak silny? Przy kim innym mogłaby się czuć tak bezpiecznie? Ta świadomość otulała Bliss jak ciepły koc. Dylan żył. Musiał być wśród żywych.

- Nie jesz? - Mimi wślizgnęła się na wolne miejsce. Bliss w odpowiedzi odsunęła tackę i skrzywiła się.

- O co biega z tym after party, o które mnie wszyscy piłują? Nikt nie wierzy, jak mówię, że nie mam pojęcia, co jest grane. Planujecie z Jackiem coś urządzić po balu?

Mimi rozejrzała się, upewniając się, że nikt nie podsłuchuje i dopiero kiedy była pewna, że pozostali są w bezpiecznej odległości, odpowiedziała:

- No, miałam ci dzisiaj powiedzieć.

Wtajemniczyła Bliss we wszystkie szczegóły. Znalazła rewelacyjne miejsce - opuszczoną synagogę. Mimi była zachwycona pomysłem rozpustnej nocy w niegdyś świętym miejscu.

Angel Orensanz Center wznosiło się w sercu Lower East Side. Neogotycka synagoga została zaprojektowana w 1849 roku przez berlińskiego architekta, który wzorował ją na katedrze w Kolonii. Mimi nie była pierwszą osobą w mieście, której przyszło do głowy urządzenie wystawnej imprezy w tym miejscu. A pomysł narodził się, gdy odwiedzała organizowane w Centrum pokazy podczas Tygodnia Mody. Mimi nie zależało na oryginalności, tylko na byciu *zawsze* na topie, a teraz dawna

synagoga była w modzie.

— W środku jest kompletny bajzel - opowiadała radośniej — Wiesz, sypiące się kolumny, odsłonięte belki stropu... Ekstra ruina — wyszeptała. — Oświetlimy ją małymi świeczkami, bez żadnej elektryczności! I to wszystko, żadnych dekoracji Atmosfera jest super, nie potrzebuje poprawiania.

Mimi wyrwała kartkę z notatnika i podała Bliss.

— Ich zamierzam zaprosić. Ułożyłam listę gości podczas testu z francuskiego.

Mimi chodziła na francuski, chociaż było to zawracanie głowy. Od kiedy jej wampiryczne wspomnienia powróciły, odkryła, że płynnie zna ten język.

Bliss rzuciła okiem na nazwiska. Froggy Kernochan. Jaimie Kip. Blair McMillan. Soos Kemble. Rufus King. Booze Langdon.

— Członkowie Komitetu... Ale nawet nie wszyscy - zauważyła Bliss.

— Właśnie.

— Nie zapraszasz Lucy Forbes? — zapytała ze zdziwieniem Bliss. Lucy Forbes chodziła do czwartej klasy i była przewodniczącą samorządu szkolnego.

Mimi skrzywiła nos.

— Sztywna nudziara. - Nie cierpiała Lucy, od kiedy tamta doniosła, że Mimi nadmiernie wykorzystuje swoich familiantów, nie przestrzegając wymaganego czterdziestoośmiogodzinnego okresu odpoczynku.

Przeglądały dalej listę. Bliss proponowała nazwiska, a Mimi kolejno je odrzucała.

— A Stella Van Renssler?

Pierwszoroczniki. Żadnych kotów na balandze.

- Ale przejdzie wtajemniczenie wiosną. Znaczą, jest przecież Bękitnokrwista - podsunęła Bliss. Wszystkie nazwiska przyszłych błękitnokrwistych wampirów były znane członkom Komitetu, aby mogli oni opiekować się młodszymi kolegami w taki sposób, w jaki Mimi zaopiekowała się Bliss.

— Fuj, nie — odparła Mimi.

- Carter Tuckerman? - zaproponowała Bliss, myśląc o życzliwym, chudym chłopaku, który na zebraniach Komitetu robił pracowicie notatki jako protokolant.

— Ten kujon? Zapomnij.

Bliss westchnęła. Martwiło ją też, że na liście nie było nazwiska Schuyler.

— A co z... no wiesz... partnerami, znaczą familiantami? - zapytała. Familianci byli kochankami, przyjaciółmi, naczyniami, z których wampiry czerpały swoją ogromną siłę.

Łączyli Członków śmiertelnej i nieśmiertelnej rasy, wiążąc ich w ścisłej relacji.

- Żadnych czerwonych. To ma być jak Bal Czterystu, tylko jeszcze bardziej dla wybranych. Tylko dla wampirów.

— Ludzie wkurzą się nie na żarty — ostrzegła Bliss. Mimi uśmiechnęła się jak kot, który schrupał kanarka.

- No właśnie.

SZEŚĆ

Weneckie Biennale zajmowało ciąg połączonych pawilonów, a goście przemierzali długie trasy, szukając w zaciemnionych salach instalacji wideo, pojawiających się w najmniej oczekiwanych miejscach. Wyświetlane na winylowych piłkach twarze na przemian to powiększały się, to zmniejszały, strojąc rozmaite miny. Po chwili ich miejsce zajmowały rozkwitające i więdnące w zawrotnym tempie kwiaty. Na sąsiednich ekranach przelewał się w zawrotnym tempie ruch miejski w Tokio, wszechobecny i niebezpieczny.

Kiedy Schuyler dotarła z Oliverem do Wenecji, przepelniała ją dzika, niemal chorobliwa energia. Zawzięta i zdeterminowana, nie ustawała w poszukiwaniach. Ale jej zapał osłabł, kiedy stało się jasne, że odnalezienie dziadka w Wenecji nie będzie tak proste, jak przypuszczała. Nie dysponowała żadnymi danymi prócz nazwiska — nie wiedziała nawet, jak wygląda. Stary? Młody? Babka wspominała, że Lawrence był wygnańcem, wyrzutkiem ze społeczności błękitnokrwistych. A co, jeśli te wszystkie lata izolacji doprowadziły go do szaleństwa? Albo, co gorsza, jeśli już nie żył? A może został pochwycony przez srebrnokrwistych? Jednak teraz, kiedy zobaczyła jego pokój, zapłonęła w niej taka sama: nadzieja jak na początku pobytu. Był tutaj. Był żywy. Czowała to. !

Schuyler mijiała kolejne sale Biennale, przepatrując mroczne! zakamarki w poszukiwaniu jakiegoś znaku, wskazówki, która mogłaby ją doprowadzić do dziadka. Pomyślała, że większość wystawionych tu dzieł sprawia intrygujące wrażenie, nawet jeśli jest; trochę przekombinowana i pretensjonalna. Co na przykład miała symbolizować kobieta podlewająca na okrągło tę samą roślinę? Czy należało się doszukiwać w codziennych czynnościach ukrytych znaczeń? Patrząc na wideo, uświadomiła sobie, że podobnie jak ta kobieta, ona sama także zмага się z syzyfowym zadaniem.

Oliver znacznie ją wyprzedzał. Każdemu obiektowi poświęcał tyle samo czasu - około dziesięciu sekund. Twierdził, że tyle wystarcza, żeby ocenić dzieła. Mieli skontaktować się telefonicznie, jeśli coś znajdą, chociaż Oliver przypominał, że żadne z nich nie ma pojęcia, jak właściwie wygląda Lawrence Van Alen. Nie był tak bardzo jak Schuyler przekonany, że wizyta na Biennale przyniesie jakieś efekty, ale uznał, że lepiej trzymać język za zębami.

Schuyler zatrzymała się w drzwiach; wewnątrz sali panował szkarłatny półmrok. Pojedynczy promień światła przecinał pomieszczenie, kreśląc błyszczący pomarańczowo równik w przestrzeni czerwonego światła. Schuyler weszła do środka i zatrzymała się na chwilę, podziwiając efekt.

- To Olaf Eliasson - wyjaśnił stojący obok niej młody człowiek. - Przepiękne, prawda? Widać wpływ Flavina.

Schuyler skinęła głową. Na historii sztuki uczyli się o Danie Flavinie, znała więc jego prace.

- Ale czy w tej chwili całej sztuce fluorescencyjnej nie przypisuje się wpływów Flavina? — zapytała beczelnie.

Nastąpiła niezręczna cisza i Schuyler chciała już odejść, kiedy jej towarzysz znowu się odezwał.

- Powiedz, po co przyjechałaś do Włoch? - zapytał przystojny wioski chłopak z doskonałym angielskim akcentem. — Nie jesteś amatorką sztuki, jedną z tych turystek z wielkim aparatem i przewodnikami pod pachą. Założę się, że nie widziałaś nawet najnowszych prac Matthew Barneya.

- Szukam kogoś - odparła Schuyler.

- Na Biennale? - spytał. - Wiesz chociaż, w której lokalizacji?

- A są inne? — zdziwiła się Schuyler.

- Oczywiście, to tylko *giardini*, jest jeszcze *Arsenale* i *corde rie*. Cała Wenecja przekształca się na czas Biennale. Trudno ci będzie znaleźć pojedynczą osobę. Tę wystawę odwiedza prawie milion gości, w samym ogrodzie jest trzydzieści pawilonów.

Schuyler poczuła, że nadzieja ją opuszcza. Nie przypuszczała nawet, że Biennale obejmuje tak ogromny i złożony zbiór miejsc. Przed wejściem do włoskiego pawilonu przeszła przez promenadę i minęła kilka budynków, ale nie miała pojęcia, co rozciąga się dalej. Tymczasem w dawnych ogrodach znajdowały się najrozmaitsze stylistycznie budowle, wzniesione przez uczestniczące w wystawie kraje. Każdy pawilon utrzymany był w odrębnym stylu i prezentował sztukę swojego państwa.

Jeśli chłopak mówił prawdę, przyście na Biennale w celta znalezienia kogokolwiek

przypominało szukanie igły w stogu siana.

Bezużyteczne.

Niewykonalne.

Milion gości każdego roku! To oznaczało, że w tej chwili na wystawie przebywały dziesiątki tysięcy ludzi. Przy takich szansach powinna poddać się od razu.

Schuyler była zrozpaczona. Nigdy nie odszuka dziadka. Kimkolwiek był, gdziekolwiek przebywał, nie chciał zostać znaleziony. Zastanawiała się, czy powinna tak szczerze rozmawiać z nieznajomym, ale nie miała nic do stracenia. W jego oczach dojrzała coś, co sprawiało, że czuła się komfortowo, bezpiecznie.

— Szukam profesora Lawrence'a Winslowa Van Alena.

Chłopak obserwował ją uważnie, kiedy rozglądała się po świecącej czerwienią sali. Był wysoki i szczupły, z lekko haczykowatym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i gęstymi, jasnobrązowymi włosami. Na szyi miał biały jedwabny szalik, nosił elegancko skrojony wełniany płaszcz, a przyciemnione okulary podsunął na czoło.

— Nie należy szukać tego, kto nie chce być znaleziony — po-, wiedział nagle.

— Słucham? - Schuyler odwróciła się do niego, zaskoczona nieoczekiwaną odpowiedzią. Ale w tym momencie chłopak zanurkował za zasłonę z cienkiego czarnego filcu i zniknął.

Schuyler wybiegła z pawilonu włoskiego na brukowaną nierównymi kamieniami główną promenadę. Szybkim krokiem ruszyła za nieznajomym, wybierając równocześnie na komórce numer Olivera.

- Pani dzwoniła? - zapytał Oliver z komiczną służalczością W głosie.

- Tu jest chłopak... wysoki blondyn... wygląda jak kierowca wyścigowy. Lotnicze okulary, skórzane rękawiczki, tweedowy płaszcz, jedwabny szalik — opisywała zadyszana od biegu Schuyler.

- Uganiaasz się za jakimś modelem? I roześmiał się Oliver. - Myślałem, że szukamy twojego dziadka.

- Rozmawiałam z nim. Powiedziałam mu, jak się nazywa mój dziadek, i że zniknął. Chyba do czegoś dochodzę... Halo? Ollie? Jesteś? Halo? — Schuyler potrząsnęła komórką i zauważyła, że nie ma ani jednej kreski. Niech to szlag. Brak zasięgu.

Poruszanie się po ogrodach wystawowych przypominało podróż w czasie. Pomiędzy greko-romańskimi atriami wznosiły się surowe i proste nowoczesne bryły. Budynki kryły się na końcach długich ścieżek, zamaskowane wśród drzew. Schuyler westchnęła bezradnie.

Okazało się jednak, że nie była tak całkiem bezradna. Mogła go wyczuć. Wypatrzyła sylwetkę przemykającą za rekonstrukcją greckiego teatru. Chłopak przesuwał się wśród kolumn, na przemian pojawiając się i znikając jej z oczu. Rzuciła się do przodu, tym razem uważając, żeby nie poruszać się za szybko, by nikt z rozproszonych po terenie turystów nie nabrał najmniejszych podejrzeń.

Spostrzegła, że chłopak znika w zagajniku, ale kiedy pode-szła tam, z zaskoczeniem przekonała się, że stoi przed budynkiem. Szybko wspięła się po schodach do Środka. We wnętrzu zrozumiała, skąd wzięła się jej pomyłka.

Budynek wzniesiono w taki sposób, aby przypominał zewnętrzne patio: drzewa wyrastały przez otwarty dach, sprawiając, że pomieszczenie wyglądało, jakby znajdowało się na otwartej przestrzeni. Dziedziniec, wyłożony białym kamieniem, ozdabiały nieregularnie rozmieszczone rzeźby. Wokół słyszała gwar rozmów, pomiędzy których najgłośniejsz wybijają się dumne objaśnienia przewodników wycieczek.

Skoncentruj się, powiedziała sobie. Postaraj się go usłyszeć. Jego kroki. Zamknęła oczy, skupiając się na zapachu, przypominając sobie połączenie skóry i wody kolońskiej, którą pachniał

jedwabny szalik. Chłopak sprawiał wrażenie, jakby właśnie wysiadł z szybkiego, lśniącego nowością sportowego samochodu. *Tam!* Zauważyła nieznajomego po przeciwnej stronie pawilonu.

Tym razem nie zawahała się przed wykorzystaniem swojej szybkości i siły. Biegła tak szybko, jakby leciała, i tak jak poprzednio czuła radość z pościgu. Wiedziała, że jest nawet silniejsza niż wcześniej, kiedy ścigała kobietę przypominającą jej matkę. Mogła go dogonić.

Przemieszczał się coraz dalej w głąb ogrodu. Budynki stawały się coraz nowocześniejsze, ich kształty niemal przerażały. Minęła konstrukcję ze szkła, z imionami i słowami wyrytymi na ścianach. Dostrzegła budowlę z plastikowych rur w jaskrawych kolorach, świecących jak cukierki. Wewnątrz zobaczyła jego cień.

W pawilonie panowała ciemność. Szklana podłoga oddzielała gości od dzieła sztuki poniżej. Przynajmniej przypuszczała, że było to dzieło sztuki. Widziała tylko ruchomą masę zabawek-robotów, bezustannie przemierzających się i wspinających na siebie, podczas gdy w ciemności barwne światła rozbłyskiwały czerwienią, zielenią i błękitem. Wyczuła ruch, kątem oka zauważyła głowę chłopaka wychodzącego pośpiesznie z drugiej strony pawilonu.

- STOJ! - krzyknęła.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się i znowu zniknął. Schuyler wybiegła na ogrodową alejkę, po raz kolejny poszukując go w tłumie. Bez skutku. Jaki to miało sens?

Zastanowiła się przez chwilę. Spróbowała sobie wyobrazić Lawrence'a i domyślić się, gdzie może być, dlaczego w ogóle tu przychodził. Na Biennale.

Przypomniała sobie o planie w kieszeni. Wyciągnęła go i przestudiowała kręte ścieżki łączące pawilony. Przez chwilę czuła się głupio, że nie pomyślała o tym wcześniej. Zwinęła plan i ruszyła szybkim krokiem w stronę wybranego miejsca.

Jej komórka zadzwoniła. Oliver.

- Sky, gdzie jesteś? Martwiłem się.

- Nic mi nie jest — była zirytowana, że jej przeszkadza. — Słuchaj, odezwę się potem. Chyba wiem, gdzie on jest.

- Kto gdzie jest? Schuyler, gdzie się wybierasz?

- Nic mi nie będzie - odparła niecierpliwie. - Ollie, proszę, nie martw się o mnie. Jestem wampirem.

Rozłączyła się. Po chwili stała przed niewielkim budynkiem z czerwonej cegły, prezentującym się nad wyraz skromnie w poi równaniu z okazałymi gmachami na wystawie.

Jego fasada utrzymana była we wczesnoamerykańskim stylu georgiańskim, z wykończeniami z białej farby i zdobionymi poręczami z kutego żelaza. Był to zabytek z innego czasu i miejsca — wspomnienie dawnych kolonii amerykańskich.

Kiedy wsadziła plan z powrotem do kieszeni, znowu zobaczyła chłopaka. Wyglądał, jakby postarzał się podczas pościgu! oddychał płytko, a włosy sterczały mu we wszystkie strony.

Wyglądał na zaskoczonego jej obecnością.

— To znowu ty — powiedział.

Nadeszła odpowiednia chwila. Cordelia przed zakończeniem cyklu nauczyła Schuyler, że jeśli kiedyś znajdzie Lawrence'a lub kogoś, kto mógłby ją do niego doprowadzić, powinna wypowiedzieć pewne słowa.

Wyrecytowała je teraz, wyraźnie i z całą pewnością siebie, jaką udało jej się zebrać.

Archiwum
New York Herald

15 MARCA 1871
ZERWANE ZARĘCZYNY

Lord Burlington nie poślubi Maggie Stanford.
Dziewczyna nadal zaginiona.

ZARĘCZYNY Maggie Stanford, córki Dorothei i Tiberiusa Stanfordów z Newport, z lordem Alfredem Burlingtonem z Devonshire zostały unieważnione. Ceremonia ślubna miała się odbyć w dniu dzisiejszym.

Maggie Stanford zniknęła w tajemniczych okolicznościach sześć miesięcy temu, w wieczór Balu Patrycjuszowskiego. Śledztwo w tej sprawie prowadzi nadinspektor Campbell. Rodzina Stanfordów uważa, że miało miejsce porwanie, jednakże do tej pory nie pojawiło się żądanie okupu, nie ma także żadnych innych dowodów w tej sprawie. Za informacje dotyczące miejsca pobytu Maggie Stanford została wyznaczona wysoka nagroda.

— *Adiuvo amicus specialis. Nihilum cello. Meus victus est tui manus.* — Przybywam w tajemnicy po twoją pomoc, szczególny przyjacielu. Nie mam nic do ukrycia. Moje życie jest w twoich rękach.

Spojrzał jej w oczy lodowatym wzrokiem, który mógł należeć tylko do kogoś z jej rodzaju.

— *Dormio* — nakazał z machnięciem ręki, a Schuyler poczuła ogarniającą ją ciemność.

Straciła przytomność.

SIEDEM

Przypominające szkatułkę na biżuterię pomieszczenie znajdowało się na samym szczycie jednego z najwyższych drapaczy chmur na Manhattanie, budynku ze szkła i chromu. Mimi z uśmiechem podziwiała wspaniałą panoramę Nowego Jorku, kątem oka przyglądając się swojemu odbiciu w szybie.

Miała na sobie suknię. Ale nie była jaką suknią. Wykwintna kreacja z tysięcy szyfonowych, ręcznie zszytych rozetek, sprawiała wrażenie ulotnej jak obłok elegancji Gorset bez ramiączek ciasno opinał wąziutką talię Mimi, a lśniące, złote pukle spływały na kremowe ramiona i plecy. To była suknia z sześciocyfrową metką, jedyna w swoim rodzaju, mająca zwrócić uwagę wszystkich, kreacja, jaką stworzyć mógł tylko John Galliano. I należała do niej, przynajmniej na jedną noc.

Znajdowała się w dziale zajmującym się obsługą znakomitości u Christiana Diora.

Ekskluzywny salon wystawowy dostępny był tylko dla wybranych. Suknie na otaczających Mimi wieszakach przyfrunęły prosto z paryskich wybiegów — takie rozmiary mogły nosić tylko modelki i szczupłe jak modelki panie z towarzystwa.

Była tu kreacja Diora, którą Nicole Kidman miała na wręczeniu Oskarów, a także ta, w której Charlize Theron wystąpiła na rozdaniu Złotych Globów.

— Oszałamiająca — skinęła głową rzeczniczka Diora. — To jest absolutnie to.

Mimi sięgnęła po wysoki kieliszek szampana ze srebrnej tacy, trzymanej przez lokaja w białych rękawiczkach.

- Chyba tak - zgodziła się, wiedząc doskonale, że pięciometrowy tren sukni na pewno zwróci uwagę, kiedy będzie wkraczać na bal.

I w tym momencie w drzwiach pojawiła się Bliss. Mimi poprosiła przyjaciółkę, aby jej towarzyszyła, ponieważ uznała, że tajnie będzie mieć publiczność podziwiającą mierzone przez nią suknie. Mimi uwielbiała, kiedy płaszczące się przed nią przyjaciółki zazdrościły jej urody i statusu społecznego. Nie spodziewała się, że rzeczniczka Diora zacznie z takim entuzjazmem zachęcać Bliss, żeby także wypożyczyła suknię. Ale od kiedy Bliss podpisała kontrakt z agencją Farnsworth Modeling, a całe miasto zdobyły plakaty kampanii reklamowej dzinsów Stitched for Civilization, w której wystąpiła razem z Schuyler Van Alen, I teksańska różyczka stała się prawdziwą znakomitością w Nowym Jorku — a Mimi jeszcze jej tego nie wybaczyła. Bliss została nawet wybrana na „Girl of the Moment” magazynu „Vogue”, powstała też poświęcona jej strona internetowa. Mimi musiała spojrzeć w oczy strasznej prawdzie: jej przyjaciółka była sławna.

— No, i co o tym myślicie? - zapytała Bliss.

Mimi i rzeczniczka odwróciły się. Uśmiech na twarzy Mimi przygasł. Rzeczniczka podbiegła do Bliss Llewellyn.

— Cudowne! — wykrzyknęła. — Szkoda, że John nie może cię w tym zobaczyć.

Bliss miała na sobie welurową suknię w kolorze najciemniejszej zieleni, niemal czarną, dramatycznie podkreślającą kaskadę rudozłotych loków. Jej jasna jak kość słoniowa cera zdawała się niemal przezroczysta w zestawieniu z głębokim, szlachetnym kolorem tkaniny.

Niebezpiecznie głęboki dekolt sięgał od obojczyków niemal do pępka, pokazując spory fragment zagłębienia między piersiami, ale nie odsłaniając niczego nieprzyzwoitego. Gorset był wyszywany tysiącami kryształów Swarovskiego, lśniącymi na tkaninie jak gwiazdy na nocnym niebie. Była to fantastyczna kreacja, stworzona na wielkie wejścia, zdolna wynieść nieznaną aktorkę na szczyt listy gwiazd, mogąca rywalizować ze słynną suknią z agrafkami od Versacego, noszoną przez

Elizabeth Hurley.

— Podoba mi się - przyznała Bliss. W ozdobionych klejnotami szpilkach górowała nad Mimi.

Obie przejrzały się w lustrze.

Obok prostej w kroju, ale seksownej sukni Bliss jasnoróżowe rozetki Mimi zbladły, a uśmiech Mimi zgasł, kiedy Bliss okręcała się i tańczyła po salonie.

— Tylko wygląda na ciężką - powiedziała Bliss, ponosząc krawędź sukni. - Ale jest niesamowicie lekka.

— Została zrobiona z weneckiego jedwabiu, najlepszego na świecie - wyjaśniła rzeczniczka Diora. - Dziesięć belgijskich zakonnice oślepiło nad nią— zażartowała. - No to co, dziewczęta, chyba jesteście zdecydowane?

Mimi potrząsnęła głową. Prędzej szlag ją trafi, niż pozwoli! Bliss błyszczeć jaśniej od siebie tej nocy — jej nocy. Chciała być najpiękniejszą dziewczyną na sali balowej, a nie miała na to szans, jeśli Bliss przyćmi ją w tej koszmarnie strojonej sukni. Odwiedzenie tego miejsca było jej pomysłem, ale teraz mu-siała wybrać plan B. Nie zadowoli się ciuchem z pokazów mody — musi mieć suknię zrobioną specjalnie, tylko dla niej, zaprojektowaną przez mistrza. Suknię Balenciagi.

Wyszły z salonu wystawowego i przeszły na drugą stronę ulicy, na szybki lunch w restauracji na najwyższym piętrze Barneysa. Hostessa natychmiast posadziła je w przytulnym, cztero-osobowym boksie przy oknie, gdzie mogły być podziwiane przez dum pospółstwa. Mimi zauważyła po drugiej stronie sali Bran-non Prost, błękitnokrwistą redaktor naczelną „Chic”, siedzącą w towarzystwie czternastoletniej córki Willow, pierwszoklasistki w Duchesne.

Bliss była w świetnym humorze i promieniała szczęściem. Dalej mówiła o sukience.

- No jasne, wyglądałaś ekstra - powiedziała sucho Mimi. Uśmiech jej przyjaciółki zbladł, Bliss pospiesznie napiła się

wody, żeby ukryć rozczarowanie. Brak zainteresowania Mimi oznaczał, że wszelkie dyskusje na temat jej sukni balowej były zakończone. Bliss szybko zmieniła temat.

— Ale twoja była re-we-la-cja. Świetnie ci w różowym. Mimi wzruszyła ramionami

- No nie wiem. Chyba poszukam czegoś innego. Dior trochę wychodzi z mody, nie uważasz?

Jak to mówią, *passee*. Za bardzo przesadzony. Ale jasne, jeśli komuś się podoba, to świetnie - rzuciła pobłażliwie, kartkując oprawione w skórę menu.

- A gdzie się wybierzesz? - zapytała Bliss, starając się nie zwracać uwagi na wtykane przez Mimi szpilki. Wiedziała, że wygląda świetnie w swojej sukience i że Mimi jest po prostu zazdrosna — zawsze taka była. Ostatnim razem, kiedy wybrały się na zakupy, obie w modnym butik Intermix wypatrzyły cudowne karakułowe futro. Mimi pozwoliła Bliss je kupić, ale przy okazji zdyskredytowała noszenie futer. „Jasne, nie krępuj się. Wiem, że nie każdego musi obchodzić cierpienie małych zwierzątek”. Ostatecznie Bliss kupiła futerko, ale nie miała jeszcze odwagi go włożyć. Punkt dla Mimi Force.

A teraz jest po prostu zielona z zazdrości, bo wyglądałam ekstra w tej kiecce, pomyślała Bliss i natychmiast poczuła się zawstydzona, że myśli tak o przyjaciółce. Czy Mimi naprawdę była zazdrosna? O co mogłaby być zazdrosna prześliczna Mimi Force? Jej życie było totalnie doskonałe. Może Bliss przywiązywała do jej reakcji zbyt wielką wagę. Może Mimi miała rację, a sukienka rzeczywiście była przesadzona. Może Bliss faktycznie nie powinna jej zakładać. Szkoda, że w przymierzaniach nie było jeszcze kogoś, kogoś takiego jak Schuyler, na której szczerą opinię Bliss mogłaby liczyć. Schuyler nie zdawała sobie sprawy z własnej urody, ukrywając się pod warstwami starych ubrań.

- Nie mam pojęcia, gdzie mogę znaleźć suknię balową — powiedziała lekko Mimi. - Ale jestem

pewna, że coś sobie wybiorę.

Nie zamierzała tym razem zdradzać swoich planów. Niech Bóg ma ją w opiece, jeśli Bliss wpadnie na ten sam pomysł i zwróci się do projektanta Balenciagi z prośbą o przygotowanie sukni także dla niej.

Pojawiła się kelnerka, więc złożyły zamówienie. Dwa steki! w sosie pieprzowym.

- Krwisty - uśmiechnęła się Mimi, ukazując czubeczki kłów.

— Surowy — zażartowała Bliss, oddając menu, chociaż niej był to do końca dowcip.

— No nic. - Mimi wypięła łyk wody i rozejrzała się po ruchliwej restauracji, sprawdzając, czy ktoś na nią patrzy, lak. Kilka kobiet - turystek, sądząc po ich pastelowych zapinanych swe-trach i zdobionych gumkach do włosów w stylu lat osiemdziesiątych - szeptem plotkowało o niej. „Tam siedzi Mimi Force. Wiesz, Force News, jej ojciec ma miliardy. W zeszłym tygodniu! było o niej w Styles. Totalnie nowa Paris Hilton”.

— Mówiłam, sukienka ma mniejsze znaczenie. Ważne jest, kto ci towarzyszy — powiedziała Mimi.

— Towarzyszy? — zakrztusiła się Bliss. — Nie wiedziałam, że mu-simy mieć partnerów.

Mimi roześmiała się.

— Jasne, że musisz mieć partnera. To przecież bal.

- A ty z kim idziesz?

- Z Jackiem—odparła natychmiast Mimi, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie.

- Z bratem? - spytała zaszokowana Bliss. - Yyyy, znaczy, te?

- To rodzinna tradycja - prychnęła Mimi. - Bliźnięta zawsze idą razem. Poza tym, on przecież...

- On przecież co? - zainteresowała się Bliss.

Mimi zamierzała powiedzieć, że on przecież nie jest naprawdę jej bratem, ale to nie był odpowiedni czas ani odpowiednie miejsce na wyjaśnienia dotyczące skomplikowanego, nieśmiertelnego romansu i łączącej ich więzi. Bliss by nie zrozumiała. Nie panowała jeszcze nad swoimi wspomnieniami i miała zostać oficjalnie przedstawiona dopiero na przyszłorocznym balu.

- Nic takiego — odparła Mimi, patrząc na postawione przed nimi talerze. - O, wygląda, jakby jeszcze oddychało - uśmiechnęła się i wbiła nóż w mięso, plamiąc nieskazitelnie biały talerz krwią.

Partner, pomyślała Bliss. Partner na Bal Czterystu. Wiedziała, że jest tylko jeden chłopak na świecie, który powinien jej towarzyszyć.

- No, więc co z tobą? Może pójdiesz z Jaimem Kipem? - zaproponowała Mimi. - Wygląda ekstra i jest wolny. — Jaime właściwie miał dziewczynę, ale ponieważ była czerwonokrwista, w oczach Mimi w ogóle się nie liczyła.

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć - szepnęła Bliss. Nie zamierzała zwierzać się Mimi, ale nie mogła dłużej ukrywać swoich myśli i nadziei. Szczególnie jeśli mowa o chłopakach.

- Słucham? — uniosła brew Mimi.

- Myślę, że Dylan żyje. - Bliss pospieszenie i chaotycznie opowiedziała, jak znalazła się w stawie w Central Parku i została uratowana przez chłopaka, którego twarzy nie widziała, ale którego głos brzmiał niesamowicie znajomo.

Mimi popatrzyła na nią ze współczuciem. Słyszała od ojca, co się wydarzyło. Dylan został zaatakowany i zabity przez srebrnokrwistego. Nie było szans, żeby przeżył. Nigdy nie znaleziono; jego ciała, ale złożone przed Komitetem zeznania Bliss, dotyczące wydarzeń tamtego tragicznego wieczoru, jasno świadczyła o jego losie.

- Bliss, skarbie, to naprawdę super, że myślisz, że ten facet, ten twój „ratownik”, to był Dylan. Ale to niemożliwe. Wiesz tak samo dobrze jak ja...

- Co wiem? - broniła się Bliss.

- Ze Dylan nie żyje.

Słowa zawisły między nimi w powietrzu.

-i on nigdy nie wróci, Bliss. Nigdy. - Mimi westchnęła, odkładając sztucce. - Więc pomówmy serio. Mam cię z kimś umówić? Jaime Kip to naprawdę niezłe ciacho.

OSIEM

Schuyler obudziła się na gigantycznym łożu stojącym w samym centrum ogromnej komnaty, umeblowanej niczym średniowieczne królewskie apartamenty. Ścianę ozdabiał olbrzymi gobelin ukazujący śmierć jednorożca, z sufitu zwieszał się potężny złoty żyrandol z setką woskowych świec, a samo łoże przykrywały zwierzęce skóry. Od całości aż biło wrażenie brutalnego, prymitywnego luksusu.

Zamrugła, błyskawicznie sięgając ręką do szyi. Nie wyczuła śladów ukąszenia. Przynajmniej pod tym względem była bezpieczna. Miała także na sobie własne ubranie.

- Obudziła się pani.

Schuyler odwróciła się, szukając źródła głosu. Pokojówka w czarnej sukience i białym fartuszk dygnęła.

- Czy mogłaby pani pozwolić ze mną, panno Van Alen? - spytała. — Mam zaprowadzić panią na dół.

Skąd zna moje nazwisko?

- Gdzie jesteśmy? - Schuyler odsunęła przykrycie i wciągnęła motocyklowe buty, które znalazła na podłodze.

- W Pałacu Dożów - odparła pokojówka, wyprowadzając ją z pokoju i kierując się w stronę spiralnej klatki schodowej oświetlonej pochodniami.

Palazzo Ducale, czyli Pałac Dożów, był przez wieki siedzibą władz Wenecji. Mieściły się w nim organy administracyjne i sądownicze, a także sale narad i prywatne apartamenty dożów.

Turyści mogli zwiedzać wielkie sale i galerie — Schuyler była tu już na oficjalnej wycieczce.

Uświadomiła sobie, że znajduje się w prywatnych apartamentach, w odgradzonej części pałacu, niedostępnej dla zwiedzających.

Pokojówka gestem poprosiła ją, by za nią podążała i Schuyler zeszła schodami do długiego holu. Na jego końcu znajdowały się masywne dębowe drzwi, na których wyryto rozmaite hieroglify i symbole pogańskie.

- Tu go pani znajdzie — powiedziała pokojówka, otwierając drzwi.

Schuyler weszła do środka i znalazła się w przestronnej, magnackiej bibliotece. Wysokie okna przesłaniały zasłony z czerwonego aksamitu. Na półkach z drewna orzechowego stały rzędy oprawnych w skórę książek. Wszędzie pełno było zwierzęcych skór i trofeów myśliwskich.

Przygarbiony, siwowłosy dzentelmen w tweedach od Harrisa siedział w okazałym skórzanym fotelu przed buzującym kominkiem.

— Podejź — polecił.

Obok niego dostrzegła przystojnego chłopaka, którego spotkała na Biennale. Skinął Schuyler głową i wskazał jej stojące przed nimi krzesło.

— Rzuciłeś na mnie zakłęcie - oskarżyła go Schuyler. Chłopak nie próbował zaprzeczać.

— To był jedyny sposób, aby upewnić się co do twojej tożsamości i prawdziwych intencji.

Nie martw się, nie spotkała cię żadna krzywda.

— I co? Jesteście zadowoleni?

— Tak - powiedział ponuro chłopak. — Nazywasz się Schuyler Van Alen. Zatrzymałaś się w hotelu Danieli, razem z Olive-rem Hazardem-Perrym i jego synem, także Oliverem. Przybyłaś tu z jakąś misją. Pozwól, że podzielę się z tobą radosną wieścią: twoje poszukiwania się zakończyły.

— W jaki sposób? - zapytała ostrożnie Schuyler.

— To jest profesor — odparł chłopak.

— Słyszałem, że mnie szukasz - powiedział życzliwie profesor. — Nie jestem już fak popularny wśród amerykańskich studentów, jak niegdyś. Dawniej całe pielgrzymki przychodziły na moje wykłady, ale teraz o mnie zapomniano. Powiedz mi, czemu tu przyjechałaś?

— Przysłała mnie Cordelia Van Alen - oznajmiła Schuyler. Na dźwięk tego imienia profesor i chłopak wymienili znaczące

spojrzenia. Ciepło kominka sprawiło, że policzki Schuyler rozgrzały się, ale nie tylko płomieniom zawdzięczała rumieniec na bladej skórze. Tak bezpośrednie wymienienie imienia Cordelii sprawiło,

że poczuła się bezbronna. Kim byli ci dziwni mężczyźni? Dlaczego ją tu sprowadzili? Czy słusznie powoływała się na prośbę Cordelii o pomoc?

— Mów dalej - zachęcił profesor, pochylając się do przodu i taksując ją wzrokiem.

— Cordelia była moją babką... - zaczęła Schuyler. Nawet jeśli obaj byli wrogami, nie mogła się teraz wycofać. Rozejrzała się po sali, szukając drogi ucieczki. W jednej ze ścian biblioteki zauważyła ukryte drzwi. Może tamtędy mogłaby się wydostać? W przeciwnym razie pozostałoby jej chyba tylko wyfrunąć przez okno. Oczywiście o ile wcześniej udałoby się obezwładnić starszego mężczyznę i chłopaka stosownym zaklęciem.

— Była? — zapytał chłopak.

— Zakończyła ten cykl. Została zaatakowana— Schuyler gwałtownie wciągnęła powietrze.

— Przez srebrnokrwistego. Croatana.

— Skąd wiesz? — naciskał chłopak. — O srebrnokrwistych nikt nie słyszał od siedemnastego wieku. Ich istnienie zostało wymazane z historii błękitnokrwistych.

— Sama mi to powiedziała.

— Ale nie została... zabrana? — zapytał ochryple chłopak.

— Nie, na szczęście. Atak nie pozbawił jej całej krwi i wspomnień. Przeżyła, aby powrócić w następnym cyklu.

Chłopak oparł się na krześle. Schuyler zauważyła, że bawił się trzymanymi w lewym ręku kluczykami samochodowymi, a prawym kolanem niecierpliwie poruszał w górę i w dół, czekając na ciąg dalszy opowieści.

— Mów dalej - ponaglił profesor.

— Cordelia powiedziała, że kluczem do pokonania srebrno-krwistych jest odnalezienie jej ukrywającego się męża, Lawrence'a Van Alena. Uważała, że jeśli przyśle mnie... Jeśli przyśle mnie do Wenecji, będę mogła go odnaleźć. Czy mi się to udało?

Oczy starszego mężczyzny zalśniły.

— Być może.

— Dziadku, przybyłam, żeby cię prosić o pomoc. Cordelia powiedziała, że najważniejszą rzeczą...

Chłopak odchrząknął gwałtownie. Schuyler spojrzała na niego.

— Ja jestem Lawrence Van Alen - powiedział, pochylając się do przodu. Jego rysy zmieniły się, nie tyle rozmywając, ile przekształcając płynnie, tak że teraz wygląda! na starszego. Ale nie na przygarbionego, siwowłosego dziadka z wyobrażeń Schuyler. Miała przed sobą wysokiego, szczupłego mężczyznę z lwią grzywą włosów, takich samych jak u chłopaka, tylko przyprószonych srebrem. Zachował orli nos i arogancki podbródek.

Sala tak jakby skurczyła się w jego obecności. Emanował czymś władcym, ostre spojrzenie onieśmiało. Oto ktoś, kto mógł okazać się godnym rywalem Charlesa Force'a, pomyślała Schuyler.

— Jesteś zmiennokształtnym — spojrzała z podziwem. — Czy to twoja prawdziwa postać?

— Na tyle, na ile w ogóle można mówić o prawdziwej postaci — odparł Lawrence. —

Anderson, zostaw już nas, proszę.

Starszy dżentelmen mrugnął do Schuyler i wyszedł z sali, bezgłośnie zamykając ciężkie, drewniane drzwi.

Schuyler poprawiła się na krześle, zauważając wyblakły dywan Aubusson na kamiennej posadzce. Przypominał dywany w bibliotece Cordelii przy Sto Pierwszej.

— To twój zausznik?

Lawrence skinął głową. Wstał, podszedł do znajdującego się naprzeciw kominka wbudowanego w ścianę barku, otworzył niższą szafkę i wyjął butelkę porto. Nalał dwa kieliszki szkarłatnego trunku, wręczając jeden z nich Schuyler.

— Tak pomyślałam — powiedziała, przyjmując wino. Było słodkie, ale bez przesady, z doskonałym bukietem. Alkohol nie działał na wampiry, ale większość z nich mimo to rozkoszowała się jego smakiem.

— Zauważyłem. Chciałaś się zwrócić do mnie, ale powstrzymałaś się w ostatniej chwili. Skąd wiedziałaś?

— Pan domu zwykle siada po lewej stronie, tam, gdzie ty siedziałeś, a on był na prawo od ciebie — wyjaśniła Schuyler. Tej zasady ze średniowiecznej etykiety nauczyła się z obszernych lekcji Cordelii dotyczących historii błękitnokrwistych. Król zawsze zasiadał po lewej stronie, a królowa lub dowolna niżej postawiona osoba siedziała po jego prawicy.

— Jesteś bardzo spostrzegawcza. Zapomniałem. Starzeję się.

— Przykro mi, że nie ma ze mną Cordelii— odezwała się miękko Schuyler.

Lawrence westchnął.

— Nie szkodzi. Nie widzieliśmy się od ponad stu lat. Przywykłem do samotności. Nie tracę nadziei, że pewnego dnia będziemy mogli bezpiecznie być znowu razem. - Oparł się na krześle, wyjmując cygaro z kieszeni. - A więc jesteś córką Allegry - ciągnął, odcinając koniec cygara srebrną obcinarką. - Obserwowałem cię. Wiedziałem, że mnie szukasz, od chwili, gdy przybyłaś do Wenecji. Wyczułem coś... Myślałem, że to twoja matka, ale napotkałem inny rodzaj energii. Widziałaś mnie.

- Byłaś tą kobietą, którą spostrzegłam dzisiaj na ulicy. Przybrałaś postać Allegry - myślała na głos Schuyler. Stopniowo wszystko nabierało sensu.

Lawrence skinął głową.

- Czasem to robię. Chociażby dlatego, że od dawna za nią tęsknię.

Zaciągnął się cygarem i wypuścił dym.

- Obawiałem się ujawnić, dopóki nie zyskałem pewności co do tego, kim jesteś. Mam wielu wrogów, Schuyler. Polują na mnie od wieków. Mogłaś być jednym z nich.

Schuyler wyprostowała się nagle, niemal rozlewając porto.

- Ta kobieta w hotelu! To także byłeś ty, przynajmniej na początku.

- Tak, oczywiście ~ zaśmiał się Lawrence.

- Dlatego powiedziała, że wcześniej nas nie widziała, kiedy zeszliśmy ze schodów. Mówiła prawdę — Schuyler postawiła pusty kieliszek na stoliku obok, starannie umieszczając go na jednej z połączonych podstawek.

- Marie jest uczciwą gospodynią, ręczę za to — uśmiechnął się Lawrence.

- Dlaczego pokazałaś nam swój pokój i - Nie zamierzałem, ale ścigałaś mnie i musiałem schronić się w jednej z moich kryjówek w tym mieście. Mam tu wiele adresów, to konieczne, żeby się ukrywać. Marie mówiła prawdę, pokój był zaryglowany. Ale otworzyłaś go i uznałem to za dobra

omen. Pomyślałem, że podsunę ci wskazówkę — przekonam się czy zdołasz mnie odnaleźć na Biennale. Dobrze się spisałaś. Tali samo jak mnie zainteresował cię Olafur Eliasson.

— Ale dlaczego wtedy przede mną uciekłeś? Musiałam cię gonić.

— I prawie mnie złapałaś. Boże, ta twoja szybkość, jesteś nie-prawdopodobnie silna!

Potrzebowałem całej mojej energii, żeby utrzymać dystans. Dalej nie miałem pewności co do twojej tożsamości i intencji. Zaskoczyłaś mnie przed pawilonem kolonialnym. Przykro mi, że musiałem cię uśpić zaklęciem.

— Dlaczego teraz mi wierzysz? — spytała Schuyler.

— Ponieważ tylko córka Allegry mogła znać prawidłowe słowa *Advoco adiuvo*, wypowiedzianej przez ciebie inwokacji. Zawarliśmy z Cordelią umowę, że jeśli kiedykolwiek będziemy chcieli się skontaktować, nasi wysłannicy użyją tych słów ze świętego języka.

Inaczej mimo wszystkich twoich sił nie znalazłabyś mnie, nawet gdybyś szukała tysiąc lat.

Ale musiałem cię uśpić, potrzebowałem czasu, żeby się przekonać, czy nie zostałaś skażona.

Musiałem zabrać cię w bezpieczne *miejsce*, gdzie nikt nie będzie nas śledził.

Schuyler skinęła głową. Mogła się tego domyślić.

— A zatem, skoro mnie znalazłaś, czego oczekujesz? — zapytał Lawrence, patrząc na nią przez kłęby dymu.

- Chcę się dowiedzieć wszystkiego o srebrnokrwistych.

DZIEWIEĆ

Następnego dnia w Duchesne rozpoczął się tydzień egzaminów semestralnych. W odróżnieniu od innych szkół uczniowie tej ekskluzywnej placówki czekali na nie z niecierpliwością, ponieważ oznaczały one skrócone lekcje i bliski początek ferii. Bliss rzuciła okiem na swój grafik, wchodząc pospiesznie przez szkolne drzwi, lśniącego złotym mosiądzem i szkłem. Dzisiaj miała angielski i rozszerzoną historię Ameryki. Jutro —

niemiecki i biologię. W środę — nauki społeczne, żadnych egzaminów w czwartek, a w piątek tylko ustny francuski.

Idąc wielkimi schodami na trzecie piętro, zauważyła, że wszystkie dziewczęta ubrane są w spodnie do jogi, T-shirty i znoszone botki, podczas gdy chłopcy paradują w wyblakłych podkoszulkach, dziurawych dżinsach i trampkach.

Co się stało? Ona była ubrana jak zawsze: obcisłe dżinsy-rurki, wepchnięte w sięgające do kolan „pirackie” botki z klamerkami, i sweter Stelli McCartney na marszczącej bluzie Dereka Lama. Dlaczego wszyscy wyglądali, jakby wstali nie przytomni z łóżka i ubierali się po omacku?

— Cześć, Bliss! — krzyknęła Mimi, wybiegając z biblioteki na drugim piętrze.

Bliss ze zdumieniem zobaczyła Mimi w stroju, którego nie; powinna była dać sobie założyć, póki żyje. Długie blond włosy ściągnęła krzykliwą, czerwono-niebieską bandaną, niemal *nie* miała makijażu (Bliss zauważyła nawet malutki pryszcz na jej podbródku). Obszerny T-shirt z godłem drużyny lacrosse’a, pożyczony od brata, wisiał na jej drobnej sylwetce, a stroju dopełniały flanelowe, przypominające piżamę spodnie i wygodne włóczkowe klapki.

— Cześć! - odpowiedziała Bliss.

— Nie mam czasu, spóźnię się na chemię - wyjaśniła Mimi, zbiegając po schodach i klapiąc pantoflami po marmurze.

— Dopiero przyszałaś? — zapytała Soos Kemble, wychodząc za Mimi. Miała na sobie za duży podkoszulek z napisem „Oxford” i luźne dżersejowe legginsy, a jej jasne włosy były pozwijane. Ta sama dziewczyna przychodziła zazwyczaj do szkoły z idealnie wymodelowaną fryzurą, w najdroższych markowych ciuchach.

— Tak — wzruszyła ramionami Bliss. — A co?

— Wszyscy są tu od świtu — ziewnęła Soos. — Tylko tak można zająć najlepsze miejscówki w bibliotece w czasie egzaminów.

To ciekawe, pomyślała Bliss. Nigdy do końca nie rozumiała niepisanych zasad rządzących Duchesne, ale najwyraźniej wygląkanie jak „kujon” było krzykiem mody podczas egzaminów. Należało sprawiać wrażenie, że zakuwało się dzień i noc do tych stów, traktując je ze śmiertelną powagą. Nawet hiperinteligentni błękitnokrwisci musieli się uczyć.

Bliss obiecała sobie, że następnego dnia pojawi się w szkole w swojej najstarszej piżamie.

Nienawidziła wyróżniać się na tle otoczenia. Po raz kolejny wszyscy mogli zobaczyć, że ona, w odróżnieniu od swoich kolegów, nie uczęszczała do Duchesne od żłobka. Czy zawsze będzie niedoinformowaną outsiderką? Zastanowiła się, czy powinno ją zezłościć to, że Mimi nie uprzedziła jej o nieformalnym stroju, ale uświadomiła sobie, że Mimi ma pewnie lepsze rzeczy do roboty, niż doradzać jej, co powinna włożyć na egzamin.;;./’

Kiedy Bliss pojawiła się w sali historycznej, niemal wszyscy w klasie siedzieli już na swoich miejscach, czekając, aż nauczyciel rozda im testy. Bliss usiadła na końcu, rozglądając się za Schuyler i Oliverem. Chciała podzielić się z nimi wiadomością o powrocie Dylana. Nawet jeśli Mimi jej nie wierzyła, oni uwierzyliby na pewno. Ale nie miała szczęścia.

Przypomniała sobie, że oboje dostali pozwolenie na wcześniejsze przystąpienie do egzaminów, żeby mogli pojechać na dwa tygodnie do Wenecji. Szczęściarze.

Bliss spojrzała na niebieski zeszyt do eseju. Pierwsze pytanie dotyczyło podróży „Mayflower”, pielgrzymów i założenia trzynastu kolonii. Ponieważ sama to przeżyła, wystarczyło zamknąć oczy i już mogła zobaczyć ich położone na odludziu osady. Była pewna, że dostanie maksimum punktów.

Wstała i oddała esej, przekonana, że poszło jej doskonale: Będący także w jej klasie Jack Force uśmiechnął się przyjaźnie, oddając swoją pracę tuż po niej. Przytrzymał jej drzwi i wyszli razem.

- Jak poszło? - zapytał, kiedy znaleźli się na korytarzu, przy schodach.

- Świetnie - odparła. - Miałam poczucie, że ściągam... no wiesz.

Skinął głową.

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Wystarczy zamknąć oczy, nie?

- Zupełnie jakbyśmy ściągali z podręcznika - zgodziła się Bliss.

- Wiesz, w sumie nie musimy koniecznie z tego korzystać — mruknął Jack.

- Co mówisz? - nie dosłyszała Bliss.

- Nic takiego — wzruszył ramionami. Miał nieobecny wyraz twarzy i Bliss zastanawiała się, co się z nim dzieje. Nie знаła go szczególnie dobrze, mimo że często przebywała w jego towarzystwie, bo Mimi lubiła mieć brata obok siebie.

- Powodzenia na egzaminach — Jack po koleżeńsku klepnął ją po plecach.

- Wzajemnie - odparła Bliss. Spojrzała na zegarek. Miała kilka godzin do następnego egzaminu. Może powinna kupić jakąś przekąskę w delikatesach na rogu i spróbować znaleźć miejsce w bibliotece — o ile zostały jeszcze jakiegokolwiek niezajęte.

Kiedy schodziła po schodach, zrównała się z nią dziewczyna.

- Tak? — uniosła brew Bliss.

To była Ava Brenton, także drugoklasistka, czerwonomokrwi-8ta, ale mimo to bardzo popularna.

Niemal wszyscy jej przyjaciele byli błękitnokrwistymi, choć ona o tym nie wiedziała. Bliss zauważyła na jej szyi charakterystyczny ślad, świadczący o tym, że Jaime Kip, jej błękitnokrwisty chłopak, uczynił ją swoją familiantką. Interesujące.

— Bliss, można na chwilę? - zapytała Ava, wpychając kosmyk włosów za ucho. Miała na sobie cienki T-shirt z długimi rękawami American Apparel, a pod spodem ciepły szary podkoszulek i koszykarskie szorty swojego chłopaka.

-Jasne.

— Wiesz coś o tej imprezie, którą Mimi i Jack robią w przyszłym tygodniu?

Bliss rozejrzała się niepewnie. -Ja...

— Spoko. Znaczący, Jaime naprawdę ostatnio świruje. Rozumiem, że idzie na ten bal w St.

Regis z rodzicami - serio, koszmarne obciach, nie? Ale nie wiem, czemu mnie nie zaprosił na after party.

— Przykro mi — Bliss czuła się niezręcznie. Nie znosiła sytuacji, kiedy ludziom odmawia się przyjemności. Pamiętała, jak wyglądało jej życie, zanim Mimi wzięła ją pod swoje skrzydła.

Nie miała serca w takim samym stylu wykluczać innych. To było płytkie, snobistyczne i pasowało do Mimi. Na pewno nie leżało w naturze Bliss. Poza tym, co za różnica? Może i Bal Czterystu był tylko dla błękitnokrwistych, ale after party miało być dla nastolatków. Zdaniem Bliss, im więcej osób, tym lepsza zabawa. Jeśli ktoś miał ochotę przyjść, to niby czemu należało] mu tego zabraniać?

-Ja tylko... tylko... znaczy, wiem, że wszyscy dostaną za-proszenie. - Ava przygryzła wargi. -

A jeśli ja nie dostanę...

- O północy, w Angel Orensanz Center - wypaliła Bliss. - To będzie bal maskowy. Musisz mieć jakąś maskę, coś w stylu przebrania, żeby wejść.

Na twarzy Avy pojawił się uśmiech zachwyty.

- Dzięki, Bliss. Jesteś NIESAMOWITA. Szlag.

Poniosło ją i ma, czego chciała. Zaprosiła czerwonokrwistą na imprezę. Mimi naprawdę się wkurzy.

by Hazaja

www.chomikuj.pl/Hazaja

DZIESIĘĆ

Nadzieja. Wszystko to było beznadziejne. Jej dziadek okazał się bezużyteczny: wystraszony staruszek, dla którego w życiu liczą się tylko jego książki i porto. Czego właściwie się spodziewała? Nauczyciela, przewodnika, opiekuna... ojca. Kogoś, kto chociaż na chwilę zdjąłby ciężar z jej ramion.

Pakując bagaże w hotelowym pokoju, Schuyler przypomniała sobie, co usłyszała na pożegnanie od Lawrence'a.

- Przykro mi, Schuyler. Cordelia nie powinna była cię do mnie przysyłać.

Zaczął przechadzać się przed kominkiem.

- Prawdę mówiąc, nie interesują mnie już w najmniejszym stopniu sprawy błękitnokrwistych.

Od czasów Roanoke umyłam ręce od wszystkiego, co ich dotyczy. Postanowili podporządkować się Michałowi, jak zawsze - nawiązywał do decyzji Rady, która po kryzysie w Roanoke, gdy wyglądało, że srebrno-krwiści powrócili, ponownie wybrała Michała na Regisa. — I o ile się nie mylę, nadal im przewodniczy jako Charles Force. — Lawrence potrząsnął głową. - Kiedy odwrócił się od rodziny i zrzekł nazwiska Van Alen, przysięgłem, że nigdy nie wrócę do zgromadzenia. Przykro mi, że na próżno przybyłaś do Wenecji. Jestem starym mężczyzną. Chcę w spokoju spędzić moje nieśmiertelne życie.

Nie mogę ci w niczym pomóc.

— Ale Cordelia mówiła...

— Cordelia jak zawsze za bardzo we mnie wierzyła. Kluczem; do pokonania srebrnokrwistych są Charles i Allegra, nie ja. Tylko ci, którzy pozostali bez skazy, mogą ocalić błękitnokrwistych przed srebrnokrwistą Obrzydliwością. Przykro mi, że nie mogę ci pomóc. Udając się na wygnanie, na zawsze wyrzekłem się błękitnokrwistych.

— Czyli Charles Force miał rację — powiedziała Schuyler drżącym głosem.

— W czym? — zapytał ponuro Lawrence.

— Powiedział, że nie jesteś nawet w części takim mężczyzną, jakiego chciałaby w tobie widzieć Cordelia. I że podróż do Wenecji przyniesie mi tylko smutek i rozczarowanie.

Lawrence cofnął się, jakby ktoś go uderzył. Przez jego twarz przemknęły rozmaite uczucia —

wstyd, gniew, duma — ale nie odezwał się. W końcu gwałtownie odwrócił się i wyszedł z sali, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

###

No cóż, to już koniec. Schuyler zapięła torbę podróżną, rzuciła pasek na ramię i poszła do windy, gdzie czekał na nią Oliver. Nie przywitał się z nią.

Wiedziała, że gdyby tylko chciała, mogłaby zajrzeć do jego umysłu - wysyłał swoje myśli jak radio satelitarne. Ale zawsze go wyłączała. Czuła, że nie w porządku byłoby się wtrącać.

Poza tym nie potrzebowała nadprzyrodzonych mocy, żeby wiedzieć, że jest dalej na nią wściekły, ponieważ nie zadzwoniła zeszłego wieczoru.

Kiedy szofer Lawrence'a odwiózł ją poprzedniej nocy do hotelu, znalazła kilkanaście nerwowych wiadomości w poczcie głosowej komórki i na sekretarce w hotelowym pokoju.

Mogła oddzwonić, ale było tak późno, że nie chciała go budzić.

— Myślałem, że nie żyjesz - powiedział oskarżycielsko Oliver.

— Jakbym nie żyła, dostałbyś mojego iPoda.

— Też coś, jest do bani. Nawet filmów nie odtwarza. Schuyler ukryta uśmiech. Wiedziała, że Oliver nie potrafi

długo się gniewać.

— Poza tym straciłaś niezłą komedię, w telewizji było jakieś rozdanie europejskich nagród muzycznych. David Hasselhoff zgarnął wszystkie.

— Fakt, co za pech. Odchrząknął.

— Ojciec wrócił wcześniejszym lotem. Musiał być na jakimś spotkaniu udziałowców.

Schuyler spojrzała kątem oka na przyjaciela. Kasztanowa szopa włosów spadała mu na czoło, ciepłe orzechowe oczy z zielonymi i topazowymi plamkami kryły urazę i niepokój.

Powstrzymała się przed dotknięciem jego szyi, wyglądającej tak bezbrinnie i zachęcająco.

Ostatnio odkryła w sobie nowe pragnienie - głód krwi. To było stłumione uczucie, jakby muzyka w głowie, niemal niezauważalna, ale czasem rozbrzmiewająca głośniejsz, niedająca się z niczym pomylić. Odkryła, że Oliver przyciąga ją w nowy sposób i rumieniła się, kiedy patrzyła na niego.

Schuyler przypomniała sobie, że jej ojciec, człowiek, był familiantem jej wampirzej matki, a Allegra postanowiła go poślubić, łamiąc prawa wampirów. Po raz pierwszy w historii błękitnokrwistych granice między rasami zatarły się i na świat przysła Schuyler. Pół

człowiek, pół wampir. *Dimidium cognatus*.

Dowiedziała się o swoim pochodzeniu zaledwie kilka miesięcy temu, ale teraz rozumiała płynące w jej krwi przeznaczenie, tworzące zawily wzór żył pod skórą. Krew pragnęła krwi.

Krwi Olivera...

Nigdy nie zauważyła, jak przystojny jest jej przyjaciel. Jak miękka jest jego skóra. Jak bardzo chciałaby wyciągnąć rękę i dotknąć palcami tego miejsca poniżej jabłka Adama, pocałować go tam, a potem, być może, przekłuć jego skórę zębami, wbić kły... i nasycić głód...

— Gdzieś ty właściwie była? — Oliver przerwał strumień jej myśli.

- Długa historia - odpowiedziała Schuyler. Drzwi windy otwarły się i oboje weszli do środka.

Kiedy jechali rozklekotaną taksówką przez brukowane ulice na małe lokalne lotnisko, Schuyler opowiedziała uważnie słuchającemu Oliverowi wszystko, co się wydarzyło.

- Cholerna szkoda - podsumował Oliver, - Ale może jeszcze zmieni zdanie.

Schuyler wzruszyła ramionami. Przedstawiła swoją prośbę, zgodnie z tym, co poleciła babka, ale odmówiono jej pomocy. Nie przypuszczała, żeby mogła jeszcze cokolwiek zrobić w tej sprawie.

- Może tak, może nie. Mówmy o czym innym — westchnęła.

Lot do Rzymu był opóźniony, więc Schuyler i Oliver dla zabicia czasu przeglądali sklepy wolnościowe i z upominkami. Oliver, szczerząc zęby, pokazał jej pikantne włoskie pisemko.

Schuyler wybrała kilka czasopism, butelkę wody i gumę, żeby złagodzić zmiany ciśnienia w uszach podczas startu i lądowania. Czekając w kolejce do kasy, zauważyła stos weneckich masek. W mieście było ich pełno na ulicznych straganach, mimo że do karnawału pozostawało jeszcze kilka miesięcy. Nie zwracała większej uwagi na te wszystkie tanie śmiecie, ale jedna maska na stoisku przykuła jej uwagę.

Zakrywała całą twarz, miała tylko otwory na oczy i była zrobiona z najdelikatniejszej porcelany, ozdobionej złotymi i srebrnymi koralikami.

- Popatrz - podniosła ją i pokazała Oliverowi.

- Po co ci ta tandeta? - zapytał.

- Nie wiem. Nie mam żadnej pamiątki z Wenecji. Wezmę ją.

Lot do Rzymu był niespokojny, a lot do Nowego Jorku jeszcze! gorszy - napotkali tyle turbulencji, że Schuyler miała wrażenie, iż szczerkanie zębów za każdym razem, gdy samolotem rzucało! doprowadzi ją do szału. Ale kiedy, wyglądając przez okno, zobaczyła panoramę Nowego Jorku, poczuła przypływ miłości do tego miasta. Posmutniała na myśl o tym, że w domu czeka na nią! tylko dwójka wiernych służących, będących zgodnie z ostatnią wolą Cordelii, jej prawnymi opiekunami. Przynajmniej miała Beauty, swoją sukę rasy ogar, prawdziwą przyjaciółkę i obrończynię. Obecność Beauty także wiązała się z przemianą Schuyler - ogar był częścią jej duszy, przeniesioną do odrębnej fizycznej powłoki, aby chronić właścicielkę, dopóki ta nie nauczy się w pełni kontrolować swoich mocy. Schuyler tęskniła za psem.

Schuyler i Oliver, zmęczeni podróżą, podeszli do pasa trans-i misyjnego, żeby zabrać bagaże.

Po niemal piętnastu godzinach w drodze oboje wyglądali mizernie, a Nowy Jork zaczynał otulać zmierzch. Wyszli na zewnątrz, w lekko prószący śnieg. Trwał pierwszy tydzień grudnia i zima nareszcie się rozpoczęła.

Oliver zauważył wysłany przez rodziców samochód z szoferem, czekający przy krawężniku.

Zaprowadził Schuyler do czarnego maybacha, a kiedy umościł się w przytulnym wnętrzu, Schuyler podziękowała bogom, że zesłali jej Olivera. Jego (nietknięta) rodzinna fortuna z pewnością przydawała się w takich momentach.

Jechali do miasta w milczeniu, zajęci własnymi myślami. Na autostradzie był niewielki ruch, więc w pół godziny znaleźli się na Manhattanie. Samochód przejechał mostem George'a Washingtona i skręcił w Sto Dwudziestą Piątą, a potem w dół Riverside, do posiadłości Van Alenów na rogu Sto Pierwszej i Riverside Drive.

— Dobra, jesteśmy na miejscu - powiedziała Schuyler. - Dzięki za wszystko, Ollie. Szkoda, że nie wyszło z moim dziadkiem.

— Jasne, nie ma sprawy. „Chronić i służyć” oto moje motto.

Oliver pochylił się, żeby jak zawsze pocałować ją w policzek, ale Schuyler w ostatniej chwili odwróciła głowę, zderzając się z nim nosem.

— Ups... — powiedziała.

Oliver sprawiał wrażenie zakłopotanego, więc ostatecznie objęli się tylko niezgrabnie.

Co się z nią działo? Był jej najlepszym przyjacielem. Dlaczego zachowywała się tak głupio?

Miała już wysiadać, kiedy odchrząknął. Spojrzała na niego.

— Mówiłeś coś?

— No, tak myślę, wybierasz się tam dzisiaj, nie? — zapytał, pocierając podbródek.

~ Tam? — zamrugła Schuyler.

— No, na ten Bal Czterystu — powiedział Oliver, przewracając oczami i rysując palcami ogromny cudzysłów w powietrzu. — Na wielką balangę krwio pijców.

— A, fakt. - Niemal całkowicie o tym zapomniała. Jej obecność jako członkini Komitetu była wymagana. Chociaż nie osiągnęła jeszcze odpowiedniego wieku, by mogła zostać oficjalnie przedstawiona podczas balu, w odróżnieniu od Mimi i Jacka Force'ów. Jack Force... Od tygodni tłumiała swoje uczucia do niego, ale na myśl o Balu Czterystu natychmiast zobaczyli przed oczami jego obraz. Wysoki, boleśnie przystojny, z rozświetloną słońcem skórą i włosami, przenikliwymi zielonymi oczami, pokazujący w uśmiechu równe, olśniewająco białe zęby.

To Jack jako pierwszy zaczął podejrzewać, że za śmiercią Aggie kryje się coś więcej, niż ktokolwiek z Komitetu chciałby? podejrzewać. To on z determinacją starał się dotrzeć do prawdy. Poszukiwała go, kiedy sama została zaatakowana, a kiedy ją pocieszył, pocałowali się. Wspomnienie tamtego pocałunku dalej pozostawało odcisnięte na jej wargach. Kiedy zamykała oczy, mogła przywołać jego zapach, czysty i świeży jak dopiero co wyprany len, z leśną nutą wody po goleniu.

Jack Force...

Który odwrócił się od niej, kiedy niesłusznie oskarżyła jego ojca o bycie srebrnokrwistym.

Zastanawiała się, czy Jack przyjdzie na bal z partnerką, a jeśli tak, to kto nią będzie. Czowała płomienną zazdrość na myśl o innej dziewczynie w jego ramionach.

— Wybierzesz się ze mną? — Do tej pory nie zastanawiała się ani nad swoją sukienką, ani nad partnerem.

Oliver zarumienił się i wyglądał nieszczęśliwie.

— To... no wiesz... tylko dla wampirów. Taka zasada. Żadnych familiantów ani zauszników.

— Wybacz, nie wiedziałam - odparła Schuyler. — Może nie pójdę?

Oliver wyjrzał przez okno, na śnieg pokrywający dywanem białych kryształków dachy i chodniki.

- Powinnaś iść - powiedział cicho. - Cordelia by tego chciała. Schuyler wiedziała, że ma rację.

Była ostatnią z Van Alenów

w Nowym Jorku. Musiała reprezentować swoją rodzinę.

- Dobra, pójdę. Ale wyjdę wcześniej i może potem wpadnę do ciebie?

- Jasne - uśmiechnął się smutno Oliver.

JEDENAŚCIE

Rodzina Force'ów zarezerwowała czteropokojowy apartament prezydencki w St. Regis.

Niemal wszystkie pokoje

w hotelu zostały zajęte przez błękitnokrwistych. Tak nakazywała tradycja; dzięki temu wystarczyło zjechać windą, by znaleźć się w sali balowej, co pozwalało uchronić suknie dam przed pognieceniem.

Charles Force zapiął drugą spinkę od mankietów. Wysoki, dumny mężczyzna, z grzywą srebrzystych włosów przywdział z tej okazji biały frak z białym krawatem oraz białe rękawiczki. Frak miał piękny, tradycyjny krój, zaś spodnie zdobiły aksamitne lampasy.

Charles z założonymi z tyłu rękami przechadzał się po salonie, czekając aż jego panie skończą się ubierać.

Jego syn, Jack, miał na sobie podobny strój, w którym wyglądał olśniewająco. Zdecydował się na wykładany kołnierz, leżący na koszuli, zamiast tradycyjnego, stojącego.

Jack przez cały dzień niemal się nie odzywał, ale teraz nagle wstał z kanapy i spojrzał ojcu prosto w oczy.

— Co powiedziałaś Schuyler, zanim wyjechała?

— Nadal przejmujesz się tą dziewczyną Van Alenów? — zapytał Charles. - Sądziłem, że po tym, jak oskarżyła mnie o bycie! Obrzydliwością, przestałeś się nią interesować.

Jack wzruszył ramionami.

— Nie przejmuję się. Jestem po prostu ciekawy — powiedział. Podczas całego zamieszania ze zniknięciem Dylana i odejściem Cordelii ojciec wtajemniczył Jacka we wszystko, opowiadając mu o prawdziwym pochodzeniu Schuyler. Tego samego wieczora Jack odkrył

także, jaki naprawdę jest jego związek z siostrą. Mimi była jego drugą połową na dobre i na złe, jego najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem, jego bliźniaczką pod wieloma względami.

Ale chociaż Jack *pogodził* się z losem i ze swoją rodziną, pytanie o to, co ukrywa Komitet, pozostało otwarte. Czy srebrnokrwieści powrócili? Ponieważ tajemnicze zgony urwały się kilka miesięcy temu, jego ojciec zachowywał się tak, jakby problem został całkowicie rozwiązany.

Charles westchnął.

— Powiedziałem jej tylko, że ta podróż do Wenecji nie miał sensu. Z jakichś powodów wbiła sobie do głowy, że dziadek udzieli wszystkich odpowiedzi na jej niemądre pytania. Ale on tego nie robi. Znam dobrze Lawrence'a, nie będzie się wtrącał, tak jak zawsze. Schuyler wróci z pustymi rękami.

Jack mógł się tego domyślić. Wiedział, że ojciec nie lubi Lawrence'a Van Alena, a nowo powracające wspomnienia potwierdzały to.

— Chcesz jeszcze o coś zapytać? - spytał Charles.

Jack popatrzył na buty z lakierowanej skóry, wypolerowane specjalnie na tę okazję. Mógł *dostrzec swoje* odbicie w ich błyszczącej powierzchni.

— Nie, ojcie — potrząsnął głową. Jak mógł wątpić w swojego ojca? Charles Force był Michałem o Czystym Sercu, Regisem. Wampirem z wyboru, nie z powodu grzechu, nieomylnym.

— To dobrze — Charles strzepnął kłaczek z czarnego fraka syna i napomniął go, by trzymał się prosto. — Podczas Balu Czterystu zostaniesz oficjalnie przedstawiony naszym braciom.

Jestem z ciebie dumny. - Zwrócił się w kierunku pokoju. — Trinity, kochanie? Jesteś gotowa?

- zawołał.

Jack zobaczył, że jego matka, Trinity Burden Force, wychodzi ze swojej garderoby i uśmiecha się czule do męża. Miała na sobie ciemnoczerwoną suknię balową z jedwabnej szermiezy, z dekoltem w karo i odsłoniętymi plecami. Wejście rodziców miało rozpocząć bal.

Ale Jack wiedział od ojca, że dawniej to nie Trinity spotykał ten zaszczyt. Dopiero po raz szesnasty Allegra Van Alen nie zajmie miejsca przy boku swego brata. To był szesnasty rok, w którym Gabriela nie poprowadzi zgromadzenia.

W sąsiednim apartamencie Mimi Force, ubrana w pluszowy turecki szlafrok, siedziała na połączanym fotelu, a otaczająca ją gromada stylistów i manikiurzystek starała się zadbać o każdy centymetr jej ciała. Włosy Mimi zostały zaczesane w elegancki kok, a teraz były suszone przemysłowych rozmiarów suszarką. Dwie najsłynniejsze makijażystki w mieście dokonywała ostatnich poprawek: jedna наносiła szminkę, druga nakładała na twarz kropelki samoopalacza.

W tym czasie Mimi trzymała przy uchu komórkę, dmuchając na paznokcie, pomalowane perłowym lakierem Socialite.

- Boże, tu jest naprawdę dom wariatów, wybac, nie bardzo cię słyszę. O której się pojawicie?

— Jesteśmy w hotelu. Tak, w penthousie. Czeka, moment. Przepraszam bardzo — rzuciła ostro do stylisty z suszarką. — Prawie przypalił mi pan ucho — powiedziała, patrząc na niego ze złością. — Wybac, Bliss, muszę kończyć.

Mimi zamknęła komórkę, a działalność wokół niej ustała.

— Skończone? — zapytała.

- Proszę spojrzeć - stylistą podał jej lustro.

— Polaroidy — zażądała Mimi.

Jeden z ubranych w czarne koszulki asystentów zrobił szybko zdjęcie.

Mimi dokładnie przyjrzała się zarówno odbiciu, jak i fotografii. Oglądała się krytycznie, szukając jakiegokolwiek usterki urody, nieważne, jak drobnej. Jej ułożone włosy lśniły jak wypolerowane, otaczając twarz niby złota korona. Jej skóra zdawała się jaśnieć, ciemniejszy puder podkreślił zieleń oczu, a jej wargi miały barwę świeżo zerwanych róż.

- Tak, to chyba wszystko - powiedziała władczo, odprawiając swoją świętą skinieniem dłoni, bez słowa podziękowania. Mimi uważała, że to inni byli zaszczytzeni, pracując dla niej — nie odwrotnie.

Chwilę później weszła pokojówka, niosąc białe kartonowe pudło rozmiarów dziecięcej trumienki. Zostało doręczone w ostatniej chwili do hotelu i Mimi klasnęła w ręce na jego widok.

— Już jest! - oznajmiła radośnie pokojówka, nieszczęsna ofiara wybuchów złości Mimi, spowodowanych tym, że bal ma się zacząć za kilka godzin, a jej suknia jeszcze nie przybyła.

— Widzę, nie jestem ślepa - warknęła Mimi.

Podbiegła do pudła, położyła je na łóżku i gorączkowo zdarła papier pakowy.

Po wizycie w przymierzalni Diora Mimi poskarżyła się matce na brak odpowiednich sukien balowych i Trinity umówiła ją na wizytę w pracowni Balenciagi, na spotkanie z głównym projektantem.

Podczas pięciogodzinnej narady Mimi odrzuciła niezliczone pomysły, zmuszając projektanta do podarcia tuzinów szkiców.

— Czego pani szuka? — zapytał, kompletnie wyczerpany. — Jest pani bardziej wybredna od panny młodej.

Mimi ostro wciągnęła powietrze.

— Dokładnie.

Zamknęła oczy i zobaczyła siebie i Jacka razem - podczas ich pierwszej ceremonii odnowienia więzi. Suknia, którą miała wtedy na sobie, była prosta, biała - płachta tkaniny przypominająca togę. Na ceremonię szli razem, boso, ulicami Wenecji, trzymając się za ręce.

- Biała, to musi być biała suknia - mruknęła. - Biała jak śnieg. Przejrzysta jak lzy.

A teraz leżała przed nią, umieszczona w chroniącej ją tkaninie. Suknia jej snów.

Uszyto ją z najcieńszej białej satyny, a kiedy Mimi podniosła; kreację, okazała się tak lekka, że miała wrażenie, iż trzyma w palcach powiew wiatru. Dokładnie tak, jak sobie tego życzyła, była ascetycznie prosta. Na wieszaku wyglądała niepozornie — zwykły kawałek białego materiału. W pasie oplatał ją srebrny łańcuch, a seksowne rozcięcie na biodrze stanowiło jedyne ustępstwo na rzecz współczesnej mody, na jakie zgodziła się Mimi.

Teraz zrzuciła szlafrok na podłogę. Stała całkowicie naga na środku pokoju, podczas gdy pokojówka pomagała jej założyć suknię. Mimi wślizgnęła się w nią, czując lekką jak pajęczyna tkaninę drżącą wokół niej niczym mgłą, układającą się na jej wiotkiej sylwetce.

- Znikaj! - rzuciła krótko pokojówce. Przerazona służąca[^] niemal przewróciła się o szlafrok, spiesząc się do wyjścia.

Mimi zawiązała łańcuch wokół talii i przyjrzała się opalonej i skórze, widocznej w rozcięciu.

Kiedy stanie pod światło, jej sylwetka będzie idealnie widoczna. Każda krzywizna jej ciała, każda linia od szyi do piersi, od talii i bioder do jej nieskończone długich nóg. Będzie jednocześnie

zakryta i odsłonięta, ubrana i nieubrana, w sukni i nago.

Nie potrzebowała żadnej bielizny.

Wyglądała zjawiskowo.

-Wow!

Uśmiechnęła się. Szybko poszło.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na brata.

Jack stał w drzwiach pokoju, z ręką na klamce. Charles poprosił go, żeby przyprowadził siostrę. Jego gęste, platynowe włosy były zaczesane do tyłu, a na twarzy malowała się czułość.

Wyglądasz-..... - wysłał do niej.

Wiem...

Wrócili do dawnego zwyczaju bezgłośnego rozmawiania -Jack wtajemniczał siostrę w każdą swoją myśl, w każde wspomnienie.

Jego oczy zasnuły się mgłą. Mogła zobaczyć to samo co on, wiedziała, że on także wspomina ich pierwszą noc. Widziała bezchmurne weneckie niebo, słyszała ich szybkie i lekkie kroki na moście. Widziała siebie w jego oczach, młodszą o całą wieczność — jakże młodzi wtedy byli! — u zarania świata, przed wojnami, przed ciemnością.

Jak znalazłaś...to ta sama?

Nie, *niestety, tamta suknia przepadła w Tybrze... Słonkot jedwab nie może przetrwać tysięcy lat. To nowa suknia na nowe odnowienie więzi.*

— Ale jeszcze nie teraz — rzucił Jack.

Łącząca ich wizja zniknęła, Mimi z niezadowoleniem przyjęła przerwanie tak przyjemnych wspomnień.

— Nie, jeszcze nie teraz — zgodziła się. Nie mogli oficjalnie odnowić więzi, dopóki nie ukończą dwudziestu jeden lat. Zgodnie z prawami wampirów więź — uświęcone małżeństwo

— była nieśmiertelną przysięgą, ale ceremonia mogła zostać przeprowadzona dopiero wtedy, gdy osiągną dojrzałość. Ich dwoje odnawiało więź w każdym cyklu, chociaż tym razem po raz pierwsza urodzili się jako bliźnięta w tej samej rodzinie, co komplikował ło sprawy ze względu na nieznośne ludzkie prawo. Ale to niej miało znaczenia. Byli wampirzymi bliźniętami, a dla ich rodzaju miało to odmienne znaczenie. Oznaczało, że ich dusze zostały połączone jeszcze w Niebie, kiedy przysięgli sobie miłość.

Ceremonia odnowienia więzi mogła zostać przeprowadzona dopiero wtedy, gdy całkowicie odzyskają wspomnienia i będą w pełni kontrolować swoje moce. Wampirze bliźnięta czasem!

spędzały cały cykl, szukając swojej drugiej połowy, a odnawiająca więź para musiała być dostatecznie dojrzała, by rozpoznać! najnowsze wcielenie małżonka w nowej powłoce fizycznej.

Wiedziała, że w całej historii wampirów tylko jedna para zerwała-ła łączącą ich więź. Gabriela jako Allegra Van Alen zerwała w tym cyklu więź z Michałem, Charlesem Van Alenem.

Wzięła ślub -ślub! — w kościele, w świętym miejscu wypowiedziała słowa przysięgi wierności człowiekowi! Swojemu familiantowi! I proszę, jak to się skończyło... Gabriela na zawsze była uwięziona w śpiączce, zawieszona pomiędzy życiem i śmiercią. Skazana na wieczną ciszę.

- Ale po co mamy czekać? - zapytała Mimi. — Od zawsze wiem, kim jesteś. Widzę to. A ty wiesz teraz, kim ja jestem.

Mimi miała na myśli noc w gabinecie ich ojca, kiedy wspomnienia Jacka ostatecznie powróciły, pozwalając mu wreszcie-zrozumieć, kogo przez cały czas miał obok siebie. Ich dwoje stanowiło jedność. Należała do niego. Na całą wieczność.

—Wiesz, że cię kocham— powiedziała. — Doprowadzasz mnie do szału, ale Bóg mi

świadkiem, że cię kocham.

Jack pochylił głowę, zanurzając nos we włosach Mimi. Wciągnął głęboko zapach kapryfolium i jaśminu.

— Też cię kocham — odparł.

— O Boże! - Trinity gwałtownie zaczerpnęła powietrza. Mimi i Jack powoli rozluźnili uścisk i spojrzeli na stojącą

w otwartych drzwiach matkę.

— Mimi, masz dopiero szesnaście lat. To na pewno nie jest stosowna sukienka dla szesnastolatki! - powiedziała Trinity oskarżycielsko, drżącym głosem.

— Czy powinnam ci przypomnieć, że jestem o całe wieki starsza od ciebie, matko? — prychnęła Mimi. Dorastała już, powracały jej wspomnienia i nie chciała dalej udawać czerwono-krwistej, stosując się do tradycyjnej hierarchii rodzinnej.

— Charles, powiedz coś swoim dzieciom — poprosiła Trinity.

— Mimi, wyglądasz cudownie. - Charles pocałował córkę w czoło. — Chodźmy.

Na twarzy Trinity pojawił się grymas niezadowolenia.

— Chodź, kochanie, czas już na tańce - powiedział uspokajająco Charles, biorąc żonę pod ramię i wyprowadzając ją z pokoju.

— Pozwoli pani? — zapytał Jack, wyciągając dłoń.

— Pozwolę — uśmiechnęła się Mimi.

I bliźnięta Force ruszyły razem, ramię w ramię, na imprezę roku.

DWANAŚCIE

Kilka przecnic dalej, w całkowicie innym penthousie — wystawnej siedzibie Llewellynów, nazwanej „Penthouse de Rêves” ze względu na niesamowitą, wręcz surrealistyczną, ekstrawagancję — Forsyth Llewellyn stał przed tajną przegrodą znajdującą się za szafą na obuwie. Szybko przekręcił gałkę sejfu o dwa kliknięcia w prawo, potem trzy w lewo, i cofnął

się, kiedy dziesięciocentymetrowej grubości stalowe drzwiczki otworzyły się na oścież.

- Tatooo, o co chodzi? - dopytywała się stojąca za nim Bliss. — Miałam się spotkać z Jaimem w holu, o ósmej.

Trzymała na rękach swoją Chihuahua, Ellie. Był to jej pies towarzysz, którego nazwała oczywiście imieniem ulubionej postaci z serialu *Dauas*.

Mimi zgodnie z zapowiedzią umówiła Bliss z Jaimem Kipem. Był to czysto przyjacielski układ. Jaime w najmniejszym stopniu nie wykazywał zainteresowania Bliss i vice versa. To właśnie on zaproponował, żeby spotkali się w holu St. Regis, skoro będą w towarzystwie rodzin. Bliss miała nieodparte wrażenie, że Jaime zgodził się być jej partnerem tylko po to, żeby Mimi sil od niego odczepiła. Mimi potrafiła być naprawdę stanowcza! jeśli chciała.

Bliss zaplotła ręce i rozejrzała się po gigantycznej garderobie macochy. Pomieszczenie za każdym razem budziło podziw gości, rytualnie oprowadzanych po domu. „Garderoba” miała powierzchnię prawie dwustu metrów kwadratowych. Zawierał! wpuszczoną w podłogę ogromną wannę, wykładaną trawertynem, z szeregiem pryszniców po bokach, tak że można było sil w niej kąpać jak w fontannie. Dalej znajdował się długi korytarz obłożony lustrami, kryjącymi przedziały zawierające pięć tysięcy? markowych ubrań, skatalogowanych i archiwizowanych przez-osobistą asystentkę BobiAnne. Szkoda, że większość z tych rzeczy była w opinii Bliss wulgarnym bezguściem. BobiAnne *nim* znalazła jeszcze ozdobionego piórami marabuta bolerka w panterkę, które by jej się nie spodobało.

BobiAnne była zajęta własną toaletą. Bliss słyszała zgrzyta wy Śmiech macochy,

rozbrzmiewający z przymierzalni, w której plotkowała z dwiema stylistkami.

Bliss przejrzała się w jednym z licznych luster. Mimo wszystko postanowiła założyć zieloną suknię Diora. Ojciec i macocha po prostu wstrzymali oddech na jej widok.

— Kochanie, jesteś prześliczna - szepnęła BobiAnne, ściskając pasierbicę w kościstych ramionach, żylastych od nadmiaru pilatesa. Bliss miała wrażenie, że przytula ją szkielet.

BobiAnne w nieskończoność wychwalała pod niebiosa urodę Bliss, dyskredytując pospolitą powierzchowność własnej córki. Jedenastoletnia Jordan, zbyt młoda, by pójść na bal, zajrzała do ubierającej się Bliss i wyraziła własną opinię: „Wyglądasz jak dziwka”.

Bliss cisnęła poduszką za uciekającą siostrą.

Kiedy zaprezentowała rodzicom suknię, ojciec poprowadził ją do sejfu. Otworzył kilka wyłożonych zamszem szufladek, zrobionych zgodnie ze ścisłymi wytycznymi BobiAnne.

Bliss widziała lśnienie licznych diamentowych diademów, naszyjników, pierścieni i bransolet, należących do jej macochy. Miała wrażenie, że znajduje się w salonie jubilerskim.

Plotki głosiły, że kiedy teksańska rodzina przeprowadziła się na Manhattan, żona senatora wyczyściła skarbcę wszystkich poważniejszych handlarzy diamentów, aby uczcić swoje wstąpienie do wielkowiejskiej socjety.

Forsyth wyciągnął z dolnej szufladki podłużne pudełko, obciążone czarnym aksamitem.

- Należał do twojej matki - powiedział, odsłaniając ogromny szmaragd o szlifie królewskim, osadzony w platynowym naszyjniku. Klejnot miał wielkość pięści. - Twojej prawdziwej matki. Nie BobiAnne.

Bliss zaniemówiła.

- Chciałbym, żebyś założyła go dziś wieczorem. To bardzo ważna chwila dla nas, dla naszej rodziny. Tym klejnotem uczcisz pamięć swojej matki - oznajmił Forsyth, zapinając naszyjnik na szyi córki.

Bliss bardzo niewiele wiedziała o matce — tylko tyle, że z niej znanych przyczyn wcześniej zakończyła cykl. Ojciec nigdy o niej nie opowiadał i Bliss z czasem zrozumiała, że ten temat był dla niego bolesny. Nie miała po niej żadnych pamiątek, a kilka pozostawionych fotografii było tak wyblakłych i spłowiałych, że praktycznie nie dało się odróżnić rysów twarzy. Kiedy Bliss o nią pytała, ojciec powiedział tylko, żeby „skoncentrowała się na swoich wspomnieniach” i że pewnego dnia, jeśli czasy pozwolą, spotka znowu swoją matkę.

Trzymany przez Bliss piesek oszalał, warcząc na kamień.

— Ellie, przestań!

— Cicho! - rozkazał Forsyth, a piesek wyrwał się z ramion! Bliss i z podkulonym ogonem uciekł z pokoju.

— Tato, nastraszyłeś ją.

Bliss spojrzała na spoczywający w zagłębieniu między piersiami szmaragd. Ciężył jej na szyi.

Nie wiedziała, czy jej się podoba. Był taki wielki. Czy matka naprawdę go nosiła?

— Ten klejnot nazywany jest Różą Lucyfera albo Zgubą Lucyfera — wyjaśnił z uśmiechem senator. — Słyszałaś tę legendę?

Bliss zaprzeczyła gestem.

— Mówi się, że kiedy Lucyfer został strącony z Niebios, z jego korony wypadł szmaragd.

Ten szmaragd nazwano Różą Lucyfera, Gwiazdy Porannej. W niektórych legendach bywał nawet nazywany Świętym Graalem.

Bliss przyjęła do wiadomości słowa ojca, nie wiedząc, co właściwie powinna myśleć. Czy do jej matki należał kamień powiązany ze srebrnokrwistym?

— Oczywiście to tylko legenda - potrząsnął głową Forsyth. W tym momencie do pokoju weszła BobiAnne, ubrana

w przerażającą suknię od Versace, wyglądającą jak rozpylony na ciele metaliczny lakier samochodowy.

— Jak wyglądam? - spytała słodko męża. Bliss i jej ojciec wymienili spojrzenia.

— Prześlicznie, kochanie — ocenił Forsyth z wymuszonym uśmiechem. — Idziemy? Samochód czeka.

Przed wejściem do hotelu zgromadził się zastęp fotoreporterów i tłum ciekawskich gapiów, powstrzymywanych przez barierki wspomagane przez legion nowojorskiej śmietanki policyjnej. Kiedy kolejna czarna limuzyna podjeżdżała do wejścia, flesze eksplodowały w kakofonii rozbłysków.

— Idziemy — oznajmiła radośnie BobiAnne, wysiadając z samochodu i ujmując męża pod ramię.

Ale paparazzich interesowała tylko Bliss.

— Bliss! Tutaj! Bliss! Jeszcze do mnie. Bliss — w tę stronę.

— Co masz na sobie?

— Kto zaprojektował suknię?

Kilkoro fotografów i reporterów było dostatecznie uprzejmych, żeby zapytać senatora i jego żonę, co myślą o przyjęciu, ale widać było, że to Bliss stanowiła główną atrakcję.

Podjazd od drzwi hotelu dzieliło tylko dziesięć stopni, ale ich pokonanie zajęło Bliss dobre pół godziny.

— Wariactwo — zauważyła z zadowoleniem Bliss, kiedy wreszcie weszła do różowo-złotego holu i znalazła swojego partnera, czekającego niecierpliwie przy recepcyjnej ladzie.

Sala balowa hotelu St. Regis została przemieniona w migoczącą zimową krainę cudów; z kryształowych żyrandoli zwieszały się sznury cekinów, wszędzie rozkwitały cudowne róże American Beauty, zdobiące niebosiężne, dwumetrowej wysokości kompozycje na stołach (tak ciężkie, że stoły musiały zostać specjalnie wzmocnione) i girlandy nad każdym wejściem. Rozłożony na marmurowej posadzce śnieżnobiały chodnik prowadzi od sali, w której odbywał się poczęstunek, do tanecznego parkietu.

— Senator Forsyth Llewellyn z małżonką - oznajmił mistrz ceremonii, kiedy polityk wraz z żoną pojawił się u szczytu schodów. Reflektor zaświecił wprost na wchodzących gości, a perkusja zagrała dramatyczny werbel.

— Pan James Andrews Kip i panna Bliss Llewellyn. Cała czwórka dostojnie wkroczyła na przyjęcie.

Dwie pięćdziesięcioosobowe orkiestry, umieszczone po przeciwnych stronach sali balowej, grały spokojnego walca, pozwalającego błękitnokrwistym na zademonstrowanie wszystkich; swoich walorów: przystojni i szarmancy dżentelmeni we frakach, nadnaturalnie szczupłe i nieprawdopodobnie eleganckie damy w wytwornych sukniach balowych. Widok był zaiste magiczny. Komitet tym razem przeszedł sam siebie. Sala balowa] lśniła, zalana rozjarzonym białym Światłem, zabytkowe kryształowe żyrandole migotały, a marmurowe posadzki błyszcząły, wy-polerowane.

Jaime odprowadził Bliss do stołu, skinął głową i niezwłocznie zniknął na resztę wieczoru.

Tyle, jeśli chodzi o męskie towarzystwo. Bliss odszukała Mimi stojącą wraz z rodzicami przy stole z poczęstunkiem.

- Rany, niesamowite! - Mimi natychmiast wypatrzyła naszyjnik. — Niezły kamyk!

- Należał do mojej matki - wyjaśniła Bliss. Powtórzyła Mimi legendę o Zgubie Lucyfera.

Mimi uniosła szmaragd, gładząc przypominającą lód powierzchnię. Kiedy tylko go dotknęła, pamięć przeniosła ją do decydującej bitwy, przebłysków mrocznego dnia, dźwięku trąb w oddali, Michała z płonącym mieczem, wygnania, a potem zimna. Zimna... przebudzenia na Ziemi i uczucia śmiertelnego głodu.

- Och! — Oczy Mimi zaszklily się, jej palce wciąż zaciskały się na kamieniu. A potem puściła go raptownie, jakby ją sparzył.

Bliss spojrzała zdumiona. Wiedziała, że coś się stało z Mimi; przebłysk intuicji, fragment pamięci powrócił, kiedy wzięła do ręki naszyjnik. Jednak kiedy Bliss dotykała szmaragdu, nic się nie działo. Był jak martwy. Zguba Lucyfera. Przeszedł ją dreszcz.

- Zupełnie jak Serce Oceanu - zażartowała Mimi. - Obiecuj mi tylko, że nie rzucisz go z pokładu „Titanica”.

Bliss zmusiła się do śmiechu. Ale pięćdziesięciopięciokaratowy kamień ciążył jej na szyi.

Róża Lucyfera. Zguba Lucyfera. Najcenniejsza własność Księcia Srebrnokrwistych opasywała jej szyję jak stryczek. Wzdrygnęła się. Jakaś jej część pragnęła zerwać naszyjnik *i cisnąć* nim tak daleko, jak tylko zdoła.

TRZYNAŚCIE

Dom rodziny Van Alen na rogu Sto Pierwszej i Riverside niewątpliwie zaliczał się niegdyś do największych i najokazalszych posiadłości w całym Nowym Jorku. Kolejne generacje Van Alenów podejmowały tu prezydentów, głowy państw, zagranicznych dostojników, laureatów Nobla, gwiazdy Hollywood, a okazjonalnie - modne sławy w rodzaju artystów czy pisarzy.

Teraz jednak budynek zachował tylko cień dawnej świetności: gzymsy były obłupane, na ścianach pojawiło się grafitu, dach przeciekał, a mury popękały, ponieważ rodzina od lat nie miała środków na bieżące remonty.

Schuyler wciągnęła torbę po schodach i zadzwoniła do drzwi.

Wpuściła ją Hattie, wierna pokojówka jej babki.

Salon był tak samo mroczny i spowity zasłonami jak w dniu wyjazdu Schuyler. Od lat Schuyler i Cordelia wykorzystywały zaledwie niewielką część przestronnego domu - kuchnię, jadalnię i dwie sypialnie. Całą resztę wyłączono z użytkowania, co Schuyler przypisywała ubóstwu rodziny. Odkąd sięgała pamięcią, meble zawsze okrywały płócienne pokrowce, okna szczelnie zasłaniały ciężkie kotary, a całe skrzydła domu stały zamknięte na głucho.

Dlatego też posiadłość przypominała zatęchłe, stare muzeum, wypełnione zabytkowymi przedmiotami i kosztownymi dziełami sztuki, starannie ukrytymi i trzymanymi pod kluczem.

Schuyler poszła do swojego pokoju, gdzie przywitało ją radosne i dźwięczne szczekanie Beauty. Dopiero w tym momencie poczuła, że naprawdę wróciła do domu.

Teraz pozostawał problem, w co powinna się ubrać. W za- | proszeniu wymagano strojów wieczorowych, co, o ile Schuyler pamiętała, oznaczało w przypadku kobiet długie, formalne suknie. Mgłście pamiętała, jak Cordelia szykowała się na doroczny Bal Czterystu, przywdziewając kolejne eleganckie suknie balowe od Oscara de la Renty, obowiązkowo z długimi rękawiczkami. Być może uda jej się coś znaleźć w szafie Cordelii.

Weszła do sypialni babki. Nie zajrzała tu od pamiętnego wieczoru, gdy Cordelia została zaatakowana. Nie mogła się wcześniej? zmusić do odwiedzenia miejsca, w którym znalazła babkę leżącą w kałuży krwi. Pocieszała się myślą, że Cordelia przeżyła ataki a ona sama zdołała dostarczyć jej krew do centrum medycznego^ gdzie mogła zostać przechowana do następnego cyklu. Cordelia pewnego dnia powróci. Nie była martwa. Nie została zabrana; przez srebrnokrwistego.

- Czego panienka szuka? - Hattie stanęła w progu i zobaczyła Schuyler stojącą przed garderobą

babki, z rękami oparty-: mi na biodrach.

— Potrzebuję sukni na dzisiejszy bal.

— Pani Cordelia miała mnóstwo sukni.

— Wiem — skrzywiła się Schuyler, wyjmując kilka wieszaków i przyglądając się babcinym kreacjom. Były bardzo staromodne, z wielkimi bufiastymi rękawami i marszczonymi żabotami. Część utrzymana była w charakterystycznym stylu lat osiemdziesiątych, a poduszki na ramionach mogły przyćmić projekty Nolana Millera, noszone przez Alexis Carrington w *Dynastii*. - Tylko mam wrażenie, że nie bardzo mi pasują.

— Panienska Allegra także miała suknie — podpowiedziała Hattie.

— Moja matka? Mamy jeszcze suknie mojej matki?

— W jej pokoju, na trzecim piętrze.

Jej matka dorastała w tym samym domu. Schuyler nie po raz pierwszy żałowała, że jest zdana tylko na siebie, a matka nie może pomóc córce w obecnych rozterkach. Wraz z Hattie poszła piętro wyżej, korytarzem do narożnego pokoju na tyłach domu.

Serce Schuyler biło w nerwowym podnieceniu.

— To okropne, co się stało z panienką Allegra - pokiwała głową Hattie, otwierając drzwi. -

Pokój wygląda tak samo jak wtedy, kiedy miała osiemnaście lat. Zanim uciekła i wyszła za ojca panienki.

W pokoju panował nieskazitelny porządek. Schuyler ze zdumieniem zobaczyła, że nie ma tu pajęczyny w rogach ani pokrywającej wszystko warstwy kurzu. Spodziewała się krypty, mau-zoleum, a znalazła jasny i pogodny pokój, z włoską lnianą kapą na łóżku i falującymi białymi zasłonami w oknach.

— Pani Cordelia zawsze pilnowała, żeby utrzymywać tu porządek. Na wypadek, gdyby matka panienki się obudziła.

Schuyler podeszła do szafy i otworzyła jedno skrzydło. Sięgnęła do środka, wyjmując bluzkę na wieszaku. Valentino, rocznik mniej więcej 1989.

— Jesteś pewna, że miała suknię balową?

— Na pewno miała. Występowała w niej na Balu Czterystu w swoje szesnaste urodziny — wyjaśniła Hattie. — To była suknia j od Chanel, musi gdzieś być.

Schuyler cierpliwie przeglądała wieszaki. Wreszcie w najgłębszym kącie szafy znalazła czarny pokrowiec na ubranie ozdobiony i logo z podwójnym C.

Położyła pokrowiec na łóżku matki i powoli rozsunęła suwak.

— Rany - westchnęła, wyjmując starannie złożoną suknię. Podniosła ją do światła. Suknia była złota, z obcisłym gorsetem bez ramion i obfitą spódnicą z niezliczonych fałd *ciężkiej* tkaniny.

Przyłożyła ją do siebie. Będzie pasować, wiedziała, że będzie pasować.

Kiedy Schuyler weszła do sali balowej St. Regis, wszyscy zamarli. Goście patrzyli, jak stoi w drzwiach, oświetlona reflektorem niepewna, co powinna zrobić. Rozległo się kilka westchnień.

Jack Force nie mógł oderwać od niej spojrzenia.

Jak wszyscy zgromadzeni, przez krótką chwilę był w stanie uwierzyć, że powróciła do nich Gabriela, Allegra Van Alen.

CZTERNAŚCIE

Bal Czterystu, nazywany także Balem Patrycjuszowskim, pozostawał wierny tradycjom ustanowionym przez pierwszych organizatorów w końcu XIX wieku, kiedy to błękitnokrwieści po raz pierwszy zaczęli zajmować liczącą się pozycję w społeczeństwie. Poczęstunek z dziesięciu dań podawano na zastawie wartej 75 tysięcy dolarów za sztukę — szczerozłote talerze, złote sztuce i

inkrustowane złotem kryształowe puchary. Pomędzy kolejnymi daniami przewidziano przerwy na tańce.

Wzdłuż czterech prostokątnych stołów, z których każdy przeznaczony był dla setki gości, usypano kupki piasku, a przy nakryciach leżały złote łopatki. Goście mogli „szukać skarbów”, czyli prezentów od organizatorów. Komitet zdołał przekonać sponsorów do podarowania kosztownej, zapierającej dech w piersiach biżuterii, ozdobionej rubinami, szafirami i diamentami, jako pamiątek z balu. Młodsza część Komitetu, pod przewodnictwem Mimi Force, dodała zestawom nowoczesności: były tu „alfabetyczne” naszyjniki Me & Ro, misterne peruwiańskie kolczyki w formie pawich piór, a także najbardziej pożądana ozdoba sezonu, wysadzone diamentami wisiorki w kształcie zęba rekina od Kaviar

& Kind.

Menu było takie samo jak podczas pierwszego Balu Patrycjuszowskiego: consommé Olga, filet mignon Liii, wegetariańska faszerowana dynia, a następnie pieczona kaczka i befszyk z polędwicy z musem z marchwi i purée ziemniaczanym.

Wzdłuż ustawionych pod ścianami barów wznosiły się lodowe rzeźby przedstawiające najśłynniejsze budowle i instytucje Nowego Jorku, w tym nowy budynek Muzeum Sztuki Współczesnej, odrestaurowany dzięki funduszom błękitnokrwistych. Obok wznosił się model portu według projektu Franka Gehry’ego — inwestycji wspieranej przez samego senatora Llewellyna. Z ukrytych w lodzie kranów lał się szampan.

Mimi ledwie skubnęła jedzenie, wstając z miejsca, aby krążyć w lśniącym tłumie. Na sali zebrały się wszystkie najważniejsze nowojorskie rodziny, przedstawiciele każdego tradycyjnego nazwiska: Van Hornowie, Schlumbergerowie, Wagnerowie, Stewartowie, Howellowie i Howlandowie, Gouldowie i Goeletowie, Bancroftowie i Barlowowie. Przybyli także reprezentanci odłamu klanu, który pozostał w Anglii, a także goście z egzotycznych gałęzi błękitnokrwistych. Niezwykle bogata rodzina, która wieki temu odłączyła się od głównej społeczności i osiadła w Chinach, przyjechała właśnie z Szanghaju, w którego odbudowie niedawno pomagała. Ich szesnastoletnie bliźniaczki, niezwyklej urody długonogie chińskie znakomitości, miały zostać przedstawione tego wieczoru.

Ale żadna rodzina nie była tak poważana i podziwiana jak Force’owie. Mimi czuła się księżniczką swego ludu, gdy przechadzała się między gośćmi, odbierając ich hołdy i rozkoszując się powszechnym podziwem.

Rozejrzała się w poszukiwaniu brata. Był przy niej przez cały wieczór, ale zniknął gdzieś między rybą a daniem mięsnym. Wedle wszelkich praw powinni być teraz razem. Tego wieczoru zgromadzenie potwierdzi, że są sobie przeznaczeni, a kiedy nadejdzie odpowiedni czas, odnowią łączącą ich nieśmiertelną więź.

Gdzie on się podział?

Zaprzęgła umysł do poszukiwań. A, tam się schował, przy głównym stole, rozmawiał z przyjacielem z drużyny lacrosse’a, Bryce’em Cuttingiem. Zauważyła, że przerwał rozmowę i nagle spojrzał w jej stronę z uśmiechem zachwyty.

Odwzajemniła uśmiech i pomachała, ale nie zareagował.

Odwróciła się poirytowana - może w ogóle na nią nie patrzył?

I w tym momencie zorientowała się, kto stoi za nią, na szczycie schodów, przykuwając uwagę wszystkich zgromadzonych na sali balowej.

Schuyler Van Alen.

W sukni, za jaką nawet Mimi dałaby się pokrajać.

Schuyler zajęła swoje miejsce obok ponurych rodziców Aggie Carondolet. Widać było, że Carondoletowie czują się urażeni z powodu przydzielenia im pośledniego miejsca. Po złożeniu Schuyler kondolencji z powodu odejścia Cordelii praktycznie nie odezwali się do niej ani razu. Zauważyła Bliss, siedzącą samotnie przy głównym stole, i pomachała do niej.

Bliss zamachała w odpowiedzi. „Chodź tutaj” powiedziała bezgłośnie.

Schuyler zebrała fałdy złotej sukni i podeszła do drugiego stołu. Dziewczęta uściskały się ciepło.

— Sky, muszę ci coś powiedzieć... o Dylanie - zaczęła Bliss,

— Tak? - uniosła brwi Schuyler.

— Myślę, że on... - ale w tym momencie przerwał im chłopak, który poprosił Bliss do tańca. - Jasne - uśmiechnęła się. — Potem skończę — rzuciła przez ramię.

Schuyler skinęła głową. Niechętnie wracając na swoje miejsce, zastanawiała się, co takiego Bliss miała zamiar jej powiedzieć. Na tym balu była jedyną życzliwą jej osobą. Co w ogóle ona sama tu robiła? Dlaczego przyszła? Ze względu na Cordelię? Ze względu na nazwisko Van Alenów? Nie. Musiała być ze sobą szczerą, nawet jeśli ta szczerść bolała. Chciała znowu zobaczyć Jacka Force'a. Chociaż to była męczarnia.

Był tam, nie odstępując swojej siostry, oboje krążyli po sali balowej złączeni jak syjamskie bliźnięta. Ręka Jacka spoczywała na szczupłej talii Mimi. Schuyler słyszała szepty Starszych i Strażników, siedzących przy sąsiednim stole. Coś o więzi... coś o nich obojgu i nieśmiertelnej przysiędze.

Podano następne danie, pieczone gołębice i szparagi w sosie winegret. Wyglądały wspaniale, ale jedzenie wydawało jej się suche i pozbawione smaku.

— Jack — wyszeptała mu do ucha Mimi, kiedy szli przez salę. — Już pora.

Jak zawsze praktyczna, postanowiła zignorować to, co widziała wcześniej. Mimi była mistrzynią w oszukiwaniu samej siebie. Jeśli coś jej nie odpowiadało, nie przyjmowała do wiadomości istnienia tego czegoś. W jej pojęciu Schuyler Van Alen była chwilowym, chociaż irytującym, zauroczeniem.

Ale w przypadku Jacka widok Schuyler Van Alen rozpałił tylko tłumione od miesięcy uczucie. Niepokojąca myśl powracała nieustannie. Dlaczego Schuyler tak mocno na niego oddziaływała? Czy to przez podobieństwo do Allegry? Czy tylko o to chodziło? A może jednak o coś innego... Coś, na co nie był przygotowany i czego się nie spodziewał? Potrząsnął głową, zniesmaczony i zawstydzony własnym zachowaniem. Jego miejsce było przy boku siostry.

Musiał po prostu zachowywać się, jakby Schuyler nie istniała.

— Czekaają, żebyśmy poprowadzili kadryla — oznajmiła Mimi, więc Jack posłusznie poprowadził ją na parkiet, gdzie czekały już trzy inne pary. Zgodnie z tradycją Balu Czterystu taniec prowadzili młodzi, którzy mieli zostać przedstawieni, a pierwszą czwórkę dobierano zgodnie z hierarchią rodzin w ramach Komitetu. Aggie Carondolet, gdyby tylko żyła, znalazłaby się wśród tancerzy.

Mimi uważała, że kadryl to kolejny nudny taniec, ale mimo wszystko sprawiał jej przyjemność. Jack poprowadził ją przez złożone figury, aż w końcu znaleźli się na przodzie grupy, tam, gdzie było ich miejsce.

Po zakończeniu tańca nastoletni błękitnokrwieści pozostali na środku parkietu, czekając na oficjalną prezentację przed zgromadzeniem. Regis kolejno podawał zarówno ich aktualne, jak i prawdziwe imiona.

- Dehua Chen - oznajmił i jedna z cesarskich chińskich piękności wystąpiła naprzód.

- Znana wśród naszych braci pod swym prawdziwym imię;, Xi Wangmu.

Anioł Nieśmiertelności.

- Demin Chen. - Wystąpiła jej siostra. Były identycznie! piękne, spokojną, niezmierną urodą, ze skórą koloru lekko karmelizowanego mleka, prostymi i jedwabistymi hebanowymi włosami, seksownie skośnymi migdałowymi oczami i niepasującym do tego wszystkim piegami na maleńkich noskach.

- Znana wśród naszych braci pod swym prawdziwym imieniem, Kuan Yin.

Anioł Miłosierdzia.

Wywołano jeszcze kilkoro nastolatków, które dołączyły do *nie* gdyś niebiańskiego panteonu.

Na koniec pojedynczy reflektor oświetlił bliźnięta Force. Mimi mocno ścisnęła dłoń brata.

- Madeleine Force. - Mimi wystąpiła z podniesioną głową.:

- Znana wśród naszych braci pod swym prawdziwym imieniem, Azrael.

Anioł Śmierci.

- Benjamin Force. - Jack skłonił głowę.

- Znany wśród naszych braci pod swym prawdziwym imieniem, Abbadon.

Anioł Zniszczenia.

Bliźniacze Anioły Apokalipsy. To było ich nieśmiertelne przeznaczenie. To było ich miejsce.

Klan najpotężniejszych wampirów zaraz po Nieskażonych. Dawni adiutanci Lucyfera, którzy po upadku odwrócili się od Księcia Niebios. W Rzymie tropili i zabijali pomiot srebrnokrwistych. Tylko dzięki ich sile błękitnokrwiszcii przetrwali tysiąclecia.

Jack uśmiechnął się do Mimi i oboje skłonili się nisko zgromadzeniu.

Byli stworzeni do swojej roboty.

PIĘTNAŚCIE

Podano kawę w złotych karafkach, a desery - tradycyjny budyń Waldorfa, brzoskwinie w galaretkę z likieru Chartreuse, eklery z kremem czekoladowym i waniliowym, a także lekkie jak puch bezy z kremem amaretto - zostały z beztróskim apetytem skonsumowane. Nastąpiły pożegnalne cmoknięcia w pudrowane policzki. Zgodzono się, że bal był cudowny, i że zgromadzono oszałamiającą ilość środków, bijąc rekord z poprzedniego roku.

Do niektórych gości w sali balowej St. Regis zaczęły przychodzić SMS-y od Mimi. Dla wybranych wampirzych nastolatków noc była jeszcze młoda.

After party. Angel Orensanz. Północ. Maski obowiązkowe. Bez SMS = bez wstępu.

W szatniach i windach nastąpiło poruszenie wśród tych, którzy zostali zaproszeni. W tłumie rozległy się stłumione okrzyki rozczarowania osób, które nie otrzymały SMS-a.

- Przebierasz się? - zapytała Bliss, wychodząc za Mimi na zewnątrz.

- Zwariowałaś? Tę sukienkę zdejmą ze mnie po moim trupie- zaśmiała się Mimi. - Chodź na górę, mamy najlepszy wybór| masek.

Mimi była w świetnym humorze. Bal okazał się wspaniały, i w ogóle, ale teraz przyszedł czas na imprezę.

Schuyler wyszła na ulicę, otulając się czarnym futrem, które kiedyś należało do Cordelii.

Znalazła Juliusa, szofera babki, czekającego przy starym fordzie Crown Victoria.

-Dokąd?

Miała właśnie powiedzieć „do domu”, kiedy jej komórka zabrzęczała. Na pewno Oliver, A jednak nie. Wiadomość tekstowa z zastrzeżonego numeru.

Kierująca ją do Angel Orensanz, dawnej synagogi na Lower East Side. Maski obowiązkowe?

O co tu chodziło?

- Dostałaś wiadomość? - zawołała gorączkowo stojąca przy sąsiednim samochodzie Cicely Appelgate. Cicely należała do towarzystwa Mimi i Schuyler zastanawiała się, czemu w ogóle się do niej odezwała.

- No, tak.

- To do zobaczenia — rzuciła radośnie Cicely. — I ekstra sukienka — dodała z podziwem. — Mama mówiła, że to na pewno klasyczna Chanel,

Więc o to chodziło. Czasem Schuyler miała poczucie, że liceum jest strasznie głupie.

Wystarczyło ubrać się w odpowiedni sposób albo wyglądać w odpowiedni sposób, albo mieć „odpowiedni” gadżet — na przykład markową torebkę, „najnowszą” komórkę czy drogi zegarek — a twoje życie stawało się znacznie prostsze. Schuyler nigdy nie miała takich rzeczy; Cordelia wydzielala jej niewielkie kieszonkowe, więc zazwyczaj nosiła swetry z secondhandu i ciuchy z zeszłorocznych wyprzedaży.

Ale suknia pochodząca od słynnego i drogiego projektanta zmieniła opinię Cicely o niej.

Przynajmniej na ten wieczór.

— Do domu, panienko Schuyler?

Obiecała, że zadzwoni do Olivera, kiedy tylko wyjdzie z balu. Powiedziała mu, że zamierza być tam krótko i wyjść zaraz po poczęstunku. Tymczasem minęło właśnie wpół do dwunastej.

Na pewno jest zmęczony zmianą czasu, pomyślała. O tej porze pewnie już zasnął przed telewizorem.

SMS musiał dotyczyć imprezy, o której rozmawiali na balu jej rówieśnicy. Przecież było sporo hałasu wokół tego, że Mimi Force urządza jakieś bachanalia. Czy powinna pójść?

Czemu nie? Poza tym, skoro będzie tam Mimi, będzie też na pewno Jack. Pomyślała o tym, jak świetnie wyglądał we fraku i jak patrzył na nią, kiedy weszła na salę, przesywając ją spojrzeniem zielonych oczu. Nie tak dawno temu był całkowicie zdecydowany odkryć praw-

Archiwum
New York Herald

24 PAŹDZIERNIKA 1871
PONOWNE ZARĘCZYNY PO ZAGINIĘCIU
PIERWSZEJ NARZECZONEJ

Angielski lord poślubi dziedziczkę Vanderbiltów

OFICJALNE ogłoszenie zaręczyn Caroline Vanderbilt, córki admirała Vanderbilta, z lordem Alfredem Burlingtonem z Londynu i Devonshire, nastąpiło ponad rok po tajemniczym zaginięciu poprzedniej narzeczonej lorda Burlingtona, Maggie Stanford, córki Tiberiusa i Dorothei Stanfordów z Newport.

Maggie Stanford zniknęła w noc Balu Patrycjuszowskiego, odbywającego się w posiadłości admirała Vanderbilta, tuż po ogłoszeniu jej zaręczyn z lordem Burlingtonem. Zaręczyny zostały oficjalnie unieważnione osiem miesięcy temu. Miejsce pobytu Maggie Stanford pozostaje nieznanne.

Data ślubu nowo zaręczonej pary nie została jeszcze wyznaczona.

szansę przekonać go, żeby się do niej przyłączył. Odkąd jej dziadek odmówił pomocy, nie miała punktu zaczepienia. Ale z Jackiem u boku... Podjęła decyzję.

- Jedźmy do domu, ale tylko na chwilę - oznajmiła Juliso.

-Muszę zabrać pamiątkę z Wenecji. A potem pojedziemy do miasta.

SZESNAŚCIE

Kiedy Bliss przybyła na miejsce, podobnie jak wielu innych gości westchnęła z zachwytem.

Opuszczona synagoga została oświetlona tysiącami małych świeczek, rzucającymi na ściany długie, tajemnicze cienie. Bliss wydawało się, że stoi pośród przepięknych ruin, a taniec w blasku świec krył w sobie coś niesamowitego i romantycznego.

Maski dodawały wieczorowi pikantnej elegancji, ponieważ goście przybyli w strojach balowych. Chłopcy wyglądali przystojnie we frakach, dziewczęta prześlicznie w balowych sukniach, a maski nadawały im wszystkim szelmowski wygląd.

Bliss poprawiła ozdobioną piórami i klejnotami maseczkę, która trochę ograniczyła jej pole widzenia. Zauważyła Schuyler. To dobrze. Bliss przesłała jej wiadomość, nie informując o tym Mimi.

Dopuścił mroczny, gwałtowny kawałek Bauhaus: *Burning from the inside...*

Do Bliss podszedł chłopak w białym fraku, z twarzą ukrytą za białą maską smutnego Pierrota.

Wskazał taneczny parkiet.

Bliss skinęła głową i poszła za nim. Wyciągnął ręce, a ona wsunęła się w jego ramiona.

— A więc przeżyłaś — wyszeptał prosto do jej ucha, tak że mogła czuć jego delikatny oddech.

— Słucham?

— Umarłbym ze zgrzyoty, gdybyś utonęła - zachichotał. -Ty...

Położył palec na wargach — na wargach maski Pierrota.

— Tęskniłam za tobą... — wyznała Bliss. Dylan. To musiał być on. Znowu ją odnalazł.

Nieglupio wymyślił - przyjść na bal maskowy, gdzie jego obecność nie wywoła zamieszania.

— To nie było aż tak długo — powiedział szczerze.

— Wiem, ale martwiłam się...

— Nie martw się. Wszystko będzie dobrze.

— Jesteś pewien? -Tak.

Bliss tańczyła z radością. Powrócił! Powrócił, żeby być z nią. Była wniebowzięta.

Piosenka się skończyła. Pierrot skłonił się nisko.

— Dziękuję.

— Czekaj! — zawołała Bliss, ale zniknął już w tłumie. Rozglądając się, dostrzegła kilku chłopaków w podobnych frakach, lecz żaden z nich nie miał maski z twarzą smutnego kłowna' i pojedynczą łzą lśniąca na policzku.

Przygnębiona Schuyler krążyła od sali do sali. Powinna była mimo wszystko zadzwonić do Olivera, choćby po to, żeby mieć jakieś towarzystwo. Przyjęcie nie sprawiało wrażenia tak ekskluzywnego jak Bal Czterystu. Zauważyła trochę ludzkich kolegów i koleżanek ze szkoły, rozglądających się nerwowo, niepewnych, jak zostaną powitani. Mogła bez trudu odróżnić ludzi od wampirów: te ostatnie lśniły w ciemności, rozpoznając się dzięki darowi zwanemu *Uwninata*.

Głęboko w cieniu, za kolumnami, kilka par korzystało z osłony ciemności, aby dobierać się do siebie — co w przypadku wampirzych nastolatków miało konkretne znaczenie. Do uszu Schuyler dobiegały stłumione dźwięki świadczące o tym, że wampiry czerpią życiodajną moc od swoich familiantów. Pulsująca krew i siła życiowa przechodziły od jednej istoty do drugiej. Lśnienie wampirów pogłębiało się, a ich rysy stawały się bardziej wyostrome, podczas gdy ludzie wyglądali

na wycieńczonych i apatycznych.

Schuyler wiedziała, że pewnego dnia również ona będzie musiała obdarzyć familianta świętym pocałunkiem. Myśl o nieuchronnym jednocześnie przerażała ją i ekscytowała.

Święty pocałunek to nie była zabawa. Budował poważną więź między wampirem a człowiekiem, szanowaną przez błękitnokrwistych. Familiantom należało się uczucie i opieka w zamian za to, czego dostarczali.

Elegancką atmosferę Balu Czterystu zastąpiła bardziej hałaśliwa i gwałtowna zabawa. Część gości tańczyła ciasno przytulona przy mocnych dźwiękach muzyki house, puszczonej przez DJ-a. Klimat robił się mocno ryzykowny, dziewczęta tańczyły ze sobą nawzajem i prowokująco ocierały się biodrami o swoich partnerów. Tłum spoconych nastolatków kołysał

się w ekstatycznym transie, ten i ów pokrzykiwał, że zamierza dziś nawalić się do nieprzytomności. (Większość była już kompletnie wstawiona - krwią.) Schuyler trzymała się na uboczu. Nie pasowała do tego tłumu. Nie miała tu przyjaciół.

Westchnęła. Wenecka maska zasłaniała dokładnie jej twarz. Miała ochotę pozbyć się przebrania — skóra swędziała ją z gorąca.

Jakiś chłopak wszedł za nią do sali. To zabawne, pomyślała Schuyler. Można rozpoznać wszystkie dziewczyny po sukniach, ale chłopcy naprawdę są zamaskowani, ponieważ wszyscy wyglądają identycznie we frakach. Tak jak ten, w czarnej jedwabnej masce, która zasłaniała oczy, nos i włosy, upodabniając go do zawadiackiego miejskiego rzezimieszka.

— Nie lubisz imprez? — zapytał, zauważając, że siedzi sama na zrujnowanej kamiennej ławce.

— Nie cierpię - roześmiała się Schuyler.

— Ja też.

— Nigdy nie wiem, co powinnam powiedzieć albo zrobić.

— No, tym razem chyba chodzi o to, żeby tańczyć. I pić. Różne rzeczy.

Czyli był wampirem. Schuyler zastanawiała się, kim jest i dlaczego chce mu się z nią rozmawiać.

— Bez wątpienia - *zgodziła* się.

— Ale ty postanowiłaś nie wybierać.

— Już taka ze mnie buntowniczką - powiedziała sarkastycznie.

— Nie sądzę. -Nie?

-Jesteś tutaj, nie? Mogłaś wybrać siedzenie w domu.

Miał rację. Nie musiało jej tu być. Przyszła z tego samego powodu, dla którego postanowiła wybrać się na bal. Żeby mieć okazję znowu zobaczyć Jacka Force'a. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy: za każdym razem, kiedy go widziała, coś wewnątrz niej ożywało,

— Szczerze mówiąc, przyszłam spotkać się z jednym gościem — przyznała.

— Jakim gościem? — zapytał prowokująco.

— Nieważne.

— Czemu?

— Bo nie. Skomplikowane. — Schuyler wzruszyła ramionami.

— No, daj spokój...

— Kiedy jest. On... nie jest zainteresowany — powiedziała, myśląc o łączącej Jacka i Mimi więzi. Cokolwiek do niego czuła, było bez znaczenia. Dał jej to jasno do zrozumienia podczas pogrzebu jej babki. Miał obowiązki wobec swojej rodziny. Nie mogła pozbyć się sprzed oczu widoku tych dwojga, trzymających się za ręce. *Azrael i Abbadon*. Elektryczne napięcie między nimi było niemal widoczne. Cała sala balowa wibrowała od ekscytacji, kiedy zostali przedstawieni.

Najpotężniejsza para wampirów. Wreszcie do nas powrócili. Kim była ona, Schuyler Van Alen, nawet nie wampir czystej krwi, żeby stawać między nimi?

— Skąd wiesz, że nie jest zainteresowany? — spytał poważniej

— Wiem i już.

— Możesz mieć niespodziankę. Schuyler uświadomiła sobie, że chłopak stoi tuż koło niej.

Jego oczy, ukryte za maską... Mogła dostrzec cień zieleni. Jej serce na moment zamarło.

Chłopak przysunął się bliżej.

— To czekam na niespodziankę - szepnęła Schuyler.

W odpowiedzi chłopak łagodnie uniósł jej maskę, odsłaniając usta, a potem pochylił się, sięgając do jej warg.

Schuyler zamknęła oczy. Jedynym chłopakiem, jakiego dotąd całowała, był Jack Force. Teraz rozpoznała, że ogarnia ją podobne uczucie — ale jednocześnie inne. Bardziej nagłace.

Bardziej niecierpliwe. Wchłaniała jego oddech, czuła jego język w ustach, splatający się z jej językiem, zupełnie jakby chciał ją pożreć. Miała poczucie, że mogłaby się z nim całować przez całą wieczność.

A potem wszystko się skończyło.

Otworzyła oczy, maska przekrzywiła się na jej twarzy. Co się stało? Gdzie on zniknął? -Hej!

Schuyler odwróciła się. W holu stała Mimi Force, której głowę zdobił olśniewający pióropusz indiańskiej księżniczki. Jej „maska”; składała się z fachowo nałożonego makijażu i farby do twarzy.

— Widziałas mojego brata? — Mimi początkowo była poirytowana obecnością nieproszonych gości na imprezie, ale ostatecznie złożyła to po prostu na karb swojej niesamowitej popularności. Dlatego nie ruszyło jej już spotkanie z także niezaproszoną Schuyler.

Zanim Schuyler zdążyła odpowiedzieć, Jack Force zmaterializował się u boku siostry. Nosił podobny pióropusz, miał maskę w tym samym stylu co Mimi.

—Tu jestem— powiedział pogodnie.— O, cześć, Schuyler. Jak było w Wenecji?

- Świetnie - odparła Schuyler, starając się zachować spokój.

- To super.

- Chodź, Jack, zaraz będą fajerwerki. — Mimi pociągnęła go za rękaw.

- Na razie — rzucił Jack.

Schuyler czuła się odrętwiała. Była całkowicie pewna, że to z Jackiem się całowała.

Całkowicie pewna, że to on ukrywał się pod czarną maską. Ale jego wyluzowanie, obojętna życzliwość sprawiły, że się zawahała. Ale jeśli to nie Jack całował ją przed chwilą, to kto?

Kim był zamaskowany chłopak?

Poczuła bolesny skurcz na myśl o tym, że następnego dnia zaczyna się przerwa świąteczna i nie zobaczy Jacka Force'a przez całe dwa tygodnie.

SIEDEMNAŚCIE

Zima nareszcie na serio zagościła w Nowym Jorku, za-osypując miasto kolejnymi śnieżycami. Przez kilka dni jak okiem sięgnąć — wszędzie dookoła rozpościerał się nieskazitelny dywan śniegu, który w końcu zmienił się w szaro-żółtawą breję. Wzdłuż chodników wznosiły się wysokie śnieżne hałdy, a mieszkańcy przeskakiwali przez błotniste kałuże lub ponuro brnęli przez nie w pokrytych osadem soli botkach.

Schuyler odpowiadało to zimno, pogoda odzwierciedlała jej stan ducha. Święta w rodzinie Van Alenów miały zawsze bardzo spokojnie. Dawniej wraz z Cordelia wzięłaby udział w mszy w kościele Św. Bartłomieja, a potem spożyła skromną wigilijną kolację.

Każdego roku Boże Narodzenie spędzała z matką w szpitalu. Julius i Hattie mieli wolne, więc

pojechała sama autobusem. Kiedy dotarła na miejsce, szpital wydawał się praktycznie opuszczony. Na miejscu pozostał tylko jeden śpiący strażnik przy wejściu i okrojony zespół

pielęgniarek, z niecierpliwością czekających na koniec zmiany. Schuyler zauważyła, że pracownicy próbowali tchnąć w to miejsce odrobinę świątecznego ducha. Na drzwiach powieszono świąteczne dekoracje, a w dyżurce pielęgniarek stała samotna choinka w towarzystwie migoczącej świecami menory.

Matka jak zwykle spała. Nic się nie zmieniło. Schuyler położyła przy niej paczuszkę w świątecznym opakowaniu. Nagromadzone przez lata kolejne prezenty porastały coraz grubszym kurzem w szafie Allegry.

Potem zdjęła płaszcz, strzepując z niego śnieg, i wepchnęła do kieszeni wełnianą czapkę i rękawiczki. Gdyby była z nią Cordelia, zaczęłaby w tym momencie przygotowania do bożonarodzeniowego lunchu, wydając nadziewanego indyka, szynkę i gorące roladki z pojemników, naszykowanych przez Hattie. Hattie przygotowała taki sam posiłek dla Schuyler, ale jedzenie go bez Cordelii korygującej maniery wnuczki przy stole albo strofującej pielęgniarki, żeby przyniosły porcelanowe, nie plastikowe talerze, było kompletnie czym innym.

Schuyler włączyła telewizor i rozłożyła się z samotnym lunchem, oglądając kolejną powtórkę filmu *To wspaniałe życie*. Za każdym razem wpędzał ją w głęboką depresję, ponieważ nie widziała żadnej możliwości happy endu dla Allegry.

Oliver zapraszał ją, żeby spędziła ten dzień z nim i jego;; najbliższymi, ale odmówiła. Cała rodzina, jaka jej pozostała na świecie, kryła się w tym samotnym szpitalnym pokoju. Tu było jej miejsce.

Po drugiej stronie miasta wielkie domy i okazałe rezydencje na Upper East Side stały opustoszałe. Force'owie wybrali się już swoim gulfstreamem IV na coroczny urlop, wysyłając stroje plażowe do Willi w St. Barths, gdzie spędzali pierwszy tydzień wolnego, a wyposażenie narciarskie do domu w Aspen, na drugą połowę ferii. Llewellynowie wyjechali do Teksasu na bożonarodzeniowe spotkanie rodzinne, a potem, przed Nowym Rokiem, mieli dołączyć do Force'ów w Aspen.

Nawet rodzina Olivera planowała wyjazd na plażę do posiadłości w Tortoli, ale on sam postanowił zostać w mieście, żeby być bliżej Schuyler.

Zamierzał odwiedzić dom Van Alenów w drugi dzień świąt, przynosząc naręczą prezentów.

Zawsze spędzali ten dzień razem. Oliver planował zabrać na poświęconą ucztę chrupiące bagietki, francuskie masło (prawdziwe, jak podkreślał, w niczym nieprzypominające mdłej wersji amerykańskiej), kilka słoików najlepszego rosyjskiego kawioru od Petrossiana, a także butlę szampana z rodzinnej piwniczki.

Rankiem 26 grudnia, kiedy Oliver spakował już kosz z zapasami i zamierzał wychodzić, odebrał telefon od przerażonej Hattie, pokojówki Van Alenów.

— Panie Oliverze, niech pan zaraz przyjeżdża! - usłyszał błagalny głos.

Natychmiast wskoczył do taksówki, na miejscu zastając zdenerwowaną do szaleństwa i półprzytomną Hattie, zaciskającą dłonie na swoim fartuchu i bliską łez. Zaprowadziła go na górę, do pokoju Schuyler.

- Panienska nie zeszła rano na śniadanie. Myślałam, że po pro-stu zasnęła, aż Beauty zbiegła i prawie mnie zaciągnęła na górę. Ona tam leżała i nie mogłam jej obudzić. Boże, dopomóż, ona wyglądała zupełnie jak panienska Allegra i tak się bałam, że się wcale nie rusza, prawie nie oddycha, więc zadzwoniłam po Olivera.

Beauty skomlała w nogach łóżka. Kiedy Oliver wszedł do pokoju, skoczyła do niego, liżąc mu

twarz i ręce.

- Dziękuję, Hattie - powiedział Oliver, głaszcząc Beauty, a potem potrząsając Schuyler i sprawdzając jej puls. Nie wyczuł go, ale to o niczym nie świadczyło. Jego wiedza zausznika podpowiadała, że wampiry mogą zwolnić tempo uderzeń serca tak, że staje się niemal niewyczuwalne, żeby oszczędzać energię. Ale Schuyler miała zaledwie piętnaście lat i dopiero rozpoczęła transformację. Za wcześnie, żeby wchodziła w stan hibernacji. Chyba że...

Okropna myśl tknęła Olivera: a jeśli Schuyler została zaatakowana przez srebrnokrwistego?

Drżącymi rękami wybrała! numer swojej ciotki, doktor Pat, lekarki opiekującej się błękitnokrwistymi. Doktor Pat odradziła wzywanie karetki i zawożenie Schuyler do szpitala.

„Nie będą wiedzieli, jak jej pomóc. Przywieź ją natychmiast do mojego gabinetu”.

Kiedy Oliver wniósł na rękach Schuyler, doktor Pat już czekała ze swoim zespołem. Wtoczyli szpitalne łóżko, na którym Oliver ostrożnie położył przyjaciółkę.

- Czy nic jej nie będzie? — spytał z rozpaczą w głosie. Doktor Pat obejrzała szyję Schuyler.

Nie było na niej śladów. Żadnych oznak Obrzydliwości.

- Raczej rúe. Nie wygląda, jakby została zaatakowana. Nic jej nie będzie. Oni są przecież nieśmiertelni. Ale zobaczymy, co się dzieje.

Oliver siedział w poczekalni doktor Pat na wyjątkowo niewygodnym plastikowym krześle.

Jego ciotka zawsze uwielbiała nowoczesne meble, dlatego klinika przypominała bardziej modny hotel niż przychodnię: białe plastikowe meble, białe kosmate dywany, białe kosmiczne lampy. Po kilku nerwowych godzinach ciotka Olivera wyszła z pokoju zabiegowego. Wyglądała na zmęczoną i wyczerpaną.

- Wejdz — powiedziała siostrzeńcowi. — Jest przytomna. Zrobiliśmy transfuzję, bardzo jej to pomogło.

Schuyler w szpitalnym łóżku wyglądała na jeszcze drobniejszą i bardziej kruchą niż zazwyczaj. Miała na sobie szpitalny, zawiązywany z tyłu fartuch, a jej twarz była bledsza niż zwykle. Mógł dostrzec błękitne żyły, prześwitujące przez skórę.

- Cześć, śpiąca królowo! — uśmiechnął się, starając się ukryć niepokój.

- Gdzie ja jestem?

- W moim gabinecie, maleńka — powiedziała poważnie doktor Pat. — Weszłaś w stan hibernacji. Coś takiego nie powinno się zdarzyć, dopóki nie będziesz znacznie, znacznie starsza. To coś w rodzaju długiego snu, na który decydują się wampiry, kiedy pod koniec cyklu stają się znużone nieśmiertelnością.

- Dziwnie się czuję. I moja krew... jest w niej coś dziwnego. Paskudnego.

— Musieliśmy przetoczyć ci krew. Miałaś bardzo niski poziom czerwonych krwinek.

Będziesz się czuła dziwnie przez jakiś czas, dopóki nowa krew nie dostosuje się do starej.

— Aha - wzdrygnęła się Schuyler.

— Oliver, możesz nas zostawić?

— Dobrze, że nic ci nie jest — powiedział, mocno ściskając ramię Schuyler. - Poczekam na zewnątrz.

Kiedy Oliver wyszedł, doktor Pat zaświeciła latarką w źrenice Schuyler. Naniosiła jakieś notatki na kartę, podczas gdy Schuyler cierpliwie czekała na diagnozę.

Doktor Pat przyglądała się jej uważnie.

— Masz piętnaście lat, prawda? Schuyler przytaknęła.

— Należysz do Komitetu? -Tak.

— Tak jak mówiłam, masz bardzo niski poziom czerwonych krwinek. Jednocześnie poziom

błękitnych krwinek znacznie przekracza normę dla twojego wieku. Pod pewnymi względami jesteś już w pełni ukształtowanym wampirem, ale twoje ciało weszło w stan hibernacji, co oznacza, że nie wytwarzasz odpowiedniego poziomu antygenów.

— Co to znaczy?

— Proces transformacji polega na tym, że twoje błękitne krwinki — twoje wampirze DNA — zaczynają dominować. Wyrastają ci kły, twoje ciało zaczyna czerpać składniki odżywcze nie z dowolnego pożywienia, a wyłącznie z ludzkiej krwi. Powraca ci pamięć, a twoje moce, jakiegokolwiek by nie były, zaczynają się manifestować.

Schuyler skinęła głową.

- Ale wyniki badań twojej krwi są dość dziwne. Wampirze krwinki zaczynają dominować, ale nie w zwykłym, stopniowym procesie, kiedy ludzka powłoka jest przekształcana w wampiryczną. Nie jestem pewna, ale to sprawia wrażenie, jakby twoje ludzkie DNA zwalczało wampirze. Opierało się. Więc żeby to zrekompensować, wampirze DNA także walczy, i to mocno -powodując, że poziom czerwonych krwinek jest znacznie niższy niż powinien.

Wywołany tym szok doprowadził do hibernacji. Czy coś się stało? Mogło to być spowodowane przez jakieś traumatyczne wydarzenie.

Schuyler potrząsnęła głową. Poprzedni wieczór minął całkowicie spokojnie.

- Czasem może to być opóźniona reakcja - wyraziła przypuszczenie doktor Pat. — To na pewno kwestia mieszanej krwi - dodała. Doktor Pat znała okoliczności narodzin Schuyler.

Odbierała poród Allegry.

- Nie ma żadnej dokumentacji dotyczącej tego, co się dzieje, gdy ludzkie DNA zostanie zmieszane z wampirzą krwią. Przez jakiś czas zatrzymam cię na obserwacji.

OSIEMNAŚCIE

Tydzień później Schuyler nadal czuła się trochę osłabiona po „epizodzie”, jak ona i Oliver nazywali nagłą wizytę w klinice doktor Pat. W pierwszym dniu szkoły Oliver zaproponował, że pojedzie po nią samochodem. Schuyler normalnie odrzuciłaby jego ofertę, ponieważ mieszkała po przeciwnej stronie miasta i nie po drodze, ale tym razem potulnie się zgodziła.

Oliver jako jej zausznik powinien się nią opiekować i tym razem zamierzała mu na to pozwolić.

Wiosenny semestr w Duchesne rozpoczął się oficjalnym zebraniem, podczas którego dyrektorka powitała wszystkich uczniów w kolejnym okresie ekscytującej nauki. Potem na tarasie miały zostać podane herbata i gorąca czekolada z rogalikami. Oliver i Schuyler zajęli swoje zwykłe miejsca w tylnych ławkach kaplicy, pośród innych drugoklasistów.

Wokół trwały radosne powitania, dzielono się opowieściami z ferii. Większość opalonych i wypoczętych dziewcząt wymieniała się komórkami, pokazując zdjęcia w bikini z plaż na Bahamach, St. Thomas i w Miami. Schuyler zobaczyła, że Bliss i Mimi idą obok siebie, obejmując się jak najbliższe przyjaciółki.

Włosy Mimi jeszcze zjaśniały od słońca, a u Bliss pojawiło się trochę miedzianych pasemek.

Jack Force szedł powoli za nimi z rękami wepchniętymi w kieszenie spodni. Po goglach narciarskich wokół oczu został mu nieopalony ślad, co tylko dodawało; mu uroku.

Oliver zauważył, na kogo patrzy Schuyler, ale powstrzyma! się od komentarza. I tak wiedziała, co myśli o jej zauroczeniu Jackiem Force'em.

Schuyler, wyczuwając poirytowanie przyjaciela, pochyliła; się, opierając czule głowę na jego ramieniu. Gdyby nie Oliver,; ona... Co by się stało? Na zawsze straciłaby przytomność? Dołączyła do śpiącej w szpitalnym pokoju matki? Nadal trudno jej było wszystko ogarnąć.

Dlaczego jej wampirze komórki walczą z ludzkimi? Czy zawsze będzie rozdarta między dwoma

częściami swojej natury?

Głód, który odczuwała w Wenecji, osłabł trochę po transfuzji. Czyżby chodziło o to, że potrzebowała krwi? Może zamiast ją pić, będzie mogła dostawać transfuzje. Musiała zapytać doktor Pat, czy podobne rozwiązanie wchodziłoby w grę. To było;] zbyt dziwaczne: patrzeć na Olivera i myśleć, że na pewno jest przepyszny. Był jej najlepszym przyjacielem, a nie drugim śniadaniem.

Bliss Llewellyn, rozglądając się, napotkała wzrok Schuyler. Dziewczęta nieśmiało zamachały do siebie. Bliss zamierzała powiedzieć Schuyler o powrocie Dylana, dokończyć rozmowę z balu, ale dotąd jakoś nie miała okazji.

Ferie okazały się dla Bliss niespokojnym czasem. Zamroczenia i koszmary powróciły z całą mocą. Najgorzej było w noc wigilijną. Obudziła się z tak silnym bólem w piersiach, że nie mogła oddychać. Leżała w mokrej, posklejanej pościeli, skąpana we własnym pocie. Ohyda.

Jeszcze bardziej przerażające było to, że bestia z jej koszmarów zaczęła do niej przemawiać w snach.

Blissssss...

Blissssss...

Blissssss...

Wymawiała tylko jej imię, ale to wystarczało, by powodować zimne dreszcze. To był tylko sen. Tylko sen. Tylko sen. Nie istniała żadna bestia, która mogłaby ją skrzywdzić. To tylko część przemiany. Jej wspomnienia się budziły i podsuwały obrazy, tak mówił Komitet. Jej poprzednie wcielenia, jej przeszłe życia.

Zacisnęła zęby i usiadła prosto na swoim miejscu.

Obok niej Mimi Force ziewnęła, zasłaniając usta delikatną dłonią. Miała wrażenie, że te dwa tygodnie spędziła w rajku. Na ferie zabrała ze sobą nie jednego, ale dwóch wybornych familiantów i posiliła się do woli, a teraz miała poczucie, że świat stał przed nią otworem. Niecierpliwie oczekiwała następnego semestru, jako że kolejny sezon oznaczał

zawsze nową okazję do zrobienia zakupów. Podobnie jak Bliss, Mimi była niespokojna.

Niespokojna czy uda jej się dzisiaj zdążyć przed zamknięciem do Barneysa.

Bliss zmusiła się do słuchania powtarzanej co pół roku, podtrzymującej na duchu przemowy dyrektorki — *kolejny wspaniały\ semestr oczekuje na was w salach Duchesne, bla bla, bla* - kiedy drzwi kaplicy otworzyły się z hukiem.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę sprawcy zamieszania.

W progu stał chłopak.

Bardzo, bardzo przystojny chłopak.

— O, tego, przepraszam. Nie chciałem. Wypsnęły mi się z ręki, nie? — powiedział.

- Nic się nie stało. Wejdz, Kingsley, twoje miejsce jest tu, z przodu. — Dyrektorka przywołała go gestem.

Chłopak wyszczerzył zęby w uśmiechu. Dumnie przemaszerował pośród ławek kołyszącym, niedbałym krokiem. Jego czarnej włosy lśniły, grzywka łobuzersko opadała na lewe oko, promieniom; wał arogancką pewnością siebie, pasującą do jego idealnej urody modela. W

luźnej, białej, flanelowej koszuli i obcisłych czarnych dżinsach wyglądał, jakby zszedł wprost z okładki płyty CD.

Bliss, podobnie jak pozostałe dziewczęta w kaplicy, nie mogła oderwać od niego spojrzenia.

Zupełnie jakby poczuł jej wzrok, obejrzał się, popatrzył jej prosto w oczy.

I mrugnął.

DZIEWIĘTNAŚCIE

N aazywał się Kingsley Martin i chodził do trzeciej klasy, i/ V Żeńska część populacji Duchesne zgodziła się, że nawet imię miał seksowne. Można by pomyśleć, że wraz z jego po-jawieniem się, wśród dziewcząt rozprzestrzeniła się jakaś zaraza. Nie minął tydzień, a dokonania „nowego” znalazły się na ustach wszystkich. Został już zwerbowany do szkolnych drużyn lacrosse’a, piłki nożnej i wioślarskiej. Równie imponująco przedstawiały się jego osiągnięcia w przedmiotach akademickich. Całkowicie podbił zręczliwą nauczycielkę angielskiego prezentacją dotyczącą *Piekle* Dantego, zatytułowaną „Piekło Taco”, w której porównał kręgi piekielne do popularnych firm fastfoodowych. Na matematyce w rekordowym czasie rozwiązywał zadania.

Do tego wszystkiego, zdaniem dziewcząt, był po prostu powalający. Niesamowicie przystojny, urodą łączącą hollywoodzki blask z europejską elegancją i odrobiną niepokorności. Nowy chłopak sprawiał wrażenie interesującego.

I ot, tak po prostu, Jack Force wyszedł z mody. Wszystkie dziewczęta знаły Jacka od przedszkola. Kingsley stanowił dla niego nową, oszałamiającą i tajemniczą alternatywę.

Mimi Force streściła Bliss resztę nowin po lunchu, kiedy poprawiały makijaż w damskiej toalecie.

- Jest błękitnokrwisty - Mimi ułożyła usta w kształcie litery O, nakładając błyszczczyk.

- Co ty nie powiesz - odparła Bliss. Jasne, że był wampirem i wiedziała to od chwili, w której go zobaczyła. Nie spotkała jeszcze wampira, który tak ostentacyjnie obnosiłby się z błękitną krwią. Aż dziwne, że nie pokazał całej szkole swoich kłów.

- Spotkałam go na Balu Czterystu — ciągnęła Mimi. — Jego rodzina właśnie przeprowadziła się z Londynu, ale mieszkał już wszędzie: w Hongkongu, w Nowym Jorku, w Capetown. Oni mają powiązania z rodziną królewską, czy coś w tym rodzaju. Ma jakiś tytuł, ale go nie używa.

- Powinnyśmy przed nim dygać? — zażartowała Bliss. Mimi zmarszczyła brwi.

- Nie żartuję. Oni są, tak jakby, wielcy. Posiadłości ziemskie, doradzanie królowej, cały ten kram.

Bliss powstrzymała się od przewrócenia oczami. Czasem Mimi była tak zaślepiona w swoim snobizmie, że naprawdę psuło jej to całą zabawę.

Wychodząc z łazienki, wpadły na przedmiot swojej dyskusji. Kingsley wychodził z szatni chłopców, niosąc grubą, oprawioną w skórę księgę. Wyglądał zawadiacko i przewrotnie czarująco. Rozpromienił się na ich widok.

- Drogie panie... - skłonił się. Mimi uśmiechnęła się.

- Właśnie o tobie plotkowałyśmy.

- Mam nadzieję, że dobrze - mówiąc to, nie odrywał oczu od Bliss.

- To jest Bliss, moja przyjaciółka. Jej tata jest senatorem -powiedziała Mimi, obejmując pospiesznie Bliss.

- Wiem — uśmiech Kingsleya stał się szerszy. Bliss z trudem zachowywała spokój. Kiedy patrzył na nią w taki sposób, miała wrażenie, że stoi przed nim całkowicie naga.

Zadzwiećwał drugi dzwonek, co oznaczało, że zostało pięć minut do rozpoczęcia następnej lekcji.

- Muszę lecieć. Staruszek Korgan potrafi być niezłym dupkiem. - Mimi skierowała się w stronę schodów.

- Rany, zamknij go po prostu - rzucił Kingsley. - Nie umiesz tego jeszcze?

- O czym ty mówisz? - zdziwiła się Bliss. Mimi roześmiała się nerwowo.

- Mówi o rzucaniu uroku na nauczycieli. Wiesz, kontrola umysłu. Kingsley, nie wydurniaj się, wiesz, że nam tego nie wolno. To sprzeczne z Kodeksem. Gdyby Strażnicy się dowiedzieli...

Błękitnokrwiste nastolatki miały całkowity zakaz używania swoich mocy, a także popisywania się nadludzkimi możliwościami, dopóki nie staną się dorosłe. Zresztą nawet wtedy zasady Kodeksu Wampirów były klarowne: ludźmi nie wolno się bawić. Należy ich szanować. Błękitnokrwisci powinni nieść światu pokój, piękno i światło, nie zaś używać nadprzyrodzonych mocy, by dominować i rządzić.

— Strażaki-straszaki — zażartował Kingsley, machając ręką. Nigdy nie wiedzą, co się dzieje. Czy może dalej wierzysz, że umieją czytać w myślach? — zakpił.

- Bardzo śmieszne. Potem pogadamy. - Mimi ruszyła w swoją stronę.

- Też muszę lecieć - rzuciła nerwowo Bliss.

- Czekaj. Bliss uniosła brwi.

— Unikasze mnie — powiedział po prostu Kingsley. To nie było oskarżenie, tylko stwierdzenie faktu. Przełożył trzymaną książkę do drugiej ręki. Bliss rzuciła na nią okiem —

nie sprawiała wrażenie podręcznika. Przypominała jedną z tych starych ksiąg z Repozytorium, w których Oliver szukał informacji o Croatanach.

- O czym ty mówisz? Dopiero się spotkaliśmy.

— Już zapomniałaś? — zapytał Kingsley. -O czym?

Kingsley zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, od nowych płaskich pantofli Chloe do pasemek na włosach.

— Podobała mi się ta zielona suknia. I naszyjnik, rzecz jasna. Idealnie pasował. Ale chyba bardziej mi się podobałaś przemoknięta i ociekająca wodą. Bezbronna.

— Ty byłeś w parku — Bliss zabrakło tchu. Chłopakiem, który ją uratował, był Kingsley, nie Dylan. Kingsley? Ale jak? Czy to znaczyło, pomyślała z bólem z sercu, że Dylan naprawdę nie żyje?

- Byłaś prześliczną Panią Jeziora - powiedział Kingsley.

W głowie Bliss trwała gonitwa myśli. To znaczyło, że na after party tańczyła także z Kingsleyem. On był chłopakiem w masce Pierrota.

— Co się stało z Dylaniem? - wyszeptała Bliss, czując, jak straszne uczucie wkrada się do jej serca. Była tak bardzo pewna, że Dylan żyje. Ale skoro to nie on uratował ją ze stawu i nie on tańczył z nią na imprezie... musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Trzymała się kurczowo złudzenia. On odszedł i nigdy nie powróci.

— Kim jest Dylan?

— Nieważne — odparła Bliss, starając się przyswoić te informacje i dostosować się do nowej rzeczywistości. - Co miałaś na myśli, wtedy, na imprezie, kiedy powiedziałaś, że twoja nieobecność nie trwała aż tak długo? Czy my... czy się znaliśmy? — zapytała.

Kingsley nieoczekiwanie spoważniał.

— A, tak, wybac. Twoja grupa jest tu trochę opóźniona, nie? Jeszcze mnie nie rozpoznajesz. Naprawdę mi przykro. Kiedy tańczyliśmy, myślałem, że mnie poznałaś. Pomyliłem się.

— Kim jesteś? — spytała Bliss.

Kingsley przysunął twarz do jej ucha i wyszeptał cicho:

— Jestem tym samym co ty.

Zadzwonił ostatni dzwonek. Kingsley uniosł brwi i wyszczerzył zęby.

— Do zobaczenia, Bliss.

. Bliss oparła się o ścianę. Kolana jej drżały, serce waliło. Stał tak blisko obok niej, że nadal czuła na policzku jego oddech. Kim właściwie był? O czym mówił? I czy kiedykolwiek się dowie, co naprawdę stało się z Dylaniem?

DWADZIEŚCIA

Wchodząc na śniadanie w piątkowy poranek, Schuyler natychmiast zauważyła coś niezwykłego w salonie -

słońce. Pokój był oświetlony słońcem, tonął w świetle. Pokrowce z mebli zostały pozdejmowane, a wpadające przez okna promienie słoneczne niemal oślepiały.

Lawrence Van Alen stał na środku pokoju, przyglądając się staremu portretowi wiszącemu nad kominkiem. Staroświeckie kufry piętrzyły się w przedpokoju, a towarzyszył im duży, zniszczony neseser firmy Louis Vuitton.

Hattie i Julius stali obok Lawrence'a, załamując ręce. Hattie pierwsza zauważyła Schuyler.

- Panienko Schuyler! Nie zdołałam tego pana zatrzymać, miał klucze. Powiedział, że ten dom należy do niego, zaczął zdejmować zasłony i nakazał, żebyśmy ściągali pokrowce. Mówi, że jest panienki dziadkiem. Ale przecież pani Cordelia była wdową, odkąd pamiętam...

— Wszystko w porządku, Hattie. Naprawdę, Julius. Ja się tym zajmę — Schuyler starała się ułagodzić służbę. Pokojówka i szofer patrzyli podejrzliwie na intruza, ale posłuchali jej i opuścili pokój.

— Co tu robisz? - zażądała odpowiedzi Schuyler. - Myślałam, że zamierzasz trzymać się na uboczu. — Starła się rozźłościć, ale zamiast tego czuła się wprost wniebowzięta. Jej dziadek! Czyżby zmienił zdanie?

— To chyba oczywiste? - odpowiedział pytaniem Lawrence.: — Wróciłem. Twoje słowa bardzo mnie zraniły, Schuyler. Nie mogłem się pogodzić z tym, że tak tchórzliwie postąpiłem.

Wybacz mi, tyle czasu minęło od chwili, gdy Cordelia i ja zawarliśmy naszą umowę. Nie spodziewałem się, że ktokolwiek będzie mnie szukał.

Podszedł do okna wychodzącego na zamarzną rzekę Hudson. Schuyler zapomniała, że z salonu rozpościera się tak wspaniały widok. — Cordelia od lat trzymała zaciągnięte story.

— Nie mogłem pozwolić, żebyś musiała sama wracać do dawnego życia. Dostatecznie długo przebywałem na wygnaniu. Nad! szedł czas, aby Nowy Jork przypomniawsobie, jaka siła i sława łączą się z nazwiskiem Van Alen. I przyjechałem się tobą zaopiekować. Jesteś przecież moją wnuczką.

W odpowiedzi Schuyler rzuciła się w ramiona dziadka, ściskając go mocno.

— Cordelia nie myliła się co do ciebie. Wiedziałam, że nie może się mylić.

Ale zanim zdążyła powiedzieć coś więcej, dzwonek zadzwieczał głośno, kilka razy, jakby naciskał go ktoś bardzo poirytowany.

Schuyler spojrzała na dziadka.

— Spodziewasz się kogoś?

— Nie w tej chwili. Anderson ma przyjechać za tydzień, kiedy zakończy różne sprawy w moich domach w Wenecji - głos Lawrence'a był poważny. - Najwyraźniej moje przybycie nie było taką tajemnicą, jak miałem nadzieję.

Hattie chciała wpuścić gości, ale Lawrence odprawił ją gestem.

- Zajmę się tym - oświadczył, otwierając drzwi. W progu stanął ponury i zdeterminowany Charles Force w towarzystwie kilkorga Strażników z Komitetu.

- O, Lawrence - Charles Force uśmiechnął się sucho. - Znowu zaszczyciłeś nas swoją obecnością.

- Charlesie - Lawrence skinął mu głową.

— Czy możemy wejść?

— Ależ oczywiście — odparł grzecznie Lawrence. — Schuyler, jak przypuszczam, znasz wszystkich. Charles, Priscilla, Forsyth, Edmund, to moja wnuczka, Schuyler.

Archiwum
New York Herald

10 LUTEGO 1872
USTALONA DATA ŚLUBU

ZOSTAŁY WYŚLANE ZAPROSZENIA na uroczystość zaślubin panny Caroline Vanderbilt, córki admirała Vanderbilta, z lordem Alfredem Burlingtonem. Ceremonia, którą odprawi wielebny Cushing, ma się odbyć w czwartkowy wieczór, 24 lutego, w domu rodziców panny młodej, przy Piątej Alei. Druhną panny Vanderbilt będzie jej młodsza siostra, Ava Vanderbilt, natomiast drużbą pana młodego będzie markiz Essex. Po ceremonii zaślubin odbędzie się przyjęcie. Wśród ośmiuset zaproszonych przez tę znakomitą rodzinę gości znajdują się gubernator i burmistrz Nowego Jorku. Lord Burlington jest przedsiębiorcą prowadzącym interesy w Londynie i Nowym Jorku, najstarszym synem diuka Devonshire. Młoda para uda się w podróż poślubną na subkontynent indyjski.

— No, tak, dzień dobry — Schuyler zastanawiała się, czemu dziadek zachowuje się tak, jakby Strażnicy wpadli po prostu z przyjacielską wizytą.

Zignorowali ją.

- Przykro mi, Lawrence - odezwała się Priscilla Dupont słodkim, melodyjnym głosem. -

Zostałam przegłosowana.

- Nic się nie stało, moja droga. Muszę powiedzieć, że niezwykle mnie cieszy, że cię widzę.

Tak wiele czasu upłynęło od Newport.

— Zbyt wiele — zgodziła się Priscilla.

— Wystarczy - przerwał zirytowany Charles. - Lawrence, nie przypominam sobie, aby twoje wygnanie zostało uchylone. Musisz złożyć formalne oświadczenie przed Radą. Pozwolisz z nami.

— Co się dzieje? — krzyknęła Schuyler, kiedy dwóch Strażników ujęło jej dziadka pod ramiona. - Gdzie oni cię zabierają?

— Nie bój się, wnuczko *f* uśmiechnął się uspokajająco Lawrence. — Skoro nie mam wyboru, udam się z wami z własnej woli. Charles, nie zamierzam być twoim przeciwnikiem. Schuyler, niedługo wrócę.

— Zobaczmy — prychnął Charles Force.

Schuyler patrzyła, jak wyprowadzają jej dziadka z domu i wsiadają do czarnych samochodów, zaparkowanych przed budynkiem. Miała ochotę płakać. Kiedy już myślała, że wreszcie nadeszła pomoc, wszystko zostało jej momentalnie odebrane.

— Pojechał? - Hattie wypadła z kuchni. — Dzięki Bogu.

— Wróci. - Schuyler podeszła do obrazu, któremu przyglądał się Lawrence. Był to portret ślubny, przez lata ukryty pod odkwaszającą tkaniną, datowany na początek XVIII wieku.

Przedstawiał zadbaną i uroczą Cordelię w sukni ślubnej. Stojący koło niej mężczyzna w nieskazitelnym żakiecie i z fularem nosił charakterystyczne, jastrzębie rysy młodego Lawrence'a Van Alena.

DWADZIEŚCIA JEDEN

Chłopak stał niepewnie na balustradzie tarasu przy-legającego do znajdującej się na trzecim piętrze biblioteki. W cieplejszych porach roku taras był nazywany „Klubem Duchesne”, ponieważ uczniowie wychodzili tam na drugie śniadanie, opalali się i podwijali nogawki spodni. Dziewczęta rozpinają tyle guzików bluzek, ile tylko się odważyły, a chłopcy nawet ściągali koszule.

W połowie stycznia drzwi prowadzące na taras były zwykle zamknięte na klucz. Nie dzisiaj.

Dzisiaj ktoś je otworzył, wpuszczając mroźny wiatr do wnętrza biblioteki, i ten ktoś był teraz na zewnątrz, balansując na wąskiej, dziesięciocentymetrowej, metalowej poręczy.

Jack, wracając z budynku, w którym mieściła się pracownia muzyczna, napotkał ożywiony tłumek zgromadzony na dziedzińcu przed głównym gmachem szkoły. Zauważył, że Schuyler wyślizgnęła się przez boczne drzwi i z twarzą ściągniętą niepokojem rozmawiała o czymś ze swoim czerwonokrwistym przyjacielem, Oliverem.

Z trudem oderwał od niej wzrok, pragnąc, żeby to do niego zwróciła się ze swoimi problemami. Spojrzał tam, gdzie wszywało kilkoro uczniów, i zauważył chłopaka. To był pierwszoklasista, czerwonokrwisty. Stał na balustradzie z nieobecnym oszołomionym wyrazem twarzy.

- Skacz! — zaskrzeczała Soos Kemble, prawie przewracając,; się ze śmiechu.

- Co on wyprawia? - mówiła inna dziewczyna, jednocześnie! przerażona i podekscytowana.

Jack zauważył, że zgromadzonych to wszystko bawiło. Jakaś połowa gorąco, nawet jeśli nie do końca świadomie, kibicowała chłopakowi, żeby spadł. To na pewno spowodowałoby odwołanie dzisiaj reszty lekcji.

- No, dalej! Zdecyduj się! Mam dzisiaj test z matmy i nie) chce mi się tam iść! — krzyknął

ktoś.

Superczuły słuch Jacka pochwycił nagle dochodzący z boku z kamiennej ławki ukrytej za żywopłotem, śmiech tego nowego chłopaka, Kingsleya Martina, i głos Mimi.

- Niech zrobi piruet — powiedziała Mimi. , Kingsley machnął ręką i chłopak na poręczy zaczął się obracać niczym baletnica. Tłum wstrzymał oddech, Ale chłopak wylądował na obu stopach. Wyglądał jakby był zszokowany tym, co się właśnie stało, niemal jakby nie kontrolował... Nie kontrolował...

Jack spojrział ostro na Kingsleya. W tym momencie zrozumiał, co się dzieje. Kingsley za pomocą uroku kontrolował umysł chłopaka, jak lalkarz pociągający za sznurki.

Na spotkaniach Komitetu zawsze słyszeli, że za używanie mocy na czerwonokrwistych bez powodu czeka ich surowa kara. Jack poczuł narastającą wściekłość. Głupi, arogancki dureń.

Kingsley ściągał niebezpieczeństwo na nich wszystkich.

— Uwolnij go! — rozkazał Jack, podnosząc rękę i piorunując Kingsleya wzrokiem.

Tłumek odwrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Rany, stary, tylko się bawimy — wzruszył ramionami Kingsley i po następnym ruchu jego ręki chłopak przestał się obracać.

Wrzasnął, orientując się, że stoi na balustradzie. Zaczął tracić równowagę, jego lewa stopa ześlizgnęła się z poręczy...

— Martin! Sprowadź go bezpiecznie na dół. JUZ!

— Skoro się upierasz — Kingsley wyglądał na znudzonego. Chłopak odzyskał równowagę i bezpiecznie zeskoczył na taras.

— *Modo caecus* ~ wyszeptał Jack, rzucając na wszystkich zgromadzonych zaklęcie sprawiające, że zapomną o tym, co widzieli.

— To było durne i ryzykowne, nie mówiąc o tym, że okrutne i podłe— Jack odwrócił się do Kingsleya. Nigdy w życiu nie czuł się tak rozgniewany. Jeszcze gorszy okazał się widok stojącej obok Mimi. Czy był zazdrosny? A może tylko wściekły i zawiedziony, że jego siostra bierze udział w tak podłych rozrywkach?

— Nie psuj zabawy, Force — powiedział Kingsley. — Włos mu z głowy nie spadł, nie?

— Właśnie, Jack, odpuść - dorzuciła Mimi. - To tylko dzieciak. Nic mu się nie stało.

— Nie o to chodzi, Mimi — odparł Jack. — Strażnicy się do-wiedzą.

— A, Strażnicy — zaśmiał się Kingsley. — Stary, a może sam się ze mną spróbujesz? — zakpił. — Czy może tak kochasz czerwono-krwistych, że zapomniałeś, że twoja krew jest błękitna?

Jack zaczerwienił się po nasadę jasnych włosów.

— Wy, Force'owie... czy jak się tam dzisiaj nazywacie... bylibyście niczym bez mojej rodziny, bez naszego poświęcenia -oznajmił ponuro Kingsley. Obrócił się na pięcie i ruszył w mają stronę. — Jak będziesz chciał dostać nauczkę, Force, to wiesz gdzie mnie szukać.

— Jack, to tylko dowcip - Mimi starała się ułagodzić brata.

— Zostaw! — Jack strzasnął jej rękę z ramienia.

Odszedł szybko. Mimi pobiegła za nim, z poirytowaniem malującym się na twarzy.

— Jack, czekaj, daj spokój.

Ale Jack się nie obejrzał. Uszy paliły go ze wstydu z powodu tego publicznego wybuchu. Czy postąpił rozsądnie? Musiał powstrzymać Kingsleya, prawda? Czy może nie miał poczucia humoru, jak twierdziła jego siostra? A poza tym, o czym w ogóle mówił ten chłopak? Na czym polegało poświęcenie Martinów?

Będzie musiał zapytać ojca.

DWADZIEŚCIA DWA

Na zajęciach z chemii doświadczalnej Oliver zajął dla Schuyler miejsce obok siebie. Męczył jej gogle ochronne, a ona założyła fartuch.

- Co dzisiaj robimy? - zapytała, dopasowując gogle. Oliver już założył swoje i cała klasa przypominała wyglądem oddział spawaczy. Po drugiej stronie sali Mimi głośno narzekła, że od gogli robi się jej paskudny czerwony odcisk na nosie, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Znowu cukierki? - spytała Schuyler.

Oliver sprawdził palnik Bunsena i włączył go ostrożnie, zostawiając mały, czerwony płomyk. - Tak.

Dawniej tego przedmiotu w Duchesne uczył jeden z najbardziej pomysłowych i charyzmatycznych nauczycieli. Laboratorium chemiczne stało się tak popularne, że drugo- i trzecioklasiści mogli je wybierać jako przedmiot dodatkowy. Ale entuzjastycznego, chłopakowi tego profesora Anthony'ego, niedawnego absolwenta Yale, zwolniono w czasie zimowych ferii z powodu pechowej przygody z jedną z uczennic, która zaszła w ciążę.

Profesor Anthony został wyrzucony, a uczennica wydalona ze szkoły. To nie było *De grassi: Nowe pokolenie*. To było Duchesne.

Wszystko pięknie, tymczasem jednak z braku fascynujących eksperymentów profesora Anthony'ego (w zeszłym semestrze zamieniali płytki miedziane w złote, a przynajmniej pozłacane) uczniowie zostali skazani na starego nudziarza Korgana. Jego podręcznik składał się z serii doświadczeń, z których każde kolejne było bardziej nieciekawe od poprzedniego.

Obliczanie gęstości. Określanie składu wody. Stwierdzanie, czy roztwór ma odczyn kwaśny, zasadowy czy neutralny. Zieeeeeew. Profesor Korganj! tak powoli wprowadzał nowe tematy, że całe dwa tygodnie trwałej chemiczne reakcje zachodzące z udziałem wysokiej temperatury i fruktozy — czyli zamienianie cukru i wody w cukierki.

Schuyler miała właśnie umieścić zlewkę z wodą nad palnikiem, kiedy profesor Korgan niespodziewanie ogłosił:

— Chciałbym, żebyście... zmieniali partnerów laboratoryjnych co tydzień. Ostatnio jesteście bardzo niespokojni,? więc muszę... .. oddzielić was od przyjaciół. Osoba z lewej strony niech przejdzie do sąsiedniego stołu i będziemy tak się; zmieniać co tydzień.

Oliver i Schuyler spojrzeli na siebie z rozczarowaniem.

— Do zobaczenia po lekcji - powiedział Oliver, kiedy Schuyler zbierała swoje rzeczy i przenosiła się do sąsiedniego stołu, przy którym czekał Kingsley Martin.

Wielkie plastikowe gogle tylko podkreślały jego urodę, pokazując, że wygląda korzystnie także w przypominających owadzie Bezy przyciemnionych okularach. Wyglądałby atrakcyjnie nawet w poliestrowych portkach i z wąsikami Groucho. Schuyler nie miała do tej pory specjalnie do czynienia z Kingsleyem, ale słyszała, jak się nim zachwycano i była świadkiem jego aroganckiego zachowania tego ranka na dziedzińcu.

— Szkoda z powodu twojego dziadka — powiedział zamiast przywitania.

Schuyler postarała się nie okazać zaskoczenia. Przecież Kingsley był błękitnokrwisty. Jego rodzice pewnie należeli do wysokich rangą członków Rady.

— Nic mu nie będzie - odparła krótko, czekając aż woda w zlewce się zagotuje.

— A, tego jestem pewien. Ale szkoda, że nie mogę zobaczyć, jak Lawrence i Charles skaczą sobie do oczu. Niczym za dawnych czasów.

— Mhm — skinęła głową Schuyler, nie chcąc ciągnąć tego tematu. O powrocie Lawrence'a nie

powiedziała jeszcze nawet Oliverowi. Nie chciała zapeszać. A co będzie, jeśli Komitet odeśle go natychmiast do Włoch? Wtedy nawet nie będzie czego mówić.

— Powiedz, dalej się kręcisz przy tym chłopaku?

— Słucham? — zapytała Schuyler, podnosząc probówkę.

— Nic takiego — Kingsley niewinnie wzruszył ramionami. — Skoro tak wolisz pogrywać — dodał prowokująco.

Kiedy Kingsley nie patrzył, Schuyler przyjrzała się jego profilowi. Słyszała, że był na Balu Czteryestu. Czy mógł... Czy mógł

być chłopakiem w masce, z którym całowała się na after party? Schuyler na wpół świadomie dotknęła swoich ust. Jeśli przyjąć, że to on ją całował, może jednak ma w sobie coś, co ją pociąga? Mimo że na pierwszy rzut oka przysięgłaby, że jest dla niej po prostu odrażający.

Oliver zawsze cytował Foucaulta, mówiąc, że pożądanie bierze się z odrazy.

W jej głowie pojawiła się nieoczekiwana myśl: a jeśli chłopakiem w masce był Oliver? Na imprezę dotarli także czerwono-krwiści... A Oliver nie lubił pozostawać na uboczu, kiedy coś się działo. Była pewna, że mógł się w jakiś sposób dowiedzieć o imprezie. Czy chłopak w masce pociągał ją, ponieważ był™ najlepszym przyjacielem? Czy się całowali? Czy to dlatego ostatnio był dla niej taki miły? Traktował ją z taką czułością?

Rzuciła okiem na sąsiedni stół. Olivier krzywił się, podczas gdy jego laboratoryjna partnerka, Mimi Force, przypalała fruktozę, zamieniając ją w pachnącą mdlącą słodczą katastrofę. I Czy jeśli całowała Olivera, to znaczyło, że są teraz czymś więcej niż przyjaciółmi? Czy powinni zacząć chodzić ze sobą? Czy w ogóle ją do niego ciągnęło? Spojrzała na kasztanowe włosy przyjaciela, spadające na oczy, i przypomniała sobie, że w Wenecji potrafiła myśleć tylko o tym, jak smakuje jego krew. Czy to oznaczało zainteresowanie? I kto mógł wiedzieć, co on właściwie myśli o niej?

Schuyler położyła na stole idealnie ukształtowane sześcianiki cukierków i pochwyciła spojrzenie innego chłopaka w klasie.

Jack Force. Jej żołądek natychmiast zacisnął się w supeł.

W tym momencie Schuyler rozumiała, że po prostu się oszukuje. Mogła się bawić myślą o tym, że pociąga ją Kingsley albo Oliver. Ale w rzeczywistości żywiła nie do końca skrywaną nadzieję co do tożsamości chłopaka, z którym się całowała. Myślała tylko i wyłącznie o jednej osobie.

O Jacku.

DWADZIEŚCIA TRZY

Kiedy Schuyler przyszła ze szkoły, Lawrence jeszcze nie wrócił. Poprosiła Juliusa, żeby zaniósł bagaże dziadka do pokoju Cordelii. W holu wydawały się takie opuszczone i samotne.

Hattie przygotowała kolację, którą Schuyler zabrała do siebie, zjadając kotlet i ziemniaczane pure przy komputerze. Cordelia nigdy by na coś podobnego nie pozwoliła. Babka pilnowała, żeby Schuyler zawsze jadła obiad jak należało, przy stole. Ale teraz nie było już Cordelii, która mogłaby dyktować zasady.

Schuyler nakarmiła Beauty resztkami ze swojego talerza, sprawdziła e-mail i bez większego przekonania spróbowała odrobić lekcje.

Później zniosła na dół tacę i pomogła Hattie załadować zmywarkę do naczyń. Minęła już dziewięta. Dziadek był nieobecny ponad dwanaście godzin. Jak długo mogło trwać takie zebranie?

Wreszcie, trochę po północy, Lawrence przekręcił klucz w zamku. Wyglądał na wyczerpanego, bruzdy na jego twarzy pogłębiły się. Schuyler pomyślała, że sprawia wrażenie, jakby postarzał się o kilkadziesiąt lat.

— Co się stało? — zapytała, zaniepokojona jego stanem. Zerwała się z fotela przy oknie, w

którym drzemała. Salon, po ściągnięciu ciężkich zasłon i pokrowców, okazał się zaskakująco przytulnym miejscem. Hattie rozpałała w kominku, a Schuyler nie mogła się napatrzeć na rzekę za oknem.

Lawrence odwiesił na wieszak pomietą fedorę i zatonął w jednej z zabytkowych kanap naprzeciwko kominka. Kiedy się poprą wił na swoim miejscu, uniosła się chmura kurzu.

— Wydaje mi się, że Cordelia mogła odżałować trochę pieniędzy na sprzątanie tutaj - narzekał. - Zostawiłem jej całkiem okrągłą sumkę.

Cordelia zawsze dawała Schuyler do zrozumienia, że brakuj! im pieniędzy, a wszelkie skromne wpływy idą na rzeczy podstawowe: czesne Duchesne, jedzenie, najpilniejsze naprawy, pensja Juliusa i Hattie. Na wszystko inne - nowe ubrania, filmy, restauracje — niechętnie wydzielała po parę dolarów.

— Babcia zawsze mówiła, że nie mamy pieniędzy - powiedziała Schuyler,

— W porównaniu do tego, co dawniej, z pewnością. Ala rodzina Van Alenów jest daleka od bankructwa. Sprawdziłem dzisiaj konta. Cordelia umiała dobrze inwestować. Odsetki się gromadziły. Powinniśmy doprowadzić dom do porządku.

— Byłeś w banku? — spytała trochę zaskoczona Schuyler

— Tak, musiałem załatwić sporo spraw. Dawno nie odwiedzałem tego miasta. Zdumiewające, jak bardzo zmienił się świat.

W Wenecji łatwo o tym zapomnieć. Spotkałem kilku znajomych, Carondolet uparł się, żebym zjadł z nim obiad w starym Bubie. Przepraszam, wróciłbym wcześniej, ale musiałem się dowiedzieć, co Charles wykombinował pod moją nieobecność. - Ale co z Komitetem?

Lawrence wyjął z kieszeni cygaro i starannie je zapalił.

- A, na przesłuchaniu?

- Tak — rzuciła niecierpliwie Schuyler, zdziwiona niefrasobliwością Lawrence'a.

- No cóż, zaprowadzili mnie do Repozytorium. Musiałem się tłumaczyć przed Radą — najwyższymi władzami zgromadzenia. Strażnicy, Starsi, Odwieczni, tacy jak ja.

Odwiecznymi nazywano wampiry, które przez wieki zachowały tę samą powłokę, uzyskując zezwolenie na nieuczestniczenie w cyklu snu i przebudzenia, znanym jako reinkarnacja.

- Nigdy nie widziałem równie żałosnej bandy - Lawrence wykrzywił usta z niesmakiem.

—Słyszałaś, że Forsyth Llewellyn dochrapał się senatora? On, w Plymouth tylko sługus Michała. Naprawdę wstyd. Do tego jego nominacja stoi w całkowitej sprzeczności z Kodeksem Wiesz, nie zawsze tak było, dawniej rządziłyśmy. Ale po tym nieszczęściu w Rzymie zgodziliśmy się, że dążenie do władzy w świecie ludzi pozostaje na zawsze poza dyskusją.

Schuyler skinęła głową. Znała całą historię od Cordelii.

- W dodatku wyrzucili z Rady Carondoletów, Cushing mi o wszystkim opowiedział.

Ponieważ zaproponował *candidus suffragium*.

- A co to jest?

— Białe głosowanie. Nad przywództwem w Radzie - wyjaśnił Lawrence, zrzucając skórzane półbuty i grzejąc odziane w skarpetki stopy przy ogniu.

— Myślałam, że Michał - Charles - zawsze był Regisem.

— Niezupełnie — Lawrence strzepnął popiół z cygara *d o jętej* z kieszeni marynarki popielniczki.

-Nie?

— Nie. Rada nie jest demokratyczna, ale też nie jest monarchią. Zdecydowaliśmy, że przywództwo może *zostać* zakwestionowane, jeśli Rada uzna, że Regis nie przewodzi nam we

właściwy sposób. Wtedy odbywa się białe głosowanie.

— Czy kiedykolwiek je przeprowadzano?

— Aha. — Lawrence rozsiadł się na kanapie tak, że widoczny był tylko dym cygara. - Raz, w Plymouth.

— I co się stało?

— Przegrałem — wzruszył ramionami Lawrence. — Wyrzucili mnie i Cordelię z Rady. Od tamtej pory nie mieliśmy żadnej władzy w zgromadzeniu. Ugięliśmy się, a potem, w połowie dziewiętnastego wieku, postanowiliśmy się rozdzielić.

— Czemu? — spytała Schuyler.

— Cordelia mówiła ci zapewne, że podejrzewaliśmy, iż wysoki rangą członek Rady ukrywa srebrnokrwistego. Uznałem, że bezpieczniej dla niej będzie, jeśli zniknę na pewien czas, co pozwoli mi prowadzić śledztwo bez zwracania uwagi Komitetu. Uważaliśmy nasz plan za chytry. Ale niestety to oznaczało także! że nie było mnie tu, kiedy Allegra postanowiła pójść za głoserri serca. Ani kiedy ty się urodziłaś. A moje wysiłki nie przyniosły żadnych efektów.

Jestem równie daleki od potwierdzenia moich podejrzeń, jak przedtem.

- Ale co się stało? Dlaczego cię puścili? Myślałam, że zostałeś wygnany.

Lawrence zachichotał.

- Oni też tak myśleli. Zapomnieli, że dobrowolnie udałem się na wygnanie. Nie sędzę, żeby ktokolwiek z nich się spodziewał, że wrócę. Nie mieli wyboru, nie złamałem w żaden sposób Kodeksu. Nie mieli pretekstu, żeby zabronić mi powrotu. Ale ponieważ nie było mnie przez tak długi czas, żądali, żebym złożył oświadczenie.

—Jakie oświadczenie?

- Och, obiecałem, że nie będę jak nigdyś kwestionować przywództwa Rady. Rozumiesz, domagać się białego głosowania. Nawet przywrócili mi pozycję w Radzie pod warunkiem, że nie będę wspominać więcej o zagrożeniu ze strony srebrnokrwistych. Zdaniem Charlesa kwestia Croatana została zażegnana, o ile w ogóle była prawdziwa.

- Tylko dlatego, że przez ostatnie trzy miesiące nikt nie zginął - parsknęła Schuyler.

- Wiem. Jak zawsze są ślepi. Srebrnokrwisci powrócili. Stało się to, przed czym ja i Cordelia ostrzegaliśmy ich tyle lat temu.

- Ale w takim razie wszystko jest w porządku - powiedziała radośnie Schuyler, w tym momencie nie przejmując się Croataniem. - Wróciłeś, a oni nie mogą niczego z tym zrobić.

Lawrence ze smutkiem spojrział na kominek.

- Niezupełnie. Mam złe wieści.

Uśmiech Schuyler zbladł.

— Charles poinformował mnie, że zamierza cię adoptować.

— Co? Dlaczego? — Charles Force miał... adoptować ją? Ja-ii kim prawem? Co to za głupi dowcip?

— Niestety, sprawy wyglądają w ten sposób, że jest on, jak by[^] nie patrzeć, twoim wujem.

Kiedy jego siostra, Allegra, zerwała] ich więź i odmówiła zostania jego partnerką w tym cyklu, odwrócił się od Van Alenów. Tak naprawdę zrobił wszystko, żeby zniszczyć całą rodzinę. Przede wszystkim twoją matkę. Nie mógł jej wybaczyć, że poślubiła czerwonokrwistego i urodziła ciebie. Zamknął przed nią serce. Zmienił nawet nazwisko.

Schuyler pomyślała o tych wszystkich razach, kiedy znajdowała Charlesa Force'a klęczącego przy łóżku jej matki, i stałym gościem w szpitalu, kiedyś podsłuchiwała, że to on błagał Allegrę o wybaczenie.

— Co nie zmienia faktu, że jest twoim ostatnim żyjącym krewnym, poza mną, rzecz jasna, Ale w tym cyklu nie znajdziesz nawet najmniejszej wzmianki potwierdzającej moje istnienie

— co gorsza, zgodnie z istniejącymi dokumentami, oficjalnie nie żyję. Zmarłem w 1872 roku.

Bogu niech będą dzięki za szwajcarskie banki; nasze konta otwierane są kodami liczbowymi, w przeciwnym razie nie mógłbym mieć do nich dostępu. Charles uznał, że nie powinienem cię wychowywać. Sam zamierza się tym zająć.

Jej wuj. Cordelia wtajemniczyła ją w całą historię, ale Schuyler dalej nie przyjmowała do wiadomości tej informacji dotyczącej poplątanego drzewa rodzinnego.

— Ale nie mogą... To znaczy, on nie... W ogóle go nie znam.

-Nie martw się, nie pozwolę na to. Allegra zrobiłaby wszystko, żeby trzymać go z dala od ciebie - powiedział Lawrence.

- Dlaczego on cię tak nienawidzi? - W niebieskich oczach Schuyler wezbrały łzy. Lawrence wreszcie powrócił, ale złe siły - w tym przypadku Force'owie - znowu knuły, żeby go jej odebrać. Schuyler pomyślała o tym, jak może wyglądać jej życie po adopcji: musiałyby mieszkać z Mimi i Jackiem, jej kuzynostwem. Mimi byłaby po prostu zachwycona, bez wątpienia... A co myślałby Jack?

- Zostaną podzieleni, powstanie ojciec przeciw synowi, a syn przeciwko ojcu - zacytował Pismo Święte Lawrence. - Niestety, zawsze sprawiałem zawód mojemu synowi.

30 WRZEŚNIA 1872

ZAGINIONA NADAL SIĘ NIE ODNALAZŁA

Maggie Stanford od dwóch lat nie daje znaku życia.
Ojciec zmarł ze zgrzyoty, matka obłąkana.

TAJEMNICA OTACZAJĄCA zaginięcie Maggie Stanford, która obecnie ukończyłaby osiemnaście lat, pozostaje nierozwikłana. Dziewczyna zniknęła dwa lata temu, podczas dorocznego Balu Patrycjuszowskiego. Ponieważ nie wpłynęło żądanie okupu ani nie

nią Stanford i z rozmowy wynioskował, iż nadal uważa ona, że ktoś przetrzymuje jej córkę i odmawia jej wypuszczenia.

„Herald” dowiedział się, że Maggie Stanford przed zaginięciem spędziła rok w Azylu p.w. Św. Dymny w Newport.

znaleziono dowodów, że miało miejsce porwanie lub zbrodnia, policja postawiła tezę, iż Maggie uciekła z własnej woli. Szok spowodowany zaginięciem córki sprawił, że pani Dorothea Stanford z Newport zapadła na poważną chorobę nerwową. Pan Stanford zmarł z rozpaczy niedługo po zniknięciu Maggie.

Matka zaginionej doświadcza dziwnych halucynacji, twierdząc, iż sąsiedzi i przyjaciele ukrywają przed nią prawdę o miejscu pobytu córki i nie pozwalają jej wrócić do domu. Wysłanik naszej gazety odwiedził pa-

leczona na nieznaną chorobę. Ponawiamy apel do wszystkich, którzy mogą mieć jakieś informacje w tej sprawie, o ujawnienie ich.

DWADZIEŚCIA CZTERY

Redakcja magazynu „Chic” mieściła się przy Times Square, w modnym, nowoczesnym budynku ze stali i szkła. Koncern Christie-Best, właściciel czasopism „Flash”, „Kiss”, „Splendid”, „Mine” i wielu innych zwięzłe brzmiących, błyszczących tytułów, dysponował kilkoma ekskluzywnymi siedzibami utrzymanymi w podobnym stylu. Spokojny, wyłożony marmurem hol zdobiła fontanna z kropelek w stylu zen. Armia pracowników ochrony w błękitnych uniformach zasiadała przy onyksowych ladach recepcyjnych.

Pewnego popołudnia, po szkole, Bliss cierpliwie czekała w holu, aż ochrona wezwie do wejścia pracownika „Chic”. Agencja Farnsworth Models umówiła ją na spotkanie, żeby magazyn zdecydował, czy chce zatrudnić Bliss do najbliższej sesji zdjęciowej.

Ubrała się odpowiednio na taką okazję: bardzo obcisłe, ciemne i sprane dzinsy Stitched for Civilization, płaskie pantofle Lanvina i luźna biała bluzka. Zgodnie z zaleceniem agencji świeżo oczyszczoną twarz nie nakładała makijażu. Od czasu kampanii Stitched for Civilization Bliss cieszyła się sporym zainteresowaniem, a jej zdjęcia w olśniewającej sukni Diora obiegły świat, kreując ją na nową królową śmietanki towarzyskiej (i detronizując Mimi na międzynarodowych listach najlepiej ubranych, kobiet). Występowała w reklamie obuwia i reklamie sieci Gap poświęcono jej także

pięciostronicowy artykuł w „Kiss”. Magazyn „Chic”

stanowiłby bez wątpienia najcenniejsze z dotychczasowych trofeów Bliss i chociaż traktowała modeling raczej jako zabawę, naprawdę zależało jej na tych właśnie zdjęciach.

— Schuyler Van Alen — usłyszała dziewczynę przy sąsiednim stanowisku.

— Schuyler! Też jesteś umówiona do „Chic”? — Bliss poczuła się przyjemnie zaskoczona jej widokiem.

— No tak — uśmiechnęła się w odpowiedzi Schuyler. Od pogrzebu babki nie przyjmowała żadnych propozycji, które sypały się gęsto po tym, jak na Times Square pojawił się jej billboard dla Stitched for Civilization. Ale Linda Farnsworth zdołała ją przekonać, żeby wybrała się na spotkanie w „Chic”. Schuyler zgodziła się. Choćby po to, żeby oderwać myśli od Charlesa Force’a i jego stresujących planów adopcyjnych.

Schuyler swoim zwyczajem wyglądała jak obszarpaniec, w po darty swetrze, tunice z wysoką talią, rajstopach bez stóp i trampkach Jacka Purcella, z kilkoma sznurami plastikowych koralików na szyi. Warto jednak wspomnieć, że paru redaktorów z działów mody zauważyło ją w holu i zapamiętało jej unikatowy styl, a trzy miesiące później na stronach „Kiss”, „Splendid” i „Flash” pojawiły się stroje dziwnie podobne do tego, co miała na sobie.

- Możecie iść na górę — oznajmił strażnik, przepuszczając Ciebie dziewczyny przez obrotową bramkę.

Biuro „Chic” mieściło się na dziesiątym piętrze, a Schuyler i Bliss czuły się trochę nieswojo w nieskazitelnym wnętrzu. We-wnętrzna poczekalnia ozdobiona powiększonymi do rozmiarów plakatu odbitkami najslawniejszych okładek „Chic” przypominała wirtualny przewodnik po najpopularniejszych pięknościach XX i XXI wieku.

Starsza recepcjonistka zaprosiła je, żeby usiadły na białych krzesłach.

Dziewczęta rozmawiały przyciszonymi głosami o neutralnych rzeczach: szkolnych plotkach, testach, o tym, dlaczego kafeteria nagle zaczęła podawać hot-dogi. Obie starannie omijały temat śmierci Dylana - Schuyler obawiała się zranić Bliss, a Bliss czuła, że nie ma nic do powiedzenia, skoro chłopak ze stawu okazał się Kingsleyem.

- Ostatnio sporo się trzymasz z Kingsleyem — zauważyła Schuyler, kiedy Bliss wspomniała, że zabrał ją na imprezę w modnym nowym klubie Disaster.

- No — Bliss przygryzła kciuk. Siedziała na krawędzi krzesła, zbyt skrupowana, żeby rozsiąść się wygodnie. Na kolanach trzymała czarne portfolio. — Jest fajny.

Bliss nadal nie umiała powiedzieć, kim lub czym był dla niej w przeszłości Kingsley, ale musiała przyznać, że zdecydowanie ubarwił jej teraźniejszość. Najwyraźniej uznał Bliss za swoją dziewczynę i spędzali razem większość wolnego czasu. Kingsle zawsze otrzymywał

najnowsze zaproszenia na najlepsze imprezy, a Bliss przy nim pozbyła się wrażenia, że podpira ściany. Stopniowo stawała się duszą towarzystwa, a jej własna rosnąca sława sprawiała, że czuła się coraz pewniej wśród błyszczących przedstawicieli nowojorskiego życia towarzyskiego. Nawet Mimi kwaśno wspominała, że robi jej się niedobrze na widok wy! tłuszczonego nazwiska Bliss w gazetach.

— A jak tam Oliver? — zainteresowała się Bliss.

— W porządku — odparła krótko Schuyler. Tak naprawdę Oliver trzymał się ostatnio raczej na dystans w porównaniu z tym, ile sympatii okazywał jej wcześniej. Może była to reakcja na zdecydowanie większą rezerwę ze strony Schuyler, a *można* w taki właśnie sposób reagował

na zmieniającą się naturę ich relacji. Przejście od roli najlepszego przyjaciela do zausznika nie było łatwe.

Przerwały rozmowę, kiedy przez szklane drzwi wyszła smukła brunetka. Miała na sobie luźną rustykalną koszulę, ściągniętą paskiem na biodrach, obcisłe dzinsowe szorty, wzorzystej rajstopy i szpilki z ostrymi noskami. W efekcie powstał strój dziwaczny i niekonwencjonalny, jakby ubierała się w pośpiechu, chociaż w rzeczywistości wymagał zapewne długich godzin na pokazach mody i starannego rozważenia każdego elementu] z osobna i wszystkich razem

— dobrania ich równie staranni jak artysta miesza farby.

— Bliss? Schuyler? — zapytała.

— Runi jest Chantal? — odpowiedziała pytaniem Schuyler.

- Nie, jestem Keaton, asystentka Chantal.

- Jak Dianę, czy jak Buster? - zażartowała Schuyler. Keaton zignorowała ją.

— Spotkanie Chantal się trochę przeciągnie, ale mam was wpuścić - powiedziała protekcyjnie.

Ruszyła wyłożonym białym dywanem korytarzem, mijając [przemykające w labiryncie boksów dziewczęta, tak samo jak ona ekscentrycznie eleganckie i na dziesięciocentymetrowych obcasach. Pod ścianami stały ruchome wieszaki z ubraniami, z przyczepionymi karteczkami w rodzaju „STY - OKŁADKA”, „ODRZUCONE”, „DO

ZABRANIA”, „BRANNON SPOTKANIE”, „ZWROTY” oraz „INDEKS”.

W gabinecie Chantal piętrzyły się portfolia modelek, a jedną ze ścian zajmowały setki błyszczących zdjęć i polaroidowych fotografii. Były tam też pierwodruki okładki na następny miesiąc, makiety numeru styczniowego i ujadający w kącie kieszonkowych rozmiarów terier.

— Zaczekajcie tu - zarządziła Keaton. - Nigdzie się nie ruszajcie.

Schuyler i Bliss podporządkowały się, chociaż Bliss chętnie napiłaby się wody, a Schuyler - skorzystała z łazienki. Ale atmosfera w „Chic” była tak onieśmielająca, a Keaton tak poważna, że żadna z nich wołała nie ryzykować.

Po godzinie pojawiła się wreszcie Chantal. Bliss spodziewała się kolejnej wysokiej gidii, ale Chantal okazała się drobną, niską kobietą o ściągniętej twarzy, ostrzyżoną na pazia, w kocich okularach. Miała na sobie luźny podkoszulek ABC i obszerne spodnie, a także wygodne (ale z limitowanej serii, więc kosi marnie drogie) japońskie tenisówki.

— Cześć, dziewczyny - rzuciła energicznie w ich stronę i natychmiast zawołała: - Keaton!

Mój polaroid! Nie mówiłam żebyś go przyniosła?

Siadła przy biurku, pospiesznie kartkując ich portfolia.

— Tak, widziałam to. Dobre. Ooo. Niezłe. To mi się podoba, to do niczego — mruzczała do siebie. Zatrzasnęła obie teczki i poleciała im pozować pod jedną ze ścian gabinetu, żeby mogła zrobić każdej trochę zdjęć swoim aparatem. Bliss była pierwsza.

Wszystko szło jak zwykle, aż do momentu, kiedy Bliss nagle .(zemdląca przy błysku flesza.

— O Boże, ona chyba nie jest anorektyczką? Znaczący, nie szkodzi, wiem, że wszystkie takie jesteście. Ale nie możemy sobie pozwolić na podobne sytuacje podczas sesji — stwierdziła Chantal, bardziej zirytowana niż zaniepokojona skuloną na podłodze Bliss.

— Nie, na pewno nie jest — Schuyler, przyklękła przy Bliss kładąc jej rękę na czole. —

Trochę tu gorąco.

Bliss jęknęła dziwnym głosem, ciężko oddychała. -Nie... Odejdź... Nie...

—Na sesji terenowej będzie goręcej — ponuro oznajmiła Chan-; tal. — Niech Bóg broni, żeby miała mi zwymiotować na dywan.

Schuyler spojrzała na nią ze złością, wściekła na redaktorkę, która bardziej przejmuje się swoim gabinetem niż zdrowiem Bliss.

— Bliss? Bliss? Jak się czujesz? — zapytała, pomagając koleżance się podnieść. Bliss zamrugła i otworzyła oczy.

- Schuyler? — powiedziała ochryple. -Tak.

- Muszę stąd wyjść - poprosiła Bliss.

- Keaton was odprowadzi. Dam znać Lindzie. - Chantal odpierała już dzwoniący telefon.

Widać było, że redaktorka zajęła się innymi sprawami, gdy tylko niebezpieczeństwo zabrudzenia dywanu zostało zażegnane.

Schuyler pomogła Bliss wyjść z gabinetu.

- Spokojnie. Pomału. - Nacisnęła guzik windy i spiorunowała wzrokiem przyglądającą się im z ciekawością pracownicę Christie-Best.

- Zamroczyło mnie - westchnęła Bliss. - Znowu.

- Znowu?

- To się dzieje co chwila. — Bliss opowiedziała Schuyler o dręczących ją koszmarach i nieprzyjemnych przypadkach, kiedy budziła się w miejscu, w którym wcześniej nie była.

- Po prostu się budzę i jestem gdzieś, nie mam pojęcia, gdzie. To chyba część transformacji — wzruszyła bezradnie ramionami.

- No, ze mną też podobnie. Nie tak jak u ciebie, ale parę -tygodni temu mnie zamroczyło.

Doktor Pat powiedziała, że to przypomina hibernację — opowiadała Schuyler, wprowadzając Bliss do windy.

- U mnie trwa krótko i jest czymś w rodzaju odtwarzania pamięci, tyle że niczego sobie potem nie przypominam. — Bliss z ulgą przyjęła wiadomość, że nie tylko ona cierpi na podobną przypadłość.

— Czyli po prostu musimy przeczekać.

— Kingsley mówił, że są sposoby, żeby sobie z tym radzić. Ma mnie nauczyć.

Winda zjechała do holu, a kiedy otworzyły się drzwi, pierwszą osobą, jaką zobaczyła, był Jack Force. W jego kłapie widniała czarna plakietka gościa Christie-Best, z wypisanym „10 p”. j

— O, cześć! — sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego.

— Nie mów... — uśmiechnęła się Bliss. — Jack Force super] modelem! Pokażesz nam „Blue Steel”? — zażartowała, cytując *Zoolandera*.

— Cśśśś - Jack uśmiechnął się, zażenowany. — To nie mój pomysł. Potrzebują facetów do następnej sesji, Chantal przyjaźni się z moją matką, no i, jak widać, wrobiły mnie.

— Właśnie stamtąd wracamy — Bliss podtrzymywała konwersację, bo Schuyler była zbyt zmieszana, żeby się odezwać.

— Czyli do zobaczenia na planie — uśmiechnął się Jack.

— Taa, jasne — odparła Bliss. — Wątpię. Zemdlałam, kiedy mi robiła zdjęcia, a Schuyler nawet nie załapała się na fotki. Raczej nie mamy szans.

Kiedy drzwi windy się zamykały, trudno było powiedzieć, które — Jack czy Schuyler — wygląda na bardziej rozczarowane.

DWADZIEŚCIA PIĘĆ

N a pierwszym piętrze, za świątynią Dendur, między sarkofagami w dziale staroegipskim znajduje się złota bransoletka w kształcie węża, ozdobiona lapis lazuli, która kiedyś należała do Hatszepsut Przynieś mi ją - polecił Lawrence, biorąc do ręki stoper. On i Schuyler stali w jego gabinecie, jednym z wielu pokoi, które Lawrence kazał otworzyć.

Dziadek Schuyler zdążył już zatrudnić ekipy remontowe i architektów, mających przywrócić posiadłości dawną świetność. Odgłosy prowadzonych na zewnątrz prac - wiercenie, kucie, uderzenia

młotków - zakłócały codzienny spokój. Ale wewnątrz gabinetu Lawrence'a było dźwiękoszczelne i ciche jak grobowiec.

Rozpoczął się trzeci dzień treningu. Tydzień temu Lawrence z przerażeniem odkrył, iż Komitet niemal w ogóle nie uczy najmłodszego pokolenia wampirów kontroli i wykorzystywania mocy. Schuyler wspominała mu, że zajmują się najwyżej czytaniem stosów książek i medytacją.

— Nikt nie poddawał was sprawdzianowi *velox* — zapytai, unosząc ze zdumieniem brwi.

Schuyler potrząsnęła głową.

— A co to jest?

— I nie uczył czterech typów uroku? -Nie.

— Czyli nikt z was nie ma najbledszego pojęcia, jak odeprzeć atak srebrnokrwistego — powiedział gniewnie Lawrence.

— No, nie.

Lawrence był mocno poruszony, a zegar tykał — złożony przed Charlesa Force'a wniosek o adopcję krążył biurokratycznymi ścieżkami sądownictwa rodzinnego. Kto mógł przewidzieć, ile mają dla siebie czasu? Dlatego niezwłocznie Schuyler zaczęła pobierać lekcje bycia wampirem.

— Jeśli chcesz znać sposoby na pokonanie srebrnokrwistych i dowiedzieć się, kto jest odpowiedzialny za ich powrót, musisz najpierw nauczyć się wykorzystywać wiedzę i zdolności błękitnokrwistych.

Jej dziadek postanowił rozpocząć od *velox*, czyli sprawdzianu szybkości.

— Sama zwinność nie wystarczy — pouczył wnuczkę. — Musisz być tak szybka, że staniesz się niewykrywalna. Tak szybka, że nie uruchomisz alarmów. Tak szybka, że nikt cię nie zobaczy. Większość czerwonych nazywa podobną umiejętność „niewidzialnością”, ale to nie jest dobra nazwa. Nie istnieje coś takiego jak nie widzialność. Po prostu poruszamy się na tyle szybko; że ludzki wzrok nie jest w stanie nas zarejestrować. Kiedy opanuj jesh sztukę *velox*, będziesz mogła w mgnieniu oka dotrzeć wszędzie, gdzie tylko zechcesz. Prędkość należy do najmocniejszych stron srebrnokrwistych, więc jeśli chcesz przetrwać, musisz nauczyć się być szybsza od nich.

Wyjaśnił jej, jak znaleźć bransoletę w Metropolitan Museum of Art.

Bransoleta w kształcie węża. Złoto i lapis lazuli. Pierwsze piętro. Dział staroegipski. Między sarkofagami.

- Start — Lawrence podniósł stoper. Schuyler zniknęła. Nie minęła nawet sekunda, gdy pojawiła się z powrotem.

— Lepiej - ocenił. Początkowo potrzebowała na podobne zadanie dwóch minut.

Schuyler podała dziadkowi bransoletę. Otworzyła zamek w gablocie tak sprawnie, że instalacja alarmowa nie zdążyła zarejestrować żadnego poruszenia.

Lawrence pozwolił sobie na niewielki uśmiech.

— Teraz odłóż ją na miejsce.

Następnego dnia Schuyler czuła ogrom wysiłku, jakiego wymagała wczorajsza lekcja, ale zdołała to ukryć. Nie miała czasu na okazywanie słabości, chciała robić postępy, nie martwiąc Lawrence'a tym, ile kosztowały ją treningi. Chciała jak najszybciej nauczyć się zasad *animadverto*, „wnikliwego spojrzenia”.

- Wampirzy dar *animadverto* to kolejna rzecz często pojawiająca się w legendach i błędnie rozumiana - uczył ją Lawrence. — Ludzie przypisują nam nieskończoną wiedzę, podczas gdy w rzeczywistości cała sprawa polega na doskonałej pamięci fotograficznej. Jeśli wyćwiczysz tę umiejętność, będziesz podobnie jak ja potrafiła zacytować zdania z każdej książki, jaką kiedykolwiek w życiu przeczytałaś. Biblioteka Aleksandryjska jeśli od *wieków* stracona dla ludzkości, ale na

szczęście już wtedy byłem mołem książkowym

- Lawrence wskazał swoją głowę. - Wszystko znajduje się tutaj.

— Dlaczego powinniśmy tyle wiedzieć? Jak to się może prze! łożyć na pokonanie srebrnokrwistych? - ciekawiła się Schuyler

- Srebrnokrwisci nie zwracają sobie głowy nauką, a ci, którzy nie przywiązują wagi do historii, pozwalają, by się ona' powtórzyła. Naszym celem jest znalezienie śladów i wskazówek dotyczących ich działalności, ukrytych w przeszłości świata. By może ktoś z nas zdoła przeniknąć sekret ich ciągłego istnienia.

Lawrence wskazał trzydziestotomową *Encyclopctedia Brytannica*.

- Utrwal w swojej pamięci każdą stronę. Skataloguj je w głowie. Przy twojej szybkości powinno ci to zająć najwyżej pięć minut, ale daję ci godzinę - wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi

O wyznaczonym czasie Lawrence powrócił, znajdując Schuyler rozciągniętą na kanapie i drzemiącą.

- Skończyłaś?

- Pięćdziesiąt pięć minut temu - uśmiechnęła się.

- Doskonale. Powiedz mi, co piszą na temat egipskich rytuałów pogrzebowych.

Schuyler zamknęła oczy i przemówiła powolnym, miarowym głosem, jakby czytała z książki.

— Rytuały mające przygotować zmarłych do życia wiecznego przeprowadzano na posągach zmarłych, samych mumiach lub posągach bogów w świątyniach. Ważnym elementem ceremonii było rytualne otwarcie ust, tak aby mumia mogła oddychać i jeść. Rytuał, odzwierciedlający ozyriański koncept śmierci i od' rodzenia, zgodnie z którym rozczłonkowane...

— Świetnie - pochwalił ją Lawrence. - Jak na swój wiek, radzisz sobie doskonale. Naprawdę bardzo dobrze. Jestem pod wrażeniem. Myślałem, że z powodu mieszanej krwi twoje zdolności będą słabsze, ale wydają się raczej jeszcze silniejsze.

— Dziadku? — zapytała niepewnie Schuyler, pomagając mu odstawić encyklopedie na właściwą półkę.

-Tak?

— Skoro wampiry mają umiejętność takiego zapamiętywania, to po co nam szkoła? Znaczy, czy naprawdę musimy do niej chodzić?

— Oczywiście - odparł Lawrence.- Tutaj zaledwie uczymy się wiedzy na pamięć. Natomiast szkoła uczy zupełnie czego innego; funkcjonowania w grupie, debaty, koegzystencji z ludźmi.

Nie można pozostawać wyobcowanym. Błękitnokrwisci muszą zrozumieć swoje miejsce w świecie, zanim zaczną go zmieniać. Możesz znać na pamięć encyklopedię, ale wiedza pozbawiona serca i rozwagi... Cóż, nie ma nic bardziej bezużytecznego.

Schuyler zaczęła z niecierpliwością oczekiwać na codzienne popołudniowe sprawdziany.

Najtrudniejszy z nich Lawrence zostawił na koniec tygodnia.

- Słyszałaś o uroku - zapytał - o zdolności kontrolować ludzkich umysłów?

- Tak — skinęła głową Schuyler. — Priscilla Dupont procowała, że to jedna z najbardziej niebezpiecznych umiejętności. I najlepiej, żebyśmy jej nie próbowali, dopóki nie dorośniemy.

- Bzdura. Pewne sprawności należy osiąść wcześniej, żeby umieć uchronić się przed ich działaniem. Ponieważ urok działa także na błękitnokrwistych, a srebrnokrwisci świetnie potrafią się posługiwać tą zgubną techniką.

Schuyler wzdrygnęła się.

— Musisz poznać zasady uroku choćby po to, aby nad nim zapanować. Żeby go rozpoznać i

kontrolować. Zaczniemy zatem od tego, że istnieją cztery typy uroku. — Lawrence usiadł wygodnie. — Pierwszy to po prostu telepatia, umiejętność odczytywania umysłów. Aby odczytać czyjeś myśli, należy się skoncentrować i starać się zrozumieć tę osobę. Mózg każdego przypomina układankę, musisz znaleźć klucz, aby odczytać to, co zostało ukryte.

Anderson, pozwól do nas.

Siwowłosa dzentelmen wszedł do pokoju.

— Słucham?

— Anderson uczył się opierania urokowi. To umiejętność wręcz niezbędna dla dobrego zausznika. Asystent wampira nie może zostać skażony.

Przez następne trzy godziny Schuyler siedziała po jednej stronie stołu, a Anderson po drugiej.

Lawrence unosił kartę, pokazując ją Andersonowi, a Schuyler miała odgadnąć, co się na niej znajduje.

O czym myślał? Koncentrowała się na jego sygnale, ale waliła tylko nieruchomą, gęstą, szarą mgłę. i - Królowa kier? - zapytała Schuyler. Lawrence pokazał jej asa pik.

- Dziesiątka trefl? Trójka karo.

I tak to szło. Szara mgła nie zamierzała ustąpić. Schuyler czuła się zniechęcona. Po sukcesach z *velox i animadverto* była przekonana, że opanowanie uroków okaże się równie proste.

Podziękowali Andersonowi za pomoc i Schuyler została sama z dziadkiem.

- To niełatwe — pocieszył ją Lawrence, tasując karty i chowając je z powrotem do pudełka.

Schuyler przytaknęła.

- Kiedyś miałam wrażenie, że jest dokładnie odwrotnie -przypomniała sobie, jak bez trudu odczytywała myśli Olivera.

- On nie potrafi się chronić. Przypomnij mi o tym, powinien także zostać przeszkolony, jeśli ma wypełniać skutecznie funkcję zausznika.

Schuyler skinęła twierdząco. Wysilek opanowania uroku pochłonął mnóstwo energii, czuła się zmęczona i kręciło jej się w głowie.

- Wszystko w porządku? - zapytał z niepokojem Lawrence. Machnęła ręką. Nigdy nie przyznałaby się do tego przed

dziadkiem, ale czasem po lekcjach z nim była tak zmęczona, że ledwie trzymała się na nogach.

DWADZIEŚCIA SZEŚĆ

Ich spotkanie w Repozytorium zdarzyło się całkowicie przypadkowo. Schuyler wybrała się tam na polecenie Lawrence'a, w celu przeczytania tyłu książek, ile zdoła, i była mile zaskoczona, widząc Jacka siedzącego nad lekturą przy jednym ze stołów.

- O, cześć — uśmiechnął się, przeczesując palcami włosy i wskazując jej wolne miejsce naprzeciwko. - Co czytasz? Proces? — zapytał, pokazując jej okładkę swojej książki.

Skinęła głową. Lekturę powieści Kafki zadano im na lekcji literatury. Był to jeden z kilkunastu tomów, które niosła.

- Głupie romansidło, nie uważasz? - zapytał, przerzucając pożółkłe kartki swojego egzemplarza, jak zauważyła Schuyler — zniszczonego i z pozaginanymi rogami.

- Romansidło? — skrzywiła się. — To nie jest książka o tyranii sprawiedliwości? Absurdach biurokracji? Nie dowiadujemy się przecież nawet, o co bohater jest oskarżony.

- Nie zgadzam się. A że Kafka nie chciał, żeby ta książka została opublikowana, skąd mamy wiedzieć, o czym jest naprawdę? - zapytał odrobinę zaczepnie Jack. — Czytałem, że opisuje jego nieudane zaloty i zaręczyny z Felicją Bauer. Co by znaczyło, że w ogóle nie jest o prawie, tylko o człowieku po zawodzie miłosnym...

- Rany, Jack... - westchnęła Schuyler. Nie była pewna, czy jej nie nabiera, ale podobało jej się takie przekomarzanie. Do tej pory nie wiedziała, czy będą mogli odbudować rodzącą się między nimi przyjaźń, czy jakkolwiek należało nazwać ich relacje] które zostały tak gwałtownie przerwane w zeszłym semestrze. Ale wszystko wskazywało na to, że Jack nie ma nic przeciwko temu, żeby spróbować raz jeszcze. Co o niczym nie świadczyło. Nadal pozostawał bratem Mimi Force.

- Może w mojej książce jest coś więcej — powiedział Jack, podsuwając Schuyler swój egzemplarz. — Masz i daj mi swoją. I tak jest w lepszym stanie.

Schuyler podniosła książkę, wdychając jej pleśniowy zapach. Znalazła stronę, na której przerwała, i kontynuowała lekturę.

Stare, nudne miejsce, myślała Mimi, podążając za Kingsleyem schodami w dół do Repozytorium Historycznego, kwatery głównej Komitetu i największej biblioteki zgromadzenia, mieszczącej się pod superekskluzywnym nocnym klubem Błock 122, dostępnym wyłącznie dla błękitnokrwistych i ich gości.

Zaprzyjaźniła się z Kingsleyem, równie złośliwym jak ona. Incydent z chłopakiem na tarasie zapoczątkował przymierze tych dwojga. Kingsley reprezentował to, co Mimi najbardziej podziwiała w wampirach - pragnienie korzystania z mocy. Po cichu się z nim zgadzała: Komitet był o wiele za ostrożny, a sztywne zasady ją irytowały. Dlaczego nie wolno im używać mocy do kontrolowania ludzi? Po diabła komu odczytywanie umysłów, skoro nie wolno wykorzystać tego w celu zdobycia przewagi lub korzyści materialnych? Dlaczego nie wolno używać więcej niż jednego familianta na raz? Dlaczego nie wolno chwalić się swoją wyższością i trzeba wtapiać się w świat śmiertelników?

Kingsley zaprosił ją do Repozytorium, żeby pokazać jej coś fajnego, a teraz udał się na poszukiwanie pomiędzy półki.

Rozejrzała się po przestronnej, staroświeckiej sali. Kilkunastu żałosnych ludzi, dawnych zauszników, niemających już powiązań z wampirzymi rodami, pracowało pilnie przy swoich stanowiskach.

Mimi zajęła miejsce przy jednym z wielkich stołów w czyteln ni na środku sali, niecierpliwie bębniąc palcami po blacie.

Za rządów książek dobiegła do jej uszu cicha rozmowa.

— Nie ma tu ani słowa o miłości, Jack — mówiła dziewczyna. - Może to jednak absurdalna teoria?

-Jesteś pewna? Przyjrzyj się dokładniej, może nie dość wnikliwie czytasz — odparł ktoś, Mimi zgrzytnęła zębami. To znowu ta mysz, Van Alen, rozmawiała z jej bratem. Wstała i odchrząknęła, spoglądając na nich znad niskiej półki z książkami.

Jack i Schuyler natychmiast odsunęli się od siebie.

—Ja, tego, do zobaczenia. — Schuyler zebrała książki i przeniosła się do innego stołu, nie zauważając, że nadal ma egzemplarz Jacka.

- Cześć! — Jack odwrócił się na krześle i uśmiechnął do siostry. - Nie wiedziałem, że w ogóle wiesz, jak tu trafić.

— Nie doceniasz mnie, Benjaminie Force. Pragnę cię poinformować, że uwielbiam książki — prychnęła Mimi.

Jack uśmiechnął się. *Kłameczucha* - wysłał. *Sam jesteś kłameczuch* — odpowiedziała. Machnął przepraszająco ręką. *Wybacz-Jasne*. — Twarz Mimi zmiękła. *Lecę. Do zobaczenia w domu*.

Cześć.

Mimi patrzyła za nim, ale nawet jego życzliwe myśli odcisnięte w jej umyśle nie mogły jej

uspokoić. Dlaczego Schuyler nadal się liczyła? W tej dziewczynie było coś, co wytrącało jej brata z równowagi, czuła to. Jednocześnie mogła wyczuć pragnienie Jacka, by przypieczętować więź z siostrą, ale było to niemal tak, jakby zmuszał się do zakochania w niej wbrew swojej woli. Dlaczego? Nigdy wcześniej nic podobnego się nie zdarzyło. W

każdym cyklu odnawiali swoją więź bez żadnych komplikacji.

Na moment nadludzka, niewzruszona pewność siebie opuściła Mimi. Wyglądała jak zagubiona i przestraszona dziewczynka. Co będzie, jeśli ją zostawi? Co będzie, jeśli w odpowiednim czasie nie odnowi ich więzi? Co się z nimi stanie?

Mimi wzdrygnęła się na myśl o Allegrze Van Alen, leżącej! w szpitalnym łóżku, praktycznie martwej dla świata.

Nie pozwoli, żeby coś takiego się im przytrafiło.

- Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - powiedział Kingsley, kładąc przed Mimi opasłą książkę.

Mimi zaprezentowała najbardziej rozbijający ze swoich uśmiechów.

- Chciałabym. — Popatrzyła na oprawny w skórę wolumin. "Co to?"

- Coś, czego nie powinniśmy mieć w ręku. Stary podręcznik zakazanych zaklęć. Słyszałaś o tych całych Croatanach, nie? Srebrnokrwistych? - zapytał Kingsley.

- No - odparła ostrożnie Mimi. - Ale oni podobno nie istnieją.

- Jasne - wyszczerzył zęby Kingsley. - Tylko dlatego, że nie są już tacy posłuszni.

- Nie rozumiem?

- Srebrnokrwisci byli kiedyś niewolnikami błękitnokrwistych. Kiedy skazano nas na nieśmiertelne życie na Ziemi, poplecznicy Lucyfera zostali na pewien czas zmuszeni do posłuszeństwa przez Michała i Gabriełę. Mieliśmy nad nimi władzę, ale zbuntowali się i przestali wypełniać nasze rozkazy. Polowali na nas, my polowaliśmy na nich, wojna ciągnęła się przez wieki. Teraz podobno zniknęli. Ale jest sposób, żeby ich wezwać.

- Jak to? — Mimi pomyślała, że Kingsley zdecydowanie zbyt lekkomyślnie do tego podchodzi. Srebrnokrwisci to nie był temat do żartów. Większość błękitnokrwistych wołała nawet o nich nie rozmawiać.

- No wiesz, wezwać któregoś z ciemności. Kazać mu zrobić, co tylko zechcesz - wyjaśnił Kingsley.

- Chyba mnie to nie kręci - wzdrygnęła się Mimi. - Za po ważny numer.

- Daj spokój, to może być świetna zabawa — ożywił się Kingsley. Dla niego słowo „zabawa”

było synonimem niebezpiecznego pomysłu. Zdaniem Kingsleya użycie mrocznego i niebezpiecznego starego zaklęcia jest porównywalne z prowadzeniem ferrari z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Niekoniecznie należy uznać to za najmądrzejszy pomysł świata, ale z pewnością za coś, czym możesz się potem chwalić.

- Dzięki. - Mimi potrząsnęła głową. Ale nawet jeśli nie była; zainteresowana propozycją Kingsleya, być może książka przyda się w innym celu.

Materia acerbus. Mroczna wiedza. Otworzyła na pierwszej stronie i zaczęła czytać.

DWADZIEŚCIA SIEDEM

Allegra Van Alen nie spała. Siedziała na łóżku, a delikatne jasne włosy spływały na jej ramiona i szpitalną koszulę.

Intensywnie zielone oczy były szeroko otwarte. Przemówiła niskim, przejmującym głosem.

— Strzeż się, Schuyler. Strzeż się.

Schuyler obudziła się gwałtownie. Znajdowała się w szpitalnym pokoju matki, w Columbia Presbyterian, ale nie wiedziała, skąd się tu wzięła. Było po północy, a ostatnie co pamiętała, to

senność, jaka ją ogarniała nad książką. Nie przypominała sobie, żeby wychodziła z sypialni, wsiadała do autobusu przy Sto Sześćdziesiątej Ósmej i przyjeżdżała do szpitala.

Musiała lunatykować - albo miała zamroczenie, takie jak opisywała Bliss.

Popatrzyła na matkę. Allegra spała pod przykryciem, milcząca i spokojna. Czy jej słowa były tylko snem? Ale wydawały

się tak prawdziwe. Matka odzyskała świadomość, odezwała się do niej. Kazała jej się strzec.

Przed czym?

- Mamo. - Schuyler pogładziła chłodny policzek Allegrę. Ból z powodu jej utraty nigdy do końca nie minął. Schuyler pocałowała matkę w czoło i wyszła z pokoju, gasząc światła.

Następnego wieczora Lawrence zaprosił Schuyler na obiad do swojego starego klubu. Klub Podróżników, elitarna organizacja założona przez błękitnokrwistych na początku osiemnastego wieku, stanowił miejsce spotkań wszelkiej maści obieżyświatów, chcących dzielić się swoimi badaniami i teoriami dotyczącym naturalnych i geograficznych zjawisk.

Mieścił się w znakomicie wyposażonym budynku przy Piątej Alei, naprzeciwko Knickerbocker Club i zaledwie kilka minut piechotą od Metropolitan Museum. Oba te stowarzyszenia, w założeniu ograniczające członkostwo do błękitnokrwistych, w ostatnich latach rozluźniły nieco zasady, przyjmując w poczet swoich członków także ludzi.

Ale Klub Podróżników pozostawał wciąż twierdzą wampirów, choćby dlatego, że ludzie bardziej zainteresowani byli sprawami związanymi ze społecznościami niż ze środowiskiem, a przynależność do nudnego i starego kręgu Podróżników nie wiązała się ze szczególnym prestiżem.

Jadalnię wypełniali przedstawiciele znanych rodów: byli tu Carondoletowie, a także Lorillandowie i Seligmanowie, którzy podobnie jak rodzina Van Alenów, mogli szczycić się raczej bogatą historią niż obecnymi fortunami.

Lawrence został powitany przez *maître d'hôtel*. Zanim on i Schuyler zajęli miejsca, przeszedł przez salę, wymieniając uściski dłoni i zatrzymując się na pogawędki.

Menu w Klubie Podróżników nie zmieniło się od dziewiętnastego wieku. Sole meunière. Stek Diana. Pieczony królik.

Schuyler zamówiła solę, Lawrence wybrał stek.

Jedzenie przyniesiono pod srebrnymi pokrywami.

- *Voilà* - powiedział kelner, odkrywając obie jednocześnie. — *Bon appétit*.

Zajęta rybą, Schuyler opowiedziała Lawrence'owi, co przydarzyło jej się ostatniej nocy.

- Zamroczyło mnie... Obudziłam się w szpitalu, w pokoju mamy - przyznała się.

- Zamroczyło? Nie rozumiem? - Lawrence uniósł brwi, przeżuwając kęs steku.

- No *wiesz*, kiedy ześlizgujesz się w czasie, a potem budzisz się gdzieś i nie wiesz, jak się tam znalazłeś.

Lawrence odłożył widelec.

- Wiem, na czym polegają retrospekcje. Ale wampiry zawsze zachowują kontrolę nad powracającymi wspomnieniami.

- Naprawdę? - zdziwiła się Schuyler.

- To, co opisałaś, jest bardzo nietypowe - skinął głową Lawrence.

- Nietypowe? — Schuyler urwała. Ale przecież z Bliss działo się to przez cały czas, więc nie mogło być takie nietypowe. Przekazała dziadkowi to, czego dowiedziała się od Bliss.

Lawrence rozważył nowe informacje.

- Być może w tym pokoleniu wampirów pojawił się jakiś nowy czynnik, który powoduje podobne zjawiska. Nie wydaje mi się, żeby wymagał nadmiernej uwagi, ale powiedz mi, jeśli

jeszcze kiedyś zdarzy się coś takiego. - Westchnął i odłożył widelec. - Teraz ja muszę ci coś powiedzieć.

Schuyler nastawiła się psychicznie na to, czego obawiała się od dnia powrotu dziadka.

- Sędzia przyjął do rozpatrzenia wnioski Charlesa o adopcję ciebie. Rozprawa ma się odbyć za miesiąc.

KARTA PACJENTA
Dom dla obłąkanych
pod wezwaniem Św. Dympny

Nazwisko: Margaret Stanford

Wiek: 16

Data przyjęcia: 5 kwietnia 1869

OBJAWY:

Przyjęta pacjentka wykazuje
najprawdopodobniej objawy obłąkania.

STAN DUCHA:

Ekscytacja religijna

Romansowość

STAN FIZYCZNY:

Samookaleczenia

Wypadek lub zranienie

Epilepsja

Skłonności samobójcze. Pacjentka
znaleziona z pociętymi nadgarstkami
przez członka rodziny na tydzień przed
przyjęciem.

Majaczenia i urojenia

HISTORIA RODZINNA:

Brak przypadków demencji lub hysterii u pozostałych członków rodziny.

Jedynе dziecko żyjących rodziców.

PRZEBIEG CHOROBY:

Ataki epilepsji. Pacjentka skarży się na bóle głowy i koszmary. Zamroczenia. Pacjentka nie ma świadomości niektórych swoich działań. Romans z nieodpowiednim młodym człowiekiem najbardziej prawdopodobną przyczyną hysterii. Jednakże przyjęta pacjentka nie jest ciężarna.

STAN OBECNY:

Ustęp z przeprowadzonego zaraz po przyjęciu wywiadu z pacjentką:

„To się wydaje takie prawdziwe. Nie mogę przed tym uciec. Budzę się i czuję to w kościach. Przychodzi, odzywa się do mnie w snach. Zna moje imię. Mówi, że jest częścią mnie. To wszystko, co pamiętam. Proszę mi pomóc, doktorze. Muszę uciec. Muszę przed tym uciec”.

DWADZIEŚCIA OSIEM

Inspiracją dla sesji zdjęciowej miała być wystawa „Talitha Getty w Marakeszu”. Mnóstwo cieniutkich, płóciennych dzelab, zdobione klejnotami kaftany, od czasu do czasu turban — a, i możliwie najbardziej skąpe bikini. Jednak odpowiedzialny za organizację sesji asystent w agencji jakimś cudem coś pokręcił i zarezerwował im miejsce na wyspie Montserrat, więc Karaiby musiały udawać afrykańską oazę.

Nikt nie miał nic przeciwko temu — wszyscy uwielbiali plażowanie.

Bliss odebrała telefon z Farnsworth Models w czwartek, a w piątek znalazła się w samolocie, lądując na plaży o zachodzie słońca. Została zaproszona także Schuyler, ponieważ początkowo wybrane przez „Chic” modelki — dwie rosyjskie piękności — odkryły, że ich wizy wygasły i nie będą mogły powrócić do swojej ojczyzny.

Dyrektorka do spraw mody w „Chic”, Patrice Wilcox, była surową, poważną kobietą, nawet w tropikalnym upale ubraną od stóp do głów w czerń. Powitała modeli i ekipę z uśmiechem, tak

cienkim, jak jej figura.

— To nie są wakacje, moi drodzy. To jest praca. Oczekuje, że wszyscy pojawią się na planie jutro o ósmej rano.

Ale mimo złowieszczych ostrzeżeń Patrice nie dało się ukryci że ta sesja była rodzajem wakacji. Kiedy rozwodziła się nad zaletami punktualności, Jonas Jones, słynny i niepoprawny błękitnokrwisty fotograf, mrugnął za jej plecami.

— Margarity w barze za pięć minut - powiedział niemal bezgłośnie.

Przed północą cała ekipa, poza dyrektorką do spraw mody, za to z uwzględnieniem dwóch asystentów Jonasa (uroczych facetów z Rhode Island School of Design), stadka modeli i modelek (wszyscy poniżej osiemnastki) oraz Schuyler i Bliss, siedziała w barze na plaży, obalając kolejne drinki.

Bliss i Schuyler zrobiły na obecnych czerwonokrwistych wrażenie swoją umiejętnością przepicia wszystkich przy stole. Wampirze geny, rzecz jasna.

Schuyler popatrzyła na ciemną plażę, podziwiając lśniący nad horyzontem księżyc w pełni i wsłuchując się w łagodny szum przyboju. Było cudownie. Przyjechała wcześniej, na połę oczekując, że Jack po nią wyjdzie. Ale nie zauważyła go wśród modeli i czuła się trochę rozczarowana.

Kiedy pogrążała się w żalu, że go tu nie ma, ktoś delikatnie dotknął jej łokcia. Jack stał obok.

— Co pijesz? Mam nadzieję, że nic bardzo dziwnego? - zapytał, jakby dopiero wczoraj rozmawiali w Repozytorium.

- Jakaś paskudną mieszankę. Chyba rum kokosowy z sokiem ananasowym, ale to nie pifia colada. Chcesz spróbować? - zaproponowała, podając mu kieliszek.

Jack pociągnął łyk i skrzywił się. -Ohyda.

- Mówiłam.

- Poproszę jeden - zwrócił się do barmana.

- Odważny jesteś - zsalutowała mu swoim kieliszkiem. Jack zamieszał drinka.

- Co tam u Lawrence'a?

- W porządku. - Schuyler zastanawiała się, czy Jack wie o tym, że Charles Force zamierza ją adoptować. Nie chciała

I poruszać tak drażliwego tematu.

- Dalej uważasz, że powrócili? - zapytał Jack, mając na myśli srebrnokrwistych.

- Muszę — odparła po prostu Schuyler. - To jedyne wytłumaczenie tego, co się stało z Dylanem... i Cordelią.

Jack potrząsnął kieliszkiem, aż zagrzechotały kostki lodu.

- Komitet w to nie wierzy. Kryzys w Rzymie został przezwyciężony, a Lucyfer zniszczony przez samego Michała. Nie jest możliwe, żeby wrócili.

- Wiem - spojrzała na swój niedopity drink. - Ale uważam, że Komitet się myli.

Jack chciał coś odpowiedzieć, ale przerwał im ochrypy głos z drugiej strony baru, gdzie zabawa trwała w najlepsze.

- Schuyler! Jack! Chodźcie, potrzebne są jeszcze dwa wiosła dla wodza Wikingów!

Następnego dnia cała ekipa powędrowała do ukrytego rezerwatu w oddalonej części wyspy.

Obsługa rozstawiła namioty, aby osłonić modeli przed upałem. Bliss wyłoniła się ze swojej przebieralni w obszytym muszelkami pasiastym bikini, przejrzystych jedwabnym kaftanie i ozdobionych klejnotami sandałkach.

— Gdzie są papugi? — zapytał Jonas zza aparatu.

Bliss miała trzymać na ramionach dwie wielkie, jaskrawo upierzone ary, mające kojarzyć się z

papugami należącymi do Talithy.

Treser przyniósł ptaki, które jednak wcale nie zamierzały słuchać jego poleceń. Jeden przycupnął na głowie Bliss, podczas gdy drugi latał wokół, skrzecząc głośno.

Treserowi udało się w końcu uwolnić Bliss ze szponów papugi, a Jonas poszedł na kompromis, postanawiając sfotografować Bliss pod drzewem, obok ar siedzących na gałęziach.

— Dzięki Bogu, że już po wszystkim — narzekła Bliss, ostrożnie przedzierając się przez wysoką trawę, aby schronić się w namiocie.

Jako następna została wezwana Schuyler. Miała na sobie: czarny kostium kąpielowy Gucciego, składający się z dwóch pasków materiału z przodu, zbiegających się w małe V na dole. Stylista przykleił materiał do jej piersi, ale nadal czuła się praktycznie naga.

— Chodzi mi o coś w stylu *Błękitnej laguny* — wyjaśnił Jonas - Ma być gorąco. Bardzo. I erotycznie. Ale niewinnie.

Schuyler wślizgnęła się do zimnej wody jeziora poniżej wodospadu.

— Gotowa? — zapytał Jack Force z drugiej strony jeziora. Skinęła głową. Wiedziała, że będzie mu partnerować w tej sesji, ale widok opalonego, umięśnionego ciała Jacka, ubranego w nisko wycięte szorty Vilbrequin sprawił, że zaczęła się bumienić.

Szczególnie kiedy Jonas zadysponował, żeby stanęli bliżej siebie.

— Nie słyszeliście? To *Błękitna laguna!* Macie bzika na swoim punkcie! Spróbujcie to pokazać! Jack, połóż jej rękę na biodrze. Schuyler, wygnij plecy, przysuń się do niego.

Właśnie. O to chodziło.

— Wybacz. - Jack przyciągnął Schuyler bliżej.

— Cóż, jak praca to praca - odparła Schuyler, starając się nie okazać, jak bardzo porusza ją jego obecność.

Strzeliła migawka.

— Następne! - krzyknął Jonas.

Tego wieczora, kiedy Jonas zaprosił całą ekipę na obiad do restauracji na plaży, Bliss stwierdziła, że siedzi obok Morgana, wyjątkowo fajnego asystenta fotografa. Przez cały weekend poświęcał jej bardzo dużo uwagi. Był na drugim roku w Rhode Island School of Design, miał dziewiętnaście lat i znał całe mnóstwo kiepskich żartów, z których Bliss śmiała się nawet wbrew samej sobie. Nalewał jej kolejne drinki, nie zdając sobie sprawy z tego, że dziewczyna jest odporna na działanie alkoholu.

Bliss rozparła się na wiklinowym fotelu, kładąc chłopakowi stopy na kolanach. Po zimowych miesiącach w Nowym Jorku

czuła się tutaj wolna, z chłodną oceaniczną bryzą rozwiewając! jej włosy, bez strofujących ją rodziców, a co jeszcze lepsze - bez koszmarów od samego przyjazdu.

- Przejdziemy się? — zaproponował.

Bliss skinęła głową. „Spacer po plaży” brzmiał dość podejrzanie. Czy nie było to bardziej eleganckie pytanie w rodzaju, „Masz ochotę na szybki numer?”?

Szli plażą, trzymając się za ręce, Bliss brodziła w nadpływających falach, ciesząc się chłodnym dotykiem wody na skórze.

Światła hotelu gasły w oddali.

— Morgan to dziewczęce imię — zakpiła.

- Serio? - przytulił ją i pociągnął na ziemię.

Bliss udawała, że się opiera, pozwalając, żeby przytrzymał jej rękę.

— Nie uciekniesz mi - oznajmił. -Nie?

Chłopak zaczął ją całować, a Bliss odpowiedziała na pocałunek. Pomyślała, że to zupełnie inaczej niż całowanie Dylana albo Kingsleya. To był człowiek. Czerwonokrwisty. Czowała jego serce uderzające w klatkę piersiową, jego dojrzały, ludzki zapach. I nagle zrozumiała, co zamierza zaraz zrobić.

Ściągnął koszulkę i odrzucił ją na bok. Bliss pomogła mu rozpiąć swoją bluzkę. Jej całe ciało zamrowiało, kiedy wsunął dłoń pod staniczek od bikini i rozwiązał troczki. Był szybki... Ale w sumie ona też.

Przetoczyła się z nim, dosiadając go, z kolanami przyciśniętymi do piasku po obu stronach jego bioder.

- Nieźle - powiedział dżentelmeńsko, podziwiając półnągą Bliss, wyprostowaną w świetle księżyca.

- Myślisz? - zapytała zalotnie. Pochyliła się, całując jego pierś i przesuując się w górę, do szyi, do ciepłego punktu poniżej podbródka. Pieściła go powoli językiem.

Westchnął i przytrzymał jej głowę, przyciskając ją mocniej do siebie.

I wtedy wbiła w niego kły i zaczęła się pożywiać...

DWADZIEŚCIA DZIEWIĘĆ

Komitety utrzymywały, że aby poznać swoje przeszłe życia, wystarczy usiąść na krześle, zamknąć oczy i poddać się medytacji. Uwolniony umysł przemierza wówczas nieskończone korytarze pamięci, studiując katalog tysięcy wcieleń.

W mrocznym zaciszu sypialni Mimi umościła się na wygodnej sofie, założyła futrzaną maseczkę na oczy i zaczęła się koncentrować.

Wizja była całkowicie wyraźna. Każde wcielenie z jej przeszłości pokazywało tę samą historię: ona i Jack razem, szczęśliwi, połączeni więzią, zakochani. Przeanalizowała najnowszą przeszłość: Plymouth i Newport, ale żadne miejsce ani czas nie dostarczały jej wskazówek.

Mimo wszystkich wysiłków nie potrafiła znaleźć przyczyny jego wycofania, wątpliwości, wahania. Czy może potrafiła?

Nagle przypomniała sobie wyraz twarzy Jacka na Balu Czterystu. Wyraz całkowitego i absolutnego zachwytu. Wtedy próbowała to przypisać zwyczajnemu zauroczeniu. Może nawet po prostu zwykłej ciekawości. Była głupia. Pozwoliła, żeby zaślepiła ją własna duma.

Za długo wypierała się tego przed samą sobą.

Odpowiedź przez cały czas była na wyciągnięcie ręki.

Schuyler Van Alen.

Ten mały mieszaniec. Albo też raczej błękitnokrwista bez przeszłości. Nowa dusza. To była anomalia w ich wszechświecie. To był ten nieznaną czynnik, który wytrącał Jacka z równowagi,!

Jak mogła się wcześniej nie zorientować?

Schuyler nigdy wcześniej nie istniała w ich świecie. Tylko teraz... w tym cyklu. I tylko teraz, właśnie w tym cyklu, więź między Mimi a Jackiem zaczynała słabnąć.

Ciągnęło go do Schuyler, tak jak dawniej ciągnęło go do Gabrieli. Mimi z wściekłością zerwała maseczkę i cisnęła ją przez pokój, prawie trafiając Pookie, suczkę rasy chow-chow, która zaskomlała z niezadowoleniem.

Gabriela. To zawsze była Gabriela. Nawet przed Upadkiem. Gabriela Cnotliwa, Gabriela Wysłanniczka, Archanioł w Bieli, ta, która dawała nadzieję ocalenia. Mimi i Jack byli Aniołami mi Ciemności, przeznaczono im nieść mrok i sprawiedliwość, by Ludzie pamiętali o własnej śmiertelności. A jednak Jacka, Abbadona, od początku ciągnęło ku Światłu. Zawsze kusila go potęga Bieli.

A to o mnie mówią, że jestem snobką, pomyślała Mimi.

Przez wieki Mimi wiedziała, że Jack nie jest zadowolony ze swojego miejsca, że nie odpowiada mu jego tytuł i pozycja— Anioła Zniszczenia. Nigdy nie uchyliłby się od wypełnienia obowiązków, znała swojego bliźniaka aż za dobrze. Chciałaby tylko, żeby umiał

zaakceptować świat takim, jaki jest, zamiast pragnąć czegoś więcej. Przez to właśnie wpadli w kłopoty. Podążyli za Lucyferem, ponieważ Jack miał nadzieję, że jeśli zdoła zabłysnąć jak słońce, które Gabriela tak kochała, zdobędzie jej uczucie. Ale Gabriela odrzuciła go. Nawet kiedy porzuciła Michała na Ziemi, wybrała człowieka zamiast Abbadona z Mroku.

Bliźniaki Force nie miały przed sobą tajemnic. Mimi musiała nauczyć się żyć ze świadomością, że twarz Gabrieli od tysiącleci pojawia się w snach Jacka. Ale teraz przeniósł swoje uczucia z matki na córkę, a tego Mimi nie mogła zaakceptować.

Wiedziała już, co musi zrobić. Aby ocalić ich więź, aby ocalić ich samych.

Musiała zniszczyć Schuyler Van Alen.

TRZYDZIEŚCI

Uporczywe walenie w drzwi zatrzęsło wiklinowymi ścianami położonego przy plaży hotelu.

Dźwięk wdarł się

w ciszę poranka — dochodziła piąta rano.

- Schuyler! Schuyler! Obudź się!

Schuyler zwlokła się z łóżka i uchyliła drzwi. Zobaczyła na korytarzu spanikowaną Bliss, ubraną w ten sam strój, który miała na sobie poprzedniego wieczora, z włosami w nieładzie.

Schuyler odpięła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Co jest?

- Boże, Schuyler, musisz mi pomóc, wpakowałam się, kurwa, jest źle, on chyba nie żyje -

Bliss nie mogła powstrzymać dygotania.

Schuyler natychmiast oprzytomniała.

- Nie żyje? Kto?

- Morgan... asystent... Ja... chodź ze mną.

Kiedy biegły plażą, Bliss opowiedziała Schuyler, co się stało.

— Zrobiłam to. *Caeremonia oscufor*. Święty pocałunek. Nie wiem czemu, po prostu miałam ochotę. Chciałam mieć to już za sobą, wiesz? Byłam chyba jedyną osobą w klasie, która jeszcze tego nie robiła. I było super, ekstra, jemu się naprawdę podobało... Ale potem, nie wiem, chyba przegięłam. Kurwa, Schuyler, jeśli Komitet się dowie, to siedzę po uszy w gównie.

Bliss zaprowadziła Schuyler do osłoniętego miejsca pod palmami, za wydumą.

Chłopak leżał na wznak na piasku, a z dwóch małych dziurek na jego szyi nadal sączyła się krew.

— Nie oddycha — powiedziała nerwowo Bliss. — Naprawdę-; przegięłam.

Schuyler przyklęka i wzięła go za rękę.

— Nie czuję pulsu.

— Boże, oni mnie chyba zabijają! Nigdy żaden człowiek nie umarł od *caerimoaial* Nigdy!

— Cicho, daj mi pomyśleć... Jack. Musimy ściągnąć Jacka — zdecydowała Schuyler.

— Jacka? Dlaczego?

— Bo on już to robił. Może Morgan żyje. Może tak się dzieje z czerwono krwistymi po rytuale. Może Jack wie coś, czego my nie wiemy.

Jack otworzył drzwi, kompletnie ubrany i całkowicie rozbudzony, zanim Bliss skończyła pukać. Schuyler zdumiała jego prędkość. Założyłaby się, że z marszu przeszedłby sprawdzian *veo lx*. Ona

sama nie pomyślała o takim wykorzystaniu wampirzej szybkości - nadal miała na sobie piżamę. Jack wysłuchał relacji Bliss i w kilka sekund znalazł się przy chłopaku.

Przyklęknął na piasku. Przyciskając dwa palce do jego szyi, sprawdził puls Morgana.

- Jest... Bardzo słaby, ale wyczuwalny.

- Dzięki Bogu! - Bliss z ulgą opadła na ziemię.

- Więc nic mu nie będzie? — dopytywała Schuyler.

- Nic mu nie będzie - potwierdził Jack. - Może nie pamiętać, co się działo, ale kiedy się obudzi, będzie cię szukał. Będzie go ciągnęło do ciebie, bo nazaczyłaś go jako swoją własność.

- Jak to?

- Święty pocałunek tworzy więź. To znaczy, że delikwent jest twój. Żaden inny wampir nie może go zabrać. Jego krew zmieszała się z twoją i okazałaby się trucizną dla innego błękitnokrwistego.

Bliss i Schuyler rozważyły nową informację.

- Czyli teraz tak jakby jest moim chłopakiem? - zapytała Bliss, niepewna, czy rzeczywiście tego chce.

- Jeśli zechcesz - przytaknął Jack. — Wiesz, to nie jest byle co. To coś znaczy. Dla obu stron.

Bliss zarumieniła się. -Ja...

- W porządku. - Jack podniósł chłopaka. - Zanieśmy go na razie do pokoju. Rano pewnie pomyśli, że ma wyjątkowego kaca.

- Dzięki, Jack - odetchnęła Schuyler, kiedy Morgan i Bliss zostali bezpiecznie zdeponowani w hotelowych pokojach. Położyła rękę na jego przedramieniu, żeby pokazać, jak sobie ceni tę pomoc. Jack uśmiechnął się, zielone oczy zaśniły w przyćmionym *świe* tle. Schuyler pomyślała, że nie zna nikogo, kto zachowałby *t a m* spokój w krytycznej sytuacji. *Kojący* wpływ Jacka podziałał uspokajająco na Bliss, a kiedy zajmował się Morganem, postępował

jak urodzony przywódca. Dotknął dłoni Schuyler.

— Zawsze do usług. I powiedz Bliss, żeby się nie przejmowała, j

Wszyscy popełniamy błędy. Jego skóra była ciepła i *gładka* w dotyku, Schuyler pomyślała, że mogliby już na zawsze tak zostać w drzwiach jej pokoju. Ale Jack pierwszy cofnął rękę, więc niechętnie zabrała swoją.

— No to... dobranoc - mruknął Jack, wskazując przeświecają-ce przez chmury promienie wschodzącego słońca. *Poszedł w stro* nę swojego pokoju, miękła? stąpając po drewnianej *podłodze*.

— Dobranoc — szepnęła Schuyler. — Miłych snów?

— Da się zrobić — odparł Jack.

Schuyler roześmiała się cicho do siebie, otwierając drzwi pokoju. Nie chciała, żeby Jack usłyszał jej słowa, ale przed superczułym słuchem wampirów nic nie mogło się ukryć.

Później, tego samego ranka, Schuyler i Bliss jechały razem taksówką na lotnisko. Miały wylatywać o ósmej, a przez całe nocne zamieszanie spały tylko dwie godziny.

- Wszystko w porządku? — spytała Schuyler.

- Boże, muszę zapalić. - Bliss grzebała w torebce. Wyciągnęła papierosa i zapaliła go, otwierając okno. — Chcesz?

Schuyler potrząsnęła głową.

- Sama nie wiem - westchnęła Bliss. - Trochę żałuję, że nie poczekałam. Nie wiem, po prostu miałam na to ochotę. Wiesz? i Bo Mimi cały czas o tym gada, wszystkie dziewczyny stale prze-I chwalają się familiantami. Czuję się jak idiotka, nie wiem, jak dziewczica, czy coś.

- I jak było? ~ zapytała Schuyler.

- Szczerze? -No.

- Niesamowicie. Zupełnie, jakbyś pochłaniała jego duszę. Mogłam smakować jego... istnienie.
A potem czułam się ekstra. Jak na prochach. Odłot. Nie dziwię się, że inni bez przerwy to robią
- wyznała Bliss.

Przez okna sunącej taksówki dziewczęta obserwowały spokojne, gładkie wody Karaibów.
Mimo imponującego widoku obie cieszyły się, że wracają na brudne, szare ulice Nowego Jorku.
-Ja jeszcze nie próbowałam - przyznała się Schuyler, biorąc głęboki wdech.

- Wszystko przed tobą. - Bliss strzepnęła popiół z papierosa za okno. - Ale lepiej mnie
posłuchaj i jak zdecydujesz się na familianta, znajdź kogoś, kto coś dla ciebie znaczy. Ciągnie mnie
do Morgana, a wcale tego nie chcę. Prawie go nie znam.

KARTA PACJENTA
Dom dla obłąkanych
pod wezwaniem Św. Dympny

Nazwisko: Margaret Stanford

Wiek: 16

Data przyjęcia: 5 kwietnia 1869

PRZEBIEG CHOROBY:

30 kwietnia 1869: Zalecona terapia izolacyjna.

23 maja 1869: Brak kontaktu z pacjentką.

Zalecane zaprzestanie terapii izolacyjnej.

Pacjentka nadal cierpi z powodu przywidzeń,
omamów i koszmarów.

Nasilone tendencje samobójcze.

Pacjentka jest nieobliczalna, stanowi zagrożenie dla siebie i otoczenia. Zalecane przeniesienie do ściśle strzeżonej placówki.

STAN OBECNY:

Tydzień przed planowanym przeniesieniem pacjentka zaczęła reagować na kurację. Podjęto decyzję o pozostawieniu pacjentki w obecnej placówce przez kilka tygodni, w trakcie których nie zaobserwowano dalszych objawów przywidzeń, hysterii lub demencji. Pacjentka odpowiada przytomnie na pytania i sprawia wrażenie w pełni zdrowej. Jeśli stan ten utrzyma się przez kolejne trzy miesiące, zalecane jest wypisanie pacjentki i oddanie jej pod opiekę rodziny.

TRZYDZIEŚCI JEDEN

W każde Walentynki szkolny samorząd organizował zbiórkę funduszy, sprzedając dostarczane do klas róże. Róże były w czterech kolorach: białym, żółtym, czerwonym i różowym, a subtelności ich znaczeń bez końca analizowała i roztrząsała żeńska część populacji. Dla Mimi symbolika barw nie podlegała dyskusji: białe oznaczały miłość, żółte przyjaźń, czerwone namiętność, zaś różowe — skrywane uczucie. Każdego roku w Walentynki Mimi otrzymywała największe i najbardziej kunsztowne bukiety. Jeden z jej familiantów kupił pewnego razu pięć tuzinów czerwonych róż, aby okazać swoje niegasnące przywiązanie.

Czekając na kwietny przyływ, Mimi przysiadła na stołku w sali chemicznej, gdzie miała pierwszą lekcję.

Posłańcy samorządu szkolnego przybyli z bukietami kwiatów.

- Wesołych Walentynek! — zawołali radośnie do znękanego profesora Korgana.
- No już, pospieszcie się — narzekał.

Wiele dziewcząt otrzymało po kilka małych bukietów - zwyczaj z żółtych róż, co oznaczało, że kupowały kwiaty sobie nawzajem, jak to zwykle robią dziewczyny, żeby poczuć się lepiej. Walentynki zwykle nie były dla nich najweselszym dniem w roku.

Siedząca na swoim zwykłym miejscu Schuyler - znowu zmienili miejsca, tak więc po staremu znalazła się u boku Olivera - przyjęła śliczny żółty bukiet. W zeszłym roku otrzymała od niego taki sam, a dołączoną karteczkę pokrywało jego precyzyjne odręczne pismo.

— Dzięki, - uśmiechnęła się, wdychając świeży zapach.

— A to dla pana Hazarda- Perry 'ego — roznosząca kwiaty pierwszoklasistka wręczyła mu bukiet różowych róż.

Oliver poczerwieniał.

— Różowe?

— Skrywane uczucie — drażniła się z nim Schuyler. Postanowiła posłać mu różowe kwiaty, ponieważ zawsze wymieniali się żółtymi różami, przez co Walentynki stawały się zbyt przewidywalne. Czemu nie dodać życiu kolorów?

— Taaa, jasne. Wiem, że są po prostu od ciebie. — Oliver zdjął dołączoną kartkę i głośno przeczytał. - Oliverze, czy zostaniesz moją sekretną walentynką? Całuję, Sky. — Wsunął kartkę z powrotem do koperty i przez chwilę nie patrzył na Schuyler.

Schuyler chętnie zajrzała by w-jego myśli. Opanowała pierwszy typ uroku - telepatię, ale Oliver także uczęszczał na szkole -, nie. Kiedy tylko opanował sposób przeciwdziałania telepatii - *occludo*, czyli zamykanie umysłu na zewnętrzne wpływy — Schuyler nie mogła już go odczytać.

Siedząca obok Kingsleya Bliss otrzymała dwa czerwone bukiety podobnych rozmiarów.

— O, czyżbym miał rywala? - wycedził Kingsley.

— To nic takiego. Od faceta, którego praktycznie nie znam — mruknęła Bliss. Oczywiście drugi bukiet był od Morgana, który zamówił kwiaty i przesłał je ze swojego dormitorium na Rhode Island. *Zawsze będę o tobie myślał. Kocham, M.* - głosił dołączony bilecik.

Kingsley sam wręczył Bliss swój bukiet.

— Wolałbym zielone, lepiej by do ciebie pasowały. Ten kolor gryzie się z twoimi włosami.

— Nie szkodzi — odparła Bliss. Nadal nie wiedziała, co myśleć o Kingsleyu. Kiedy z nim była, miała wrażenie, że zdradza Dylana.

Po rozdaniu średniego rozmiaru bukietów doręczyciele kwiatów przeszli do większego kalibru. Megakompozycji kwiatowych, z trzech lub czterech tuzinów róż w kolorze najgłębszego szkarłatu, bez wyjątku przeznaczonych dla Mimi Force. Niebawem przestrzeń wokół jej ławki wyglądała jak zakład pogrzebowy.

— To chyba już wszystko — burknął profesor Korgan.

— Proszę zaczekać, jest jeszcze jeden. — Goniec wniósł bez wątpienia najbardziej kosztowny z bukietów: metrowej wysokości kompozycję z dwustu róż barwy najjaśniejszej kości słoniowej. Wszystkie dziewczyny oniemiały. Praktycznie nigdy żaden z chłopców nie kupował białych róż. *To* był zbyt poważny symbol przywiązania. Ale ten bukiet praktycznie trąbił o pochwyconym sercu.

Goniec postawił bukiet przed Schuyler. Mimi uniosła brwi. Zawsze to ona była królową różanej loterii. O co tu chodziło?

— To dla mnie? - wyjąkała Schuyler, która zaniemówiła na widok rozmiaru bukietu.

Zdjęła kartkę z najwyższej łodygi.

Dla Schuyler, która nie lubi czytać o miłości.

Nie było podpisu.

Mimi z wściekłością spojrzała na swoje czerwone bukiety, kwiaty wydawały się więdnąć pod

jej spojrzeniem. Nie musiała zgadywać, kto posłał oszalamiająco białe róże tej małej wiedźmie. Białe jak światło. Białe jak miłość. Białe jak wieczność.

Przyszedł czas na wcielenie w życie jej planu.

Przechodząc obok ławki Schuyler, udała, że się potyka i pochwyciła pasmo ciemnych włosów, łapiąc się dla równowagi jej krzesła.

— Auć! - jęknęła Schuyler.

— Uwóżaj - prychnęła Mimi, trzymając w dłoni kosmyk jej-włosów.

To już nie potrwa długo.

TRZYDZIEŚCI DWA

Po opanowaniu pierwszego typu uroku Schuyler przeszła do typu drugiego: sugestii.

Musiała nauczyć się, w jaki sposób zasiać ziarno pomysłu w czyimś umyśle.

— W ten sposób popychamy czerwonokrwistych, zmuszamy ich niejako, aby dążyli do doskonałości, sztuki i piękna - wyjaśnił jej dziadek. — To pożyteczne narzędzie. Większości ludzi nie podoba się, gdy ktoś podsuwa im pomysły, więc korzystamy z sugestii. Gdybyśmy tego nie robili, nie mielibyśmy Nowego Ładu, ubezpieczeń społecznych ani nawet Centrum Lincolna.

Sugestia okazała się nawet bardziej skomplikowana od telepatii. Lawrence wyjaśnił, że należy wykazać się przy tym wyjątkową intuicją i subtelnością, aby ludzie nie domyślili się, iż ktoś nimi manipuluje.

- Reklama podprogowa została oczywiście wymyślona przez nas, ale czerwonokrwieści zakazali jej, kiedy tylko dowiedzieli się o jej istnieniu. Wielka szkoda.

Poprzedniego wieczora Lawrence polecił jej, aby zasugerowała coś Andersonowi. Po kilku godzinach Schuyler zdołała nie tylko namierzyć jego sygnał, ale nawet przesłać dyspozycją.

Anderson nagle wstał. Oznajmił, że ma ochotę na filiżankę herbaty, i zapytał, czy zrobić dla kogoś jeszcze?

Kiedy wyszedł, Lawrence zerknął z ukosa na wnuczkę.

— To twoja robota, prawda?

Schuyler skinęła głową. Przesłanie jednego prostego polecenia wyczerpało niemal całkowicie jej siły.

— To dobrze. Jutro skończymy z tym cackaniem się w rękawiczkach i przejdziemy do ważniejszych spraw.

Następnego dnia w szkole wysiłek zużyty do przesłania sugestii dał o sobie znać. Kiedy schodziła do tylnego korytarza po trzeciej lekcji, nieoczekiwanie poczuła zawroty głowy.

Zachwiała się i spadłaby ze schodów, gdyby Jack Force jej nie złapał.

— Trzymaj się — powiedział. — Żle się czujesz?

Schuyler otworzyła oczy. Jack patrzył na nią z niepokojem.

— Straciłam tylko równowagę... Zemdlałam.

Inne dziewczęta na schodach wymieniły porozumiewawcze uśmiechy. Omdlenia w szkole zdarzały się regularnie, będąc oczywistym objawem anoreksji. To jasne, że Schuyler cierpi na jakieś zaburzenia łaknienia. Każdy widzi, że jest chuda jak szczapa.

— Odwiozę cię do domu. - Jack pomógł jej wstać.

-Nie, Oliver... mój zauszniak... on może... i naprawdę, to nic takiego... Po prostu za dużo pracowałam nad urokiem — wyjaśniła półprzyciennie.

- O ile wiem, Oliver ma właśnie prezentację na angielskim - oznajmił Jack. - Ale jeśli chcesz, zawołam go.

Schuyler potrząsnęła głową. Nie, to nie byłoby w porządku, prosić Olivera, żeby zawalił

lekcję tylko dlatego, że ona się źle poczuła.

- Daj spokój, wsadzę cię do taksówki i odstawię do domu. Lawrence pisał coś w swoim gabinecie, gdy Hattie zastukała do drzwi.

- Panienska Schuyler wróciła, proszę pana. Chyba zasłabła w szkole.

Van Alen zszedł na dół, zastając Jacka Force'a, wnoszącego Schuyler do domu. Wyjaśnił, że zasnęła w taksówce, w drodze.

- Tak przy okazji, jestem Jack Force - przedstawił się.

- Wiem, kim jesteś. Zanieś ją na kanapę — polecił Lawrence, wskazując drogę do salonu.

Jack ostrożnie położył Schuyler na obitej pluszem sofie, a Lawrence przykrył ją pledem.

Skóra Schuyler była tak blada, że niemal przezrysta, ciemne, wilgotne rzęsy rzucały cień na policzki. Oddychała nieregularnie, z trudem. Lawrence położył chłodną dłoń na rozpalonym czole wnuczki i natychmiast poprosił Hattie o termometr.

- Ma gorączkę - zawołał z niepokojem w głosie.

- Zemdlała w szkole - wyjaśnił Jack. - W taksówce wszystko wydawało się w porządku, ale potem powiedziała, że jest śpiąca i... no, sam pan widzi.

Grymas niezadowolenia na twarzy Lawrence'a pogłębił się.

- Mówiła, że pracuje nad urokami. - Jack ostro popatrzył na niego spod oka.

— Tak, ćwiczymy — przytaknął Lawrence. Zajął miejsce na sofie i delikatnie wsunął termometr między wargi Schuyler.

— To wbrew zasadom Komitetu — zauważył Jack.

— Nie przypominam sobie, żebyś kiedykolwiek przejmował JH zasadami, Abbadonie — wzruszył ramionami Lawrence. Do tej chwili żaden z nich nie wspominał o dawnej przyjaźni.

- Ty, który poparłeś nas w Plymouth za cenę własnej reputacji.

— Czasy się zmieniły — mruknął Jack. — Jeśli to, co mówisz, jest prawdą, sam odpowiadasz za stan Schuyler.

Lawrence sięgnął po termometr.

— Czterdzieści cztery stopnie - powiedział spokojnie. Taka temperatura w przypadku człowieka oznaczałaby natychmiastową śmierć. Ale Schuyler była w połowie wampirem i gorączka mieściła się w akceptowalnym dla jej rasy zakresie. — Rzeczywiście trochę za wysoka — orzekł. — Ale porządny odpoczynek? powinien pomóc.

Kilka minut później Schuyler obudziła się i zobaczyła dziadka przyglądającego się jej uważnie. Zadrżała pod wełnianym pledem i otuliła się nim ciaśniej.

— Kochanie, czy coś podobnego przydarzało ci się wcześniej?

— Czasami — przyznała cicho Schuyler.

— Po ćwiczeniach?

Schuyler skinęła głową. Nie przyznawała się, bo nie chciała przerywać lekcji.

— Powinienem był to zauważyć. Pierwszy raz taki stan - twoja hibernacja - wystąpił jakiś czas po tym, jak Ściagałaś mnie w Wenecji, prawda?

Schuyler przytaknęła. Przypomniła sobie słowa doktor Pat. *Ciosem może to być opóźniona reakcja.*

- Wiem już, czemu jesteś tak słaba - pokiwał głową Lawrence. — Wyrzucam sobie, że wcześniej niczego nie dostrzegłem. Wyjaśnienie jest proste. Kiedy korzystasz z wampirzych mocy, twoje błękitne krwinki pracują ponad siły, a ponieważ z powodu mieszanej krwi nie masz zbyt dużo czerwonych krwinek, zaczynasz słabnąć. Istnieje tylko jeden sposób na przywrócenie równowagi w

twojej krwi. Musisz znaleźć familianta.

- Ale nie mam jeszcze osiemnastki — zaprotestowała Schuyler, mając na myśli dozwolony wiek dla świętego pocałunku według zasad Komitetu. - Zamierzałam poczekać.

- Mówię poważnie, Schuyler. Twoja matka zapadła w śpiączkę i nie chciałbym, żebyś podzieliła jej los. Chociaż posiadasz specjalne moce, o jakich wampiry w twoim wieku mogą najwyżej pomarzyć, pod wieloma względami jesteś znacznie słabsza od przeciętnego błękitnokrwistego. Nie możesz uciec przed postępującą przemianą, ale możesz kontrolować jej najbardziej szkodliwe efekty. Musisz znaleźć familianta, zanim skończysz osiemnaście lat.

Człowieka. Dla twojego własnego dobra.

Jack odchrząknął i Schuyler ze zdumieniem zauważyła jego obecność. Nie odzywał się podczas przemowy jej dziadka.

- Chyba się już pożegnam.

Miał właśnie wyjść, kiedy drzwi do pokoju otwały się gwałtownie.

Stał w nich Oliver Hazard-Perry, wyraźnie podenerwowany widokiem Jacka.

— Słyszałem, że Schuyler musiała się wcześniej zwolnić™ szkoły. Martwiłem się, przyjechałem, kiedy tylko mogłem.

Trójka wampirów popatrzyła na niego, myśląc o tym samym.

Oliver był człowiekiem. Czerwonokrwistym. A Schuyler potrzebowała familianta...

— Co jest? — zapytał Oliver, kiedy nikt mu nie odpowiedział. - Dziwnie pachnę, czy jak?

TRZYDZIEŚCI TRZY

Nadszedł czas, aby wypróbować plan, Walentynkowe róże stały się kroplą, która przepełniła czarę. Ale rzecz nie tylko w kwiatach — jej brat coraz śmieiej zbliżał się do tej pół krewki. W zasadzie już nie szukał usprawiedliwień tego, że kręci się po korytarzu przed klasą Schuyler albo przesiaduje w szkolnej bibliotece lub Repozytorium, żeby ją spotkać.

Mimi nawet przyłapała ich, jak bezwstydnie flirtowali przy ludziach! A dopiero co przyjaciółka doniosła jej, że podobno Jack wynosił Schuyler ze szkoły na rękach. W to akurat Mimi w ogóle nie uwierzyła.

Zgodnie z instrukcją w książce narysowała ogryzkiem kredy pentagram na jasnej drewnianej podłodze. Następnie umieściła niezbędne składniki w małej metalowej miseczce na toaletce: liście werbeny, liście wawrzynu, płatki lilii, majeranek, serce ropuchy i skrzydło nietoperza.

Wszystko to wydawało się zdecydowanie nie na miejscu pomiędzy licznymi kryształowymi flakonikami perfum i drogich francuskich kosmetyków.

Podpałiła od świecy gałązkę rozmarynu. Zdmuchnęła świecę i wrzuciła płonące zioło do miseczki.

Buchnął wysoki, fioletowy płomień.

Mimi spojrzała na siebie w lustrze, ze zdumieniem spostrzegając, że jej pokój, jeszcze przed chwilą wypełniony popołudniowym słońcem, pogrążył się w mroku, rozjaśnionym jedynie blaskiem wydobywającym się z miseczki.

Jej ręce lekko drżały, kiedy otwierała małą pergaminową kopertę, zawierającą włosy Schuyler Van Alen. Wytrząsnęła zawartość na dłoń.

Zgodnie z książką powinna wrzucić włosy w płomień, wypowiadając słowa, które miały przynieść zagładę jej wrogom. Mimi zamknęła oczy i rzuciła kosmyk w ogień.

— Ja, Azreal, nakazuję duchom. Zniweczcie siłę mojej rywalki.

— Ja, Azreal, nakazuję duchom. Zniweczcie siłę mojej rywalki.

— Ja, Azreal, nakazuję duchom. Zniweczcie siłę mojej rywalki.

— MIMI! - drzwi otwarty się na oścież. Stał w nich Charles Force. Jednym machnięciem ręki zgasił intensywnie fioletowy płomień.

Mimi otworzyła oczy i odetchnęła gwałtownie. Bezskutecznie próbowała zetrzeć stopą ślady pentagramu.

— Byłam ciekawa — tłumaczyła się. — Komitet nie pozwala: nam niczego robić...

Podszedł do niej i trącił palcem żar.

- Mogę to zrozumieć. Powstaliśmy z mrocznej magii, my, którzy jesteśmy skazani na wieczną wędrówkę po Ziemi. Ale ta inkantacja jest bardzo potężna. Jeśli nie zdołasz jej opanować, ona opanuje ciebie. Dlatego właśnie zakazujemy jej używania młodym, którzy jeszcze nie są gotowi.

Charles podniósł książkę z biurka.

— Skąd to masz? Niech zgadnę, z Repozytorium. Przechowujemy ją pod kluczem, bo dla niedojrzałych może stanowić zagrożenie. To niebezpieczna książka.

Wsunął książkę pod ramię.

- Kochanie, może jednak poszukasz sobie innych rozrywek?

Po wyjściu ojca Mimi wyciągnęła białą komórkę i wybrała znajomy numer.

— Kingsley? — spytała. — Masz chwilę? — Jasne, złotko, co się dzieje?

— Wiesz, jak się robi to coś, o czym mówiłeś? Przywołuje srebrmokrwestego z mroku?

-No.

- Myślisz, że to zadziała?

TRZYDZIEŚCI CZTERY

Jesteś jakaś inna - powiedział Kingsley pewnego popołudnia, które podobno zamierzali poświęcić na odrabianie lekcji w sypialni Bliss. „Podobno”, bo chociaż tak właśnie wyglądały plany Bliss, Kingsley zwykle miał inne pomysły. BobiAnne nalegała, żeby Bliss trzymała drzwi do pokoju otwarte, kiedy jest u niej chłopak - to stanowiło jedną z nienaruszalnych zasad. Ale tego popołudnia BobiAnne nie było w domu. Udała się na cotygodniową wizytę w spa i miała wrócić za kilka godzin. Jordan była na trwającej do pozna próbie baletu. Bliss została w apartamencie sama, jeśli nie liczyć służących w odległym skrzydle na pierwszym poziomie.

— Ostrzygłam się - podsunęła Bliss, spoglądając na chłopaka znad eseju na niemiecki.

Wiedziała, że nie o to mu chodziło. Od kiedy dostała dwa bukiety, Kingsley usiłował dowiedzieć się czegoś o „tajemniczym wielbicielu” Bliss.

— Nie, to nie to — uśmiechnął się. Wyciągał się na jej łóżku jak leniwy kot, czarne włosy były na tyle długie, by zawijać się

nad kołnierzykiem. Wokół leżały rozrzucone zeszyty i segregatory, a także oprawiona w ciemną skórę książka, którą zawsze czytał. Ale przez ostatnią godzinę nie tknął absolutnie niczego, zamiast tego uparcie drażył stały temat.

- Nie wiem, o czym mówisz - powtórzyła Bliss z naciskiem.

- Chyba wiesz - powiedział Kingsley przeciągle. - Masz to wypisane na twarzy.

-Co?

- Zrobiłaś to. Znalazłaś sobie człowieka, jak się urwałaś na te twoje wakacje czy inną sesję zdjęciową. Wyssałaś jego krew -udał transylwański akcent. — Ktokolwiek wpadł na pomysł, że jesteśmy wieśniakami z zapadłej dziury we wschodniej Europie, był geniuszem.

- A jeśli nawet? - spytała Bliss.

- O, super. Do czegoś dochodzimy. Podobało ci się?

- Nie jesteś zazdrosny? — spytała.

- Zazdrosny? Niby o co? — Kingsley wyglądał na zaskoczonego. — Chyba nie rozumiesz, to

tak, jakbym miał być zazdrosny o twojego fryzjera. Familianci usługują nam, i tyle. Nie przywiązujemy się do nich.

-My?

- Wiesz, co chcę powiedzieć.

Kingsley podszedł do Bliss i zaczął masować jej plecy.

- No, odpręż się... Dalej masz te retrospekcje i zamroczenia?

Bliss skinęła głową.

- Próbowałaś skorzystać z moich rad?

Zaprzeczyła. Była zbyt wystraszona, żeby spróbować.

- Powinnaś, to działa. Na mnie podziałało. - Palce Kingsleya fachowo ugniatały zdrętwiałe mięśnie i niedługo Bliss zaczęła odpływać pod jego dotykiem. To było jak hipnoza. -

Czerwone oczy o srebrnych źrenicach i sykliwy, szepczący głos... *Juz czas,.. Już czas... Już czas...*

Bestia pojawiła się znowu, Ścigając ją przez labirynt korytarzy. Czowała gorący, cuchnący oddech na policzkach. Została osaczona w kącie i nie mogła się obudzić. Spojrzała jej w oczy.

Zrób to, zrób, pomyślała. Zrób to, o czym mówił Kingsley.

Odezwiąj się do niej.

Czego chcesz? — zapytała Bliss. — *Żądam wyjaśnienia.* Karmazynowe oczy mrugnęły.

Po przebudzeniu Bliss zauważyła, że musiała podrapać się ze strachu. Miała paskudne, czerwone ślady na rękach. Ale Kingsley miał rację. Podziałało. Bestia zniknęła.

Schizofrenia (z greckiego „rozszczepić”). Zaburzenie psychiczne objawiające się upośledzeniem postrzegania rzeczywistości. Osoby dotknięte schizofrenią cierpią na omamy słuchowe, urojenia, zaburzenia mowy (rozkojarzenie),; wahania emocjonalne (częsty płacz).

Diagnozę stawia się w przypadku pacjentów, u których objawy powtarzają się przez ponad sześć miesięcy.

Dictionary of Mental Disorder

American Academy of Mental Health Professionals

TRZYDZIEŚCI PIĘĆ

Hotel Mercer wymyślił Oliver, który wzdragał się przed wykorzystaniem pokoju Schuyler lub własnego. Uważał, że zbyt dziwacznie będzie robić „to” w miejscu, w którym spędzili niewinnie tyle godzin, czytając czasopisma i oglądając telewizję. Dlatego zarezerwował apartament w miejskim hotelu.

Namówił ją na kilka drinków w barze, zanim pójdą na górę, do pokoju.

- Ty może tego nie potrzebujesz, ale ja na pewno - oznajmił.

Schuyler cierpliwie czekała, podczas gdy Oliver osuszał jeden Manhattan za drugim. Żadne z nich nie było zbyt rozmowne. Siedzieli w zacisznym kącie baru, przeznaczonego wyłącznie dla gości hotelowych. Oprócz nich była tu tylko gwiazda filmowa, udzielająca wywiadu po przeciwnej stronie sali. Gwiazda trzymała nogi na sofie i śmiała się hałaśliwie, a dziennikarz sprawiał wrażenie zdenerwowanego i zafascynowanego. Na stoliku między nimi leżał mały srebrny dyktafon.

- No dobra, nie ma na co czekać - uznał w końcu Olivier, odsuwając na w pół wypity trzeci drink.

- Kurczę, wyglądasz, jakbym cię poprosiła, żebyś pojechał na wojnę - zauważyła Schuyler, kiedy szli do windy.

Apartament, z którego rozpościerał się zapierający dech w piersiach widok na miasto, został umeblowany w najmodniejszym nowoczesnym stylu: ciemne hebanowe meble Makasar,

welńiane poduszki, czarna epoksydowa podłoga wypolerowana na wysoki połysk, podświetlany onyksowy barek, płaski telewizor i ściany z powłoką ze stali nierdzewnej, wyglądające na zimne, ale w dotyku gładkie i ciepłe jak roztopione masło.

- Super - oceniła Schuyler, siadając na jednym końcu podwójnego łóża. Oliver ułożył się z drugiej strony.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? - Usiadł wygodniej i zasłonił twarz ramieniem.

- Ollie, jeśli tego nie zrobię, zapadnę w śpiączkę i już się nie obudzę. Dzisiaj ledwie wstałam z łóżka.

Przełknął ślinę.

- Głupio mi ciebie prosić, ale, no wiesz, nie chciałam, żeby ten pierwszy raz był z kimś, kogo w ogóle nie znam, rozumiesz? - Opowiedziała mu, co przytrafiło się Bliss w Montserrat. - *Bo* jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Sky, wiesz, że zrobię dla ciebie wszystko. Ale to niezgodne z Kodeksem. Zausznicy nie mogą być familiantami wampirów. Powinniśmy być obiektywni, nie wchodzić w podobną relację. Takie rzeczy jak *caerirnonia* wszystko komplikują - wyjaśnił Oliver.

Kiedy tydzień temu Schuyler zapytała Olivera, czy zgodziłby się zostać jej familiantem, odparł, że potrzebuje chwili czasu na zastanowienie. Następnego dnia nie poruszał tematu, a Schuyler pomyślała, że jest zbyt dobrze wychowany, żeby wprost odmówić, więc po prostu zamierza zachowywać się, jakby nigdy go o to nie prosiła. Minęło kilka dni i żadne z nich nie wracało do tematu. Schuyler zaczęła zastanawiać się nad alternatywnym rozwiązaniem. Ale tego ranka znalazła w szkolnej szafce kopertę z hotelu Mercer, zawierającą plastikowy klucz do apartamentu. Do *zobaczenia na miejscu* - napisał Oliver. - *Mniam mniam!*

Schuyler także miała mieszane uczucia - nie chciała stawiać Olivera w dwuznaczej sytuacji, ale czuła, że nie ma wyjścia. Jeśli musiała znaleźć familianta, wolała wybrać kogoś, kto - jak niesmacznie by to nie brzmiało — był już prawie członkiem rodziny. A do Olivera ciągnęło ją od pobytu w Wenecji. Może jednak wszystko się ułoży.

- Powiedz słowo, a damy sobie spokój, dobra. - zaproponowała, wyciągając końce kołdry, zatknięte po bokach łóżka.

- Fajnie, nie róbmy tego - odparł natychmiast. Westchnął i położył się na łóżku, rozkładając ręce na puszystej kołdrze. Jego długie nogi zwieszały się z krawędzi, ale tors spoczywał w ca-

łości na materacu. Zamknął oczy, jakby rysująca się przed nim perspektywa wydarzeń była nieznośna, i znowu zakrył twarz ramieniem, jakby starając się przed czymś osłonić.

- Serio? - spytała trochę przestraszona Schuyler.

- Nie wiem - jęknął Oliver stłumionym głosem.

- No wiesz, ja naprawdę będę ostrożna, znaczy, jeśli się boisz. Musisz mi zaufać. - Nadal siedziała wyprostowana, kierując swoje słowa do okna, podczas gdy Oliver odpowiadał do sufitu.

- Ufam ci - wyznał niespokojnym, smutnym głosem. - Powierzam ci swoje życie.

- Wiem, że to zmieni układ między nami, ale i tak jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. Nie może się tak wiele zmienić, praw-da? Przecież ja już cię kocham - tłumaczyła Schuyler.

Każde słowo było prawdą, bardzo zależało jej na Oliverze. Nie potrafiła sobie wyobrazić życia bez niego.

Obróciła się, żeby na niego spojrzeć. Cofnął ramię i otworzył oczy. Przyglądała się, jak kasztanowe włosy okalają jego przystojną twarz i jak kusząco wygląda jego szyja pod sztywnym kołnierzykiem koszuli.

- A ty mnie nie kochasz? — Wiedziała, że nim manipuluj je, ale nie miała innego wyjścia.

Musiał się zgodzić. Jeśli nie... z kim mogłaby to zrobić?

Oliver spróbował ukryć rumieniec i przez chwilę nie potrafiła spojrzeć jej w oczy. Usiadł na łóżku.

- No dobra - powiedział bardziej do siebie niż do niej.

. Schuyler przysunęła się bliżej i przytuliła, a chwilę później siedziała mu na kolanach.

- W porządku?

- Jesteś ciężka - zażartował z uśmiechem.

- Wcale nie.

- No dobra, nie.

— A ty jesteś super, wiesz? Znaczy, naprawdę super. Dlaczego cały czas siedzisz ze mną?

Powinieneś chodzić na randki - powiedziała stanowczo, odgarniając jego włosy z orzechowych oczu. Pomyślała, że to najbardziej życzliwe oczy, jakie kiedykolwiek widziała.

Przy Oliverze zawsze czuła się bezpieczna.

-Jasne, ja i randki - zaśmiał się Oliver. Objął ją w talii.

— Czemu nie? To chyba nic nadzwyczajnego.

— Serio? — spytał.

— No... — ale Schuyler nie skończyła, ponieważ Oliver położył ciepłą dłoń na jej podbródku i przyciągnął ją do siebie. Już po chwili całowali się. Delikatne, niepewne pocałunki stawały się coraz śmielsze, coraz bardziej namiętne.

— Mmmm... - westchnęła. Więc tak to wyglądało. Całowanie Olivera. Nie tak, jak sobie wyobrażała. Lepiej. Zupełnie jakby byli stworzeni dla siebie. Schuyler przyłgnęła do niego, a Oliver wsunął dłoń w jej włosy. To było coś nowego. Punkt zwrotny. Zaczęła całować jego podbródek i szyję.

-Sky...

— Mmmmm?

Nagle Oliver odsunął ją, zdjął jej ręce ze swoich pleców i gwałtownie zrzucił ją z kolan.

— Nie — powiedział, oddychając ciężko. Jego policzki płonęły ze wstydu.

— Nie? — zapytała Schuyler, nie rozumiejąc. Przecież wszystko szło dobrze, tak właśnie powinno być, prawda?

— Nie - Oliver wstał i zaczął się przechadzać. — Święty pocałunek coś znaczy. Znaczył coś dla twojej mamy. I wiesz co?

Znajdź sobie innego królika doświadczalnego. Nie zamierzam tego robić z obowiązku. -Ollie.

— Nie, Schuyler.

Nazywał ją pełnym imieniem tylko wtedy, kiedy był naprawdę wściekły.

Schuyler nie odezwała się.

- Idę. Nie mogę z tobą zostać... Nie jesteś sobą. - Założył płaszcz i zatrzasnął za sobą drzwi, odchodząc w noc.

TRZYDZIEŚCI SZEŚĆ

W ukrytej wnęce, w głębi podziemnego magazynu mieszczącego się pod Repozytorium Historycznym, Mimi Force pochylała się nad starą, oprawioną w skórę księgą. Tą samą, którą ojciec skonfiskował jej kilka tygodni temu. Może i w Repozytorium trzymano ją pod kluczem, ale wystarczyło się zorientować, który klucz jest potrzebny, aby się do niej dostać.

Nie wymagało to wiele wysiłku — ludzie bibliotekarze nie stano-wili wyzwania dla gniewu wściekłego wampira.

Książka była otwarta na ostatniej stronie, czarnej karcie, na której słowa wypisano lśniącym

błękitem - w odcieniu krwi płynącej w żyłach Mimi.

Obok stał Kingsley Martin. Razem śledzili kolejne zdania przy blasku pojedynczej cienkiej świeczki. Magazyn wokół nich

— ciągnące się w nieskończoność rzędy dwumetrowych regałów

— trwał w ciszy i ciemnościach. W Repozytorium przechowywano około dziesięciu milionów książek. Była to największa

biblioteka na świecie, a jej magazyny rozciągały się pod Manhattanem, kilka pięter poniżej poziomu ulicy. Nikt nie był pewien, jak głęboko można zjechać starą, skrzypiącą, okratowaną windą.

Rytuał miał zostać przeprowadzony na dolnym poziomie. Zaklęcie wymagało „miejsca o szczególnej mocy” i Kingsley za-1 proponował kwatere główną błękitnokrwistych.

- Piszą tu, że przywołania może dokonać osoba o podobnym umyśle — przeczytała Mimi.

- To znaczy, że musi pragnąć tego samego, co i ty, bo tylko wtedy odpowie na twoje wezwanie - wyjaśnił.

- Jasne.

- Najpierw musisz wezwać tu ofiarę — stwierdził Kingsley. Mimi zręcznie nakreśliła pentagram, zamykając ich dwoje wewnątrz kredowych linii.

- Książę Ciemności o Srebrnej Krwi, odpowiedz na moje we-, zwanie. Ja, Azrael, nakazuję ci sprowadzić tu mojego wroga - rozkazała Mimi czystym, donośnym głosem.

Na górnym poziomie Repozytorium Schuyler Van Alen weszła do głównej czytelni, szukając Olivera. Przesiedziawszy godzinę w hotelowym apartamencie, doszła do wniosku, że nie może po prostu tkwić beczynnym i czekać, aż Oliver się uspokoi. Mu-: siała go znaleźć i przeprosić. Nie powinna była od niego wymagać podobnego poświęcenia. Teraz to rozumiała.

Prosiła o zbyt wiele, pozostało jej zyskać jego przebaczenie. W weekendowe wieczory zazwyczaj tkwił zaszyty w Repozytorium. Dlatego tam skierowała pierwsze kroki, skoro nie odbierał komórki ani wiadomości przesłanych na BlackBerry.

Bliss Llewellyn siedziała na jednej z podniszczonych kanap tuż przy samym wejściu.

- Cześć! — rzuciła Schuyler. - Jest tu Oliver? Bliss skinęła głową.

- Chyba gdzieś się kręcił. Widziałam, jak wchodził, kilka minut temu.

- Ekstra.

Po wydarzeniach na Montserrat Bliss czuła się trochę zakłopotana w towarzystwie Schuyler.

-Ja, no... czekam na Kingsleya I powiedziała. - Umówiliśmy się tutaj.

Schuyler skinęła głową, chociaż przecież nie pytała Bliss, dlaczego tu jest. Zostawiła ją przy wejściu i przeszła szybko przez cichą salę w poszukiwaniu przyjaciela. Jak na weekendowy wieczór, w Repozytorium panował spory ruch. Prawie wszystkie lektoria były zajęte.

Bibliotekarze katalogowali książki na półkach, a kilku starszych członków Komitetu podążało na cotygodniowe spotkanie. Schuyler zauważyła elegancką jasną fryzurę Dowódcy Straży, Priscilli Dupont, która rozmawiała z ozywieniem z kolegami. Starsi zniknęli w jednej z sal konferencyjnych i w tym samym momencie Schuyler dostrzegła Jacka Porce'a siedzącego z książką na swoim zwykłym miejscu przy kominku.

Wewnątrz pentagramu płomień, świecy rozblysk, pokazując Mimi wizję znajdującego się powyżej Repozytorium. Tak.

Dokładnie tak, jak obiecywało zaklęcie. Na środku sali stała-; Schuyler Van Alen.

Jej ofiara została sprowadzona na miejsce.

Mimi czuła euforię. Nadszedł czas. Zaraz się dokona. Miała pozbyć się tej małej gnidy raz na

zawsze. Schuyler oczywiście zaraz po wejściu skierowała się w stronę Jacka. Ale to nie miało znaczenia — i nie potrwa już długo.

Kingsley podał Mimi srebrny nóż.

Tylko w taki sposób zakłęcie mogło zadziałać: krew za krew. Mimi podniosła prawą rękę.

Chłodne ostrze oparło się na skórze nadgarstka. Jej serce waliło, poczuła pierwsze ukłucie strachu. Nawet jeśli była nieśmiertelna, a ofiara krwi nie mogła jej zaszkodzić, czuła mdłości na myśl o tym, co zamierza zrobić.

Ale widok Schuyler Van Alen przypomniawszy jej, jaka jest stawka. Ich więź. Jack. Abbadon.

Musiała przerwać to, zanim nie będzie za późno.

- O, Księżę Ciemności, przyjmij moją krew za swoją krew; Wysłuchaj mnie, wysłuchaj mojego wezwania. Zniszcz mojego wroga teraz i na zawsze - zaintonowała Mimi.

- TERAZ! - krzyknął Kingsley.

Mimi wzięła głęboki oddech i przecięła nadgarstek nożem, otwierając żyłę i wylewając krew na świecę, z której wystrzelił czarny płomień.

* * *

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała Bliss, był potężny wybuch. Podłoga biblioteki rozpękła się, przepastna szczelina sięgała głęboko do wnętrza ziemi. Jej najgorszy koszmar zmaterializował się. Tuż przed dziewczyną pojawiła się mroczna sylwetka ze szkarłatnymi oczami o srebrnych źrenicach, rycząca, z wysiłkiem wlewająca się w istnienie, wypełniająca całą przestrzeń brzęczeniem setek szerszeni, agonią tysiąca udręczonych dusz i ohydny śmiechem obłąkanego lunatyka.

Bliss krzyczała, krzyczała i krzyczała.

A potem wszystko ogarnęła ciemność.

TRZYDZIEŚCI SIEDEM

Ciemny, fioletowy, duszący dym pachniał słabo siarką i kwasem. Schuyler otworzyła piekące oczy. Łzy

płynęły jej po policzkach, chociaż nie płakała. Coś się stało - jakiś wybuch — miała wrażenie, że cały wszechświat się wali. Rozejrzała się. W Repozytorium panował chaos, wokół leżały przewracane regały, a papiery były rozsypane wszędzie, jak po wybuchu bomby. Podłogę zaścielał gruz z sufitu, tynk i pył, pod nogami zgrzytały odłamki szkła i szczątki drewna.

—Jack! Jack, gdzie jesteś? — zawołała z paniką w głosie. Stała tuż obok jego krzesła, ale teraz krzesła nigdzie nie było. Poczuła, że krew ścieka jej na oczy i ostrożnie dotknęła swojej głowy. Coś ją skaleczyło, ale rana nie była głęboka. Ręce miała podrapane i pokrwawione, a dzinsy podarte, ale na szczęście nie odniosła poważnych obrażeń.

Schuyler usłyszała kaszel i podczołgała się w tamtą stronę. Jack leżał pod czytelnianym stołem, lekko zamroczony.

- Nic mi nie jest. - Usiadł z trudem i przetarł piekące o dymu oczy. — Co to, do cholery, było?

- Nie wiem. - Schuyler kasłała, zasłaniając usta i nos ręką.

- Jacki Nic ci nie jest? Słyszysz mnie? Jack. — Przerazony głos Mimi rozbrzmiewał z ukrytej wnęki prowadzącej do podziemnego magazynu. Wyłoniła się stamtąd, oszołomiona, ale niedrażniona.

- Tu jestem.

- Boże, Jack, tak się bałam! - Mimi wpadła w ramiona brata i zaczęła gwałtownie szlochać.

— Myślałam... Myślałam...

- W porządku, nic mi nie jest — uspokajał ją Jack, łagodnie głaszcząc.

Schuyler cofnęła się o krok, żeby im nie przeszkadzać, czując falę zazdrości, żalu i zażenowania na widok takiej bliskości! Pod przewróconym regałem ktoś jęknął.

- Ratunku! - odezwał się zdławiony głos. - Ratunku! Jack, Mimi i Schuyler podbiegli, podnosząc przygniatający

chłopaka ciężar.

Kingsley podziękował im.

- Co to było?!

Wokół nich bibliotekarze i członkowie Komitetu podnosili się z gruzowiska, nawoływali i upewniali, że znajomym nic nie jest. Dym spowijał wszystko, utrudniając widzenie.

- Tutaj! — zawołał znajomy głos. Schuyler zostawiła Force'ów z Kingsleyem i dopadła do Olivera klęczącego przy rannym bibliotekarzu. Obsypany grubą warstwą tynkowego pyłu, miał rozcięcie na podbródku i szramę na czole.

— Nic ci nie jest — odetchnęła Schuyler. — Dzięki Bogu.

— Co ty tu robisz? - zapytał Oliver.

— Szukałam ciebie. Skinął szybko głową.

— Dobra, pomóż mi.

Renfield, zręczliwy ludzki historyk, leżał zgięty w pół na przewróconym ksero, jęcząc. Siła wybuchu rzuciła nim o ścianę i połamała żebra.

Pomogli mu położyć się na stosie książek, obiecali przysłać pomoc, kiedy tylko będzie to możliwe i poszli dalej, szukając innych rannych lub uwięzionych osób.

Jak do tej pory wszyscy, których spotykali, jakoś ocalili. Trafiały się pomniejsze obrażenia czy wstrząśnienia mózgu, ale większość ze zdumieniem stwierdzała, że jest mniej lub bardziej w całości. Oliver zatrzymał się, żeby udzielić pierwszej pomocy błękitnokrwistej dziewczynie ze złamaną ręką; szybko zrobił zaimprovizowany temblak z oderwanego rękawa koszuli.

Przedzierająca się przez rumowisko Schuyler natrafiła na leżące twarzą do ziemi ciało dziewczyny, pokryte pyłem i tynkiem.

Obróciła ją i jęknęła z zaskoczenia.

— Bliss, Boże, Bliss...

Poniżej podbródka widoczne były dwa otworki, a lepka i błękitna krew ściekała po szyi.

— NIE RUSZAĆ SIĘ Z MIEJSC! - nakazał donośny głos od strony wejścia. Wszyscy zamarli.

Schuyler drżącą ręką starała się zatamować upływ krwi. Boże, Bliss...

Fioletowy dym rozwiął się i po chwili znaleźli się przy ni Charles Force i Forsyth Llewellyn, trzymając uniesione świetliste miecze.

Charles przyklęknął przy Bliss i położył rękę na jej głowie. — Ta jeszcze żyje.

Schuyler zastanowiła się, co miał na myśli, ale szybko zrozumiała, o co chodzi, słysząc krzyk z drugiej strony sali. Przy wejściu do kwatery Rady, na schodach w przejściu, leżała Priscilla Dupont, Dowódca Straży.

Leżała w kałuży krwi.

TRZYDZIEŚCI OSIEM

Olivier odprowadził Schuyler do domu — oboje nie mogli do siebie dojść. Nieprzyjemne wspomnienie tego, co zaszło między nimi w hotelu Mercer, znikło całkowicie w obliczu nowego nieszczęścia. Znów było jak kiedyś, a Schuyler cieszyła się, że ma przyjaciela u swego boku.

Kiedy przyszli, Hattie narobiła mnóstwo zamieszania, opatrując głowę Schuyler i rozcięcie na podbródku Olivera. Wierna pokojówka naszykowała dymiące kubki gorącej czekolady i posadziła ich przy kominku, opatulając starannie kaszmirowymi kocami.

— Gdzie Lawrence? — zapytała Schuyler, sięgając po ciasteczko z podsuniętej przez Hattie tacy.

— Pan wybiegł kilka minut temu, mówił, że na jakieś niezapowiedziane spotkanie — odparła Hattie. - Poleciał, żebym się panienką zajęła, jak panienka wróci. I żebym naszykowała ap-teczkę. Chyba wiedział, że coś się stało.

— Myślisz, że to robota srebrnokrwistego? - zapytał Oliver gdy tylko Hattie wyszła z pokoju. Schuyler wzdrygnęła się.

— Na pewno, nic innego nie przychodzi mi do głowy. Ale to nie ma sensu. Lawrence mówił, że srebrnokrwisci polują w pojedynkę. Ze atakują ofiary, kiedy są same, bez swoich psich strażników. Ten zaatakował w publicznym miejscu, przy świadkach.

— Myślisz, że ona nie żyje? — zadał kolejne pytanie Oliver.

— Kto? Bliss? Nie, Charles Force powiedział, że żyje - odparła Schuyler, choć sama nie bardzo mogła w to uwierzyć. Teksanka miała dwie głębokie ranki w szyi, a na podłodze wokół niej było pełno krwi.

— Nie... Chodziło mi o panią Dupont - wyjaśnił Oliver.

— Nie wiem — wzdrygnęła się Schuyler. Z miejsca, w którym stała, z pewnością tak to wyglądało, podsłuchiwała też członków Rady, dyskutujących nad ciałem.

Całkowite wysuszenie... Niemożliwe... Ale krew została wytoczona... To oznacza.. Odeszła... Została zabrana... Nie przeistoczona. Tak... To przerażające.

Ekipa ratunkowa doktor Pat wyniosła Bliss na noszach, z tlenową maską na twarzy.

Towarzyszył im jej ojciec. Ale drugą nosze, na których spoczywała Priscilla Dupont, okrywała biała płachta. To mogło znaczyć tylko jedno...

Schuyler skuliła się obok Olivera, oboje opierali się o nogi sofy. Położyła głowę na jego ramieniu i zamknęła oczy, a on objął ją i przytulił do siebie. Wzajemna bliskość przyniosła im ukojenie.

Lawrence wrócił nad ranem. Zobaczył Schuyler i Olivera, śpiących obok siebie na dywanie przy kanapie.

— Powinniście być już w łóżkach. Szczególnie ty, moja wnuczko. Atak srebrnokrwistego nie jest czymś, co można zlekceważyć - powiedział, budząc ich łagodnie.

Schuyler przetarła oczy, budząc się. Oliver ziewnął,

— Nie. Jeszcze nie. Chcemy wiedzieć, co się stało — nalegała Schuyler. - Byliśmy tam.

Lawrence opadł na skórzany fotel naprzeciwko i położył nogi na sofie.

— Tak, na szczęście nic złego się wam nie stało.

— Nie nas szukało — powiedziała Schuyler.

— Dzięki Bogu - odparł Lawrence, sięgając po cygaro i obcinarkę.

Schuyler wiedziała, że to znak, iż za chwilę dziadek wyjaśni im wszystko, a przynajmniej tyle, ile sam wie. Przynajmniej się bliżej.

— Co Cordelia opowiadała wam o Croatanach? — zapytał, wydmuchując dym.

— Ze stanowią coś w rodzaju starożytnego zagrożenia, z bardzo odległych czasów, zagrożenia, które błękitnokrwisci włożyli między bajki. Ich ostatni atak miał miejsce czterysta lat temu - wyrecytowała Schuyler. — W Plymouth.

— Tak. Roanoke było ich najbardziej brutalnym i miażdżącym zwycięstwem. Zniszczyli całą osadę. Ale Cordelia, jak słyszę, nie wspomniała wam o Wenecji, Barcelonie ani Kolonii.

Schuyler uniosła pytająco brwi.

- Mało kto wie, bo niektóre wiadomości są starannie ukrywane, że od tak zwanego zwycięstwa w Rzymie srebrnokrwisci na początku każdego nowego stulecia powracali, aby polowali na młodych błękitnokrwistych. Staraliśmy się udowodnić Zgromadzeniu, że w tych atakach występuje pewna

prawidłowość, że zagrożenie ciągle się utrzymuje. Ale lata po Roanoke były spokojne, a w Nowym Świecie nastąpił później tylko jeden atak.

- Tu? W Ameryce? - zapytała Schuyler. Cordelia nigdy o tym nie wspominała.

- Tak. - Lawrence położył na stoliku grubą, nadpaloną na krawędziach tekturową teczkę i popchnął ją w stronę Schuyler— Nad tym pracowała Priscilla Dupont Zamierzała przedstawić Komitetowi dowody potwierdzające to, przed czym ja i Cordelia! przestrzegaliśmy od tak dawna.

Schuyler sięgnęła po teczkę. Ze środka wypadła garść wycinków. Przejrzeli je z Oliverem.

- Kim jest Maggie Stanford?

- Błękitnokrwistą, która zniknęła. Nie mieliśmy pojęcia, że była wcześniej umieszczona w azylu. Czerwonokrwisti lekarze uważali, że cierpi na chorobę psychiczną, ale w rzeczywistości tak wyglądają objawy skażenia przez srebrnokrwistych. Była ich ofiarą.

Lawrence postukał w papiery ręką trzymającą cygaro.

- Kiedy Maggie zaginęła, Cordelia i ja wiedzieliśmy, że stali za tym srebrnokrwisti, ale nie zdołaliśmy znaleźć dowodów. Wtedy postanowiliśmy się rozdzielić, żebym mógł

kontynuować śledztwo bez wiedzy Komitetu. Niedawno Priscilla wspomniała, że znalazła w archiwum materiały, które mogą rzucić trochę światła na historię Maggie. Niestety, przejrzałem już zawartość teczki i nie ma w niej nic, czego nie wiedziałbym wcześniej.

— Co się stało po zaginięciu Maggie? — zapytała Schuyler, patrząc na zdjęcie ślicznej, młodziutkiej dziewczyny.

— Nic. Srebrnokrwisti znowu ukryli się w cieniu. Aż do zeszłego roku, kiedy zginęła Aggie Carondolet. Od tego czasu czworo błękitnokrwistych zostało zabitych na samym początku przemiany. Czworo. Najwięcej od czasów Roanoke. To znaczy, że srebrnokrwisti stają się silniejsi, bardziej pewni siebie. Ale najbardziej niepokojąca jest śmierć Priscilla Skoro pokonali wampira będącego u szczytu potęgi, to znaczy, że musieli wzrosnąć w siłę. Stają się coraz bardziej agresywni. Komitet musi zareagować na to zagrożenie. Nie możemy dłużej siedzieć i czekać, aż Księżę Srebrnokrwistych zbierze swoje siły i kolejno nas wykończy.

—Naprawdę myślisz, że Lucyfer powrócił? - zapytała Schuyler.

Lawrence przez dłuższą chwilę milczał, cygaro żarzyło się równo, słupek popiołu na czubku narastał i narastał, aż spadł na dywan, wypalając w nim małą dziurkę.

— O szlag! - zaklął. - Cordelia nigdy by mi tego nie darowała. Nie pozwalała palić w domu.

— Dziadku, nie odpowiedziałeś na moje pytanie — powiedziała ostro Schuyler.

— Może lepiej nie odpowiadać — wtrącił zdenerwowany Oliver. Cała ta rozmowa o Lucyferze i srebrnokrwistych sprawiła, że go zemdlilo. Chyba nie powinien był pić tyle gorącej czekolady albo zjadać piątego ciasteczka.

- Tylko najpotężniejszy ze srebrnokrwistych byłby w stanie spowodować tak wielkie zniszczenia w tak chronionym miejscu - odparł w końcu Lawrence.

- Chronionym?

- Repozytorium Historyczne jest jedną z naszych najmocniejszych twierdz. Otoczoną dodatkowymi zabezpieczeniami, zakłęciami chroniącymi przed podobnym wtargnięciem, przed Obrzydliwością. To, że zabezpieczenia nie wytrzymały, bardzo źle wróży.

- Co zamierzasz? - zapytała Schuyler.

- Jediną rzecz, jaką mogę zrobić — zażądam białego głosowania. Przyszedł czas, aby postawić pod znakiem zapytania władzę Michała jako Regisa.

TRZYDZIEŚCI DZIEWIĘĆ

Sprzeczali się o nią. Przez morfinową mgłę Bliss słyszała ojca i Charlesa Force'a, kłócących

się za zamkniętymi drzwiami szpitalnego pokoju. Co się stało?

Mglisto pamiętała czarny, zabarwiony fioletem płomień, który spowił całą bibliotekę gęstym, nieprzeniknionym dymem, i wiedziała, że coś się jej przydarzyło. Miała opatrunek na szyi. Czy została ukąszona? Przez srebrnokrwistego? Na samą myśl o tym na jej czole pojawiły się krople potu. Jeśli została zaatakowana przez Obrzydliwość, to jakim cudem jeszcze żyła?

Spróbowała podnieść lewą rękę do szyi, żeby dotknąć rany, ale była jak sparaliżowana.

Poczuła przyływ paniki, dopiero po chwili uświadomiła sobie, że jej ręce zostały przywiązane do poręczy łóżka. Dlaczego?

Pokój był luksusowy, jak w hotelu, z białymi plastikowymi meblami, które dobrze знаła.

Znajdowała się w klinice doktor Pat, szpitalu błękitnokrwistych. Wykorzystała ultraczuły słuch, skupiając się na tym, o czym jej ojciec i Charles Force dyskutowali przyciszonymi głosami na korytarzu.

— Nie została skażona, Charlesie, znasz objawy równie dobrze jak ja. Widziałeś jej szyję!

Nie starczyło mu czasu - mówił ojciec.

— Forsyth, naprawdę cię rozumiem, ale sam widzisz, jak toi wygląda. Lawrence mi nie odpuści. Ona musi zostać sprawdzona, tak jak każdy, kto był w Repozytorium tego wieczora.

— Jest ofiarą! To niesłychane! Nie pozwolę na żadne sprawdzania!

— Nie masz wyboru — uciął dyskusję kategoriycznym tonem Charles. — Wiem, że się martwisz, ale tak jak mówiłeś, wszystko wskazuje na to, że Bliss nic nie zagraża.

Po dłuższej chwili ciszy obaj mężczyźni wrócili do pokoju Bliss. Zamknęła natychmiast oczy i udawała, że śpi.

Poczuła, jak ojciec kładzie dłoń na jej czole i szepcze krótką modlitwę w nieznanym języku.

— Cześć — powiedziała, otwierając oczy. Macocha i Jordan weszły do pokoju, stając w nogach łóżka;

BobiAnne miała na sobie kolejny modny koszmarek — kaszmirowy sweter ozdobiony na piersi napisem VERSACE. Trzymała małą chusteczkę, którą co chwila przyciskała do całkowicie suchych oczu.

— Skarbie, tak się martwiliśmy! Dzięki Bogu, że żyjesz!

— Jak się czujesz? — spytał ojciec, zaplatając ręce za plecami.

— Zmęczona — odparła Bliss. — Co się stało?

- Wybuch w Repozytorium - wyjaśnił Forsyth. - Ale nie martw się, biblioteka jest tak głęboko, że czerwonomkwiści niczego nie zauważyli. Myślą, że to słabe trzęsienie ziemi.

Bliss nie przyszłoby nawet do głowy martwić się o to, że ludzie odkryją najtajniejszą kryjówkę błękitnokrwistych.

- Co się stało ze mną? - spytała.

- Tego właśnie musimy się dowiedzieć — odparł. — Co pamiętasz?

Westchnęła i spojrzała przez okno wychodzące na puste biura w budynku naprzeciwko.

Widziała rzędy komputerów z włączonymi mrugającymi ekranami, mimo że było już po godzinach pracy.

- Niewiele. Tylko dużo czarnego dymu... i...

Oczy, szkarłatne oczy o srebrnych tlenkach. Bestia przebudzona do życia. Odezwała się do niej... Powiedziała... Potrząsnęła głową i mocno zacisnęła powieki, jakby chciała w ten sposób odegnąć złowrogą obecność.

- Nic, nic takiego... Niczego nie pamiętam.

Forsyth westchnął, a BobiAnne znowu pociągnęła nosem.

- Moje biedne, biedne dziecko.

Jordan nie odzywała się, obserwując Bliss kątem oka.

- Bobi, czy ty i Jordan możecie nas na chwilę zostawić? — poprosił jej ojciec Kiedy wyszły, Forsyth spojrział na córkę.

- Bliss, muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego. Zostałaś zaatakowana przez srebrnokrwistego, Croatana.

—Nieeee— wyszeptała Bliss. —Ale Komitet mówił, że to tylko legenda,.. - dodała słabym głosem.

- Komitet się mylił. Teraz mamy pewność. Priscilla Dupont zgromadziła dość dowodów, aby... Co w tej chwili nie miejsce i nie pora, żeby o tym mówić. Ważne że srebrnokrwisci zdołali przetrwać i musimy spojrzeć tej prawdzie w oczy.

- Ale jakim cudem im się udało?

- Niestety, to oznacza, że winą należy obarczyć kogoś z nasi Srebrnokrwisci nie daliby sobie rady, gdyby ktoś z naszego kręgu ich nie ukrywał. Nie pomagał im. Ktoś z bardzo starego rodu, dostatecznie potężny, żeby umiejętnie ukryć obecność mrocznego zła\$ nie zachwiać równowagi, co z pewnością zauważyłby Michał.

- Ale jaki to wszystko ma związek ze mną? - spytała Bliss drżącym głosem.

- Bardzo nieliczni przeżyli atak srebrnokrwistego i za każdym razem istnieje niebezpieczeństwo skażenia.

- Skażenia?

- Czasem srebrnokrwisci nie wysuszają całkowicie ofiary. Zamiast tego wywołują w niej głód... Wypijają tyle krwi, że wampir żyje, ale zostaje poważnie osłabiony. A ponieważ czerwona krew po ataku srebrnokrwistych staje się dla ofiary trucizną, zatem aby przetrwać, musi ona polować na swoich pobratymców.

To właśnie stało się z Dylanem, pomyślała Bliss. Został przeciągnięty na ich stronę. Skażony.

Przemieniony w potwora, a potem zabity, zanim zdążył wyjawić tajemnicę.

- Sądzymy, że kryzys w Roanoke wydarzył się, ponieważ kilkoro naszych w tamtej osadzie było skażonych już w chwili, gdy opuszczali Stary Świat.

— Skąd wiadomo, że ktoś jest skażony? — zapytała nerwowo Bliss.

W odpowiedzi Forsyth zaczął zdejmować opatrunek z szyi Bliss, odwijając bandaż.

Bliss z niepokojem patrzyła na ojca. Co zamierza jej pokazać? Czy zamieni się w potwora?

Ojciec podał jej małe lustro ze stolika pielęgniarki.

Podniosła je do szyi, bojąc się tego, co może zobaczyć.

Ale jej szyja była gładka, czysta i nieskazitelna jak dawniej.

- Co to znaczy?

- Nie ma śladów, co oznacza, że trucizna nie zdołała się utrzymać. Twoja błękitna krew, *sangre azul*, była w stanie podjąć swoje funkcjonowanie. Uleczyć cię i ochronić przed skażeniem. Croatan nie przemienił cię na swoje podobieństwo.

Skinęła głową, czując ulgę i wdzięczność. Przetrwała... Nie była pewna, dlaczego, ale przeżyła.

- Będą jeszcze inne próby - ostrzegł ją Forsyth. - Zlecone przez Starszych. Poproszą, żebyś podzieliła się z nimi wspomnieniami, pokazała im je. Pokazała to, co widziałaś. Ale jestem pewien, że przejdiesz wszystkie pomyslnie.

Kiedy ojciec wychodził z pokoju, Bliss zadała ostatnie pytanie.

- Ale tato, jeśli ktoś by został skażony... to skąd wiadomo?

- Tak naprawdę trudno powiedzieć. Zauważyliśmy jednak, że tych, którzy ulegli skażeniu, kuszą mroczne nauki i zaczynają interesować zaklęcia czarnej magii.

Później, tego samego wieczora, Bliss odwiedziła Nan jedną z wyższych rangą Strażników.

Należała do kręgu szczupłych, eleganckich dam, skupionych wokół Priscilli Duponii. Miała bujne, białe włosy z pojedynczym kruczoczarnym pasmem. Miasto znało ją jako niestrudzoną działaczkę charytatywną i nabywczynię najwytworniejszych i najbardziej modnych ubrań.

Ale kiedy weszła do szpitalnego pokoju, wszelkie ślady znanego świata wizerunku zniknęły.

Przed Bliss stała cudowna kilkusetletnia wampirzyca. Na jej twarzy dziewczyna mogła dostrzec wyblakłe błękitne linie naczyń krwionośnych.

Przedstawiła się Bliss i zajęła miejsce przy jej łóżku.

Do tego czasu Bliss odzyskała czucie w kończynach i czuła się już znacznie lepiej.

— Weź mnie za rękę, dziecko — powiedziała łagodnie Narał a Bliss posłusznie wykonała jej polecenie.

— A teraz zamknij oczy i zabierz mnie do wczorajszego wieczora. Pokaż mi wszystko, co widziałaś.

Urok. Bliss wiedziała, że Nan zamierza użyć uroku, aby odczytać jej umysł. Musiała odkryć swoje myśli i pozwolić jej je zobaczyć.

Bliss skinęła głową.

Zamknęła oczy.

Razem zobaczyły, co się zdarzyło. Bliss, czekającą przy wejściu na Kingsleya. Renfielda przynoszącego listę dokumentów Priscilli Dupont. Schuyler wchodzącą i pytającą o Olivera.

Kilka dziewcząt z Duchesne, wypożyczających książki na następne zebranie Komitetu.

A potem wszystko zasnęła ciemność. Ciemny, gryzący dym wypełnił całą przestrzeń...

Bliss czekała na pojawienie się bestii, ale widziała tylko gęsty, czarny dym.

Kiedy otworzyła oczy, Nan zapisywała coś w notesie.

- Dobrze - powiedziała. - A teraz prosiłabym, żebyś podniosła włosy i pokazała mi kark.

Kark?

Bliss zrobiła to. Nan skinęła głową.

— Możesz opuścić włosy.

Po wyjściu Strażniczki wszedł ojciec i mocno ją uściskał. Na czymkolwiek polegała próba, najwyraźniej przeszła ją pomyślnie. Kark... Część próby...

Pomyślała o tym, że długie włosy Kingsleya zawsze zakrywały mu kark. Kaprys mody? Czy może coś ukrywał?

Kingsley... który zawsze nosił ze sobą tę książkę o *materia acerbus*, Kingsley, który nauczył ją przemawiać do bestii z jej koszmarów.

Kingsley Martin, który pochodził z bardzo, bardzo starej błękitnokrwistej rodziny. Jednej z najpotężniejszych i najdostojniejszych...

Bliss zamknęła oczy. Znowu zobaczyła bestię, a bestia odezwała się do niej. Powiedziała jedno słowo... *Teraz*.

CZTERDZIEŚCI

Kiedy zadzwoniła komórka, Schuyler myła zęby. Szybko przepłukała usta, wytarła twarz i pobięła odebrać. Było wcześniej rano i szykowała się właśnie do szkoły.

- W ten sposób odbiera się telefon?

- A, cześć, Bliss. Wybacz, myślałam, że to Oliver. Zawsze dzwoni rano.

- Przykro mi, że się rozczarowałaś.

- Nie, skąd. Jak się czujesz? — spytała Schuyler. Miała zamiar odwiedzić Bliss w klinice, ale ostatnie dni były zupełnie zwariowane. Próbowала poradzić sobie ze szkolnymi obowiązkami, lekcjami wampirzych mocy i faktem, że jej dziadek szykował się do batalii swojego życia.

Zdecydowano, że zostanie przeprowadzone białe głosowanie i zbliżały się wybory.

- Lepiej - powiedziała Bliss. - Ty, no, wiesz, co się ze mną stało, nie?

-No?

- Wiem — odparła Schuyler. - Dziadek mówił, że zostali zaatakowana przez Croatana, ale nic ci nie jest.

Bliss opowiedziała jej o próbie, otwarciu umysłu przed Nan Cutler, i o tym, jak zniknęły ślady na jej szyi.

- To samo się zdarzyło ze mną - przypomniała jej Schuyler. — Pamiętasz? Tamtego wieczora po sesji zdjęciowej?

-No.

- Zostałam zaatakowana, ale ślady zniknęły. I nie mogła' sobie niczego przypomnieć.

- Chciała też obejrzeć mój kark. Czy to nie dziwne? Schuyler skinęła głową, chociaż Bliss nie mogła jej zobaczyć.

- *To* zdaje się inna próba, dziadek mi mówił. Nan była też u mnie, żeby sprawdzić.

- Serio? To nie tylko ja?

- Nie, jasne że nie. Sprawdzają wszystkich, którzy tam byli.

- Super.

- Więc, co jest?

- Słuchaj, dowiedziałam się czegoś od ojca. Pamiętasz, jaki Komitet zawsze powtarzał, że nie ma czegoś takiego, jak srebrnokrwisici?

- Mhm.

- No, to chyba zaczęli zmieniać zdanie.

—Tak, też coś o tym słyszałam— odparła Schuyler. Lawrence wtajemniczał ją w politykę Zgromadzenia. Teraz, kiedy został zabity wampir w pełni sił, Zgromadzenie burzyło się, gotowe do buntu. Srebrnokrwisici okazali się ponurą rzeczywistością, której trzeba było stawić czoła.

- W każdym razie mój tata mówi, że to musi być ktoś z naszych, ktoś z wysoką pozycją, ze starej rodziny — ciągnęła Bliss.

- Cordelia też to powtarzała.

- Pomyślisz, że zwariowałam - powiedziała Bliss. - Ale ja chyba wiem, kto to zrobił.

- Kto co zrobił?

- Znaczący, chyba wiem, kto wspiera srebrnokrwistego czy srebrnokrwistych - wyjaśniła Bliss. -

Myślę, że Kingsley ma z tym coś wspólnego.

Opowiedziała Schuyler o swoich podejrzeniach, które tak pasowały do tego, co ojciec opowiadał jej o skażeniu - o żywym zainteresowaniu Kingsleya mrocznymi sztukami, dziwacznej książce, którą zawsze czytał, o jego znajomości historii i legend o srebrnokrwistych.

Schuyler zagwizdała.

- Nie wiem... Brzmi podejrzenie... Ale czy nie za szybko wyciągasz wnioski.

- Może, ale będę tu uziemiona jeszcze przed tydzień - odparła Bliss. - Czy ty i Oliver moglibyście się trochę rozejrzeć?

Jeszcze w tym samym tygodniu Schuyler i Oliver wygrzebali trochę interesujących rzeczy na temat nowego chłopaka. Repozytorium zostało doprowadzone do stanu względnej używalności (sztuka *vehx* okazała się niezwykle przydatna). Uprzątnięto pył i tynk, o eksplozji przypominała tylko

cienka jak włos szczelina w marmurowej posadzce.

Niesamowite, ile potrafiły zdziałać wampiry, jeśli się do czegoś przyłożyły.

Wyszperanie informacji na temat Kingsleya okazało się całkiem łatwe przy szerokiej sieci powiązań w szkołach prywatnych, jakimi dysponował Oliver, w połączeniu ze sprytnym dochodzeniem w Internecie.

Schuyler zadzwoniła do kliniki, żeby przekazać Bliss, co wyszperali.

- Martinowie przeprowadzili się do Nowego Jorku tej *no* cy, kiedy zginął Dylan -

relacjonowała. - Dowiedzieliśmy się że Kingsley był w letniej szkole w Hotchkiss, gdzie zamordowano dziewczynę. W Choate, gdzie został zabity ten chłopak przed rozpoczęciem roku szkolnego, był też przez tydzień, z wizytą u przyjaciela. Tak samo podczas wydarzeń w Nowym Jorku w Block 122, tej samej nocy, kiedy zginęła Aggie, i na imprezie, kiedy zginął

Landon Schlessinger.

- Wiedziała! — powiedziała triumfalnie Bliss.

-Jeszcze coś: Kingsley jako ostatni odwiedził Summer Amory. Według Olivera plotki głoszą, że chodzili ze sobą. Czyli był na miejscu wszystkich zbrodni. Ale nie jestem pewna, to może być przypadek. Mnóstwo błękitnokrwistych dzieciaków chodzi do letniej szkoły w Hotchkiss, jeździ do Choate, było tamtego wieczora w Block 122 i znało Landona Schlessingera. A Summer Amory umawiała się z wieloma chłopakami. Jestem pewna, że gdybyśmy poszukali, znaleźlibyśmy także inne osoby, które pasują do schematu.

- Nie, to musiał być on. Jestem pewna - oświadczyła stanowczo Bliss,

- Powiesz ojcu?

- Raczej nie. Jest kimś w rodzaju doradcy Martinów. Znaczy.,,

- Ja powiem Lawrenceowi - zaproponowała Schuyler. -Będzie wiedział, co robić.

Kiedy Schuyler przedstawiła przy obiedzie całą kwestię, łącznie z podejrzeniami Bliss i obciążającymi dowodami, dziadek zaledwie podniósł wzrok znad swojego steku z rostbefu.

- Interesujące - stwierdził roztargnionym głosem.

- Interesujące i tyle? - zapytała zdumiona jego reakcją Schuyler. - Ale nie uważasz, że może być coś na rzeczy?

Lawrence pociągnął łyk wina z kieliszka.

- Możliwe,

To było wszystko, co miał w tej sprawie do powiedzenia, i tego wieczora Schuyler nie zdołała z niego wydobyć nic więcej.

by Hazaja

www.chomikuj.pl/Hazaja

CZTERDZIEŚCI JEDEN

W ramach dochodzenia w sprawie incydentu w Repozytorium Komitet zdecydował się na publiczne przesłuchanie wszystkich świadków ataku. Przesłuchanie odbywało się w jednej z największych sal sądowych pod Repozytorium. Członkowie Rady siedzieli w rzędzie na wysokim podeście, twarzami do publiczności. Charles Force zajmował centralne miejsce, zaś Lawrence'a Van Alena posadzono jak najdalej z prawej strony, gdzie zajął się od razu swoim cygarem.

Obradom przewodniczył nowy Dowódca Straży, Edmund Oerlich, w życiu prywatnym słynny historyk sztuki i właściciel galerii. Z boku znajdował się mniejszy podest, na który wzywani byli świadkowie, a przed nim stał inkwizytor, czyli oficjalny prokurator z ramienia Komitetu.

Miejsca na sali były zapełnione przez niemal wszystkie rodziny błękitnokrwistych, a napięcie rosło w miarę jak Schuyler, Jack, Bliss i Oliver jedno po drugim przedstawiali swoją wersję

wydarzeń. Zebrano ich w pierwszym rzędzie. Siedząca obok brata Mimi wciąż czekała na swoją kolej. Denerwowała się przed przesłuchaniem, ale doszła do wniosku, że jakoś zdoła się wyłgać. Ostatecznie w najmniejszym stopniu nie zależało jej przecież na zranieniu Bliss czy śmierci Priscilli Dupont! Ten stary babsztyl w ogóle jej nie obchodził. To był po prostu nieszczęśliwy wypadek. Na pewno to rozumieją, prawda? Skoro nie miała motywu, nie domyśla się, że jest winna. Wyciągnęła rękę, ujmując dłoń brata, który ścisnął ją ciepło.

Inkwizytor wezwał Kingsleya Martina.

- Proszę podać imię i nazwisko do protokołu.

- Kingsley Drexel Martin.

- I stanowisko.

Stanowisko? Mimi uniosła brwi. O co tu chodziło?

- Jestem Poszukiwaczem Prawdy. *Ventas Venator*. Zostałem wezwany przez Komitet, aby przeprowadzić dochodzenie w sprawie śmierci sześciorga błękitnokrwistych: Aggie Carondolet, Dylana Warda, Summer Amory, Natalie Getty, Landona Schlessingera i Graysona St. Jamesa.

Przez tłum przetoczył się pomruk. Starsi błękitnokrwieści wiedzieli, że venatorzy, elitarny oddział tajnej policji Komitetu, są nieustraszonymi wojownikami, chroniącymi błękitnokrwistych przed niebezpieczeństwami i wykryciem.

- A zlecona misja? — Zostałem przysłany do szkoły Duchesne, aby zebrać dowody pozwalające na wykrycie wroga - powiedział spokojnie Kingsley.

Kolejny pomruk, tym razem bardziej podekscytowany. Venator został wysłany do jednego z ich najbezpieczniejszych sanktuariów - Duchesne! Czemu Komitet rozkazał potężnemu zabójcy szpiegować dzieci w szkole?

- Kim byli podejrzani?

- Madeleine Force. Bliss Llewellyn. Schuyler Van Alen. Tym razem wśród zgromadzonych rozległy się stłumione

okrzyki zdumienia. Kingsley był tajnym agentem! Współczesnym Johnnym Deppem z *21*

Jump Street, przebrany wampirem, pracującym wśród nastolatków.

Schuyler gapiła się na Kingsleya całkowicie zaskoczona, Bliss nie mogła powstrzymać śmiechu, a Mimi tylko zgrzytnęła zębami. Cholerny sukinsyn.

- Co ustalono w trakcie śledztwa?

- Natychmiast skreśliłem Schuyler Van Alen. Padła ofiarą dwóch ataków srebrnokrwistego i nie wykazywała żadnych objawów zainteresowania mroczną wiedzą. - Kingsley wyjął z kieszeni kurtki mały notesik i zaczął go przeglądać.

- Bardziej podejrzana wydawała się Bliss Llewellyn. Skarżyła się na koszmary i zwidy, podobne do tych, na jakie cierpiała przed zaginięciem Maggie Stanford. Jednak w związku z tymi zwidami doszedłem do wniosku, że Bliss jest prawdopodobną ofiarą, ale nie sprawcą.

- A Madeleine?

- Ustaliłem, że Madeleine Force wspiera srebrnokrwistego, który atakuje naszą społeczność — powiedział Kingsley niemal obojętnym głosem.

- Cisza! Cisza na sali! - upomniał Dowódca Straży, ponieważ tłum okazywał coraz większy gniew i rozgorączkowanie. Kilkoro wampirów wstało ze swoich miejsc, a zeznania Kingsleya zostały przyjęte syczeniem i buczeniem. Mimi Force - córka Regisa współniczką srebrnokrwistego? Czy to jakieś kpiny?

- Jakie są dowody? - zapytał Dowódca Straży ze swojego podestu.

- Wyraziła chęć poznania mrocznej wiedzy. W szczególności pragnęła dowiedzieć się, w jaki

sposób przeprowadzić *incantation demonata*. Wezwanie srebrnokrwistego.

- W jakim celu zamierzała to uczynić?

- Powiedziała, że chce zniszczyć wroga - odparł Kingsley patrząc wprost na Mimi.

Mimi zadrżała na swoim miejscu. Kłamstwa, kłamstwa. To wszystko kłamstwa! Przestań gadać!

Zamknij się! Zamknij się! Byłeś moim przyjacielem! Zdrajca!

- Czyli Bliss Llewellyn. -Nie.

- Nie? - Inkwizytor wyglądał na lekko zaskoczonego. -Nie.

- Kto więc miał być celem?

- Schuyler Van Alen. Wśród publiczności znowu podniósł się gniewny gwar. Schuyler zastygła w bezruchu. Więc nie miała paranoi - Mimi naprawdę chciała ją zniszczyć.

Przypomniała sobie sen, w którym jej matka przebudziła się i przemówiła do niej. Co miała do powiedzenia Allegra? *Strzeż się*.

- Dlaczego pozwoliłeś jej przeprowadzić inkantację? - zapytał Dowódca Straży.

— Potrzebowałem dowodów. Sądziłem, że będę mógł to kontrolować, zatrzymać ją w odpowiednim momencie. Ale nie mogłem. Było oczywiste, że musiała to robić wcześniej.

Wiele razy.

- Dziękuję, venatorze.

Kingsley zszedł z podestu. Teraz, kiedy jego tożsamość stała się znana, wyglądał na znacznie starszego; arogancki dorastający chłopak okazał się tylko maską, zaledwie pozą. Ponury, wrócił na swoje miejsce w pierwszym rzędzie, obok uczniów Duchesne, którzy odsunęli się z szacunkiem.

— Oskarżenie wzywa na świadka Charlesa Force'a — oznajmił Dowódca Straży.

Przewodniczący zgromadzenia zszedł ze swojego miejsca na niższy podest. Jego własna córka miałaby pomagać srebrno-krwistemu! Na jego twarzy malował się wstyd. Srebrne włosy w świetle wydawały się białe, a pod oczami widniały głębokie cienie. Wyglądał jak załamany człowiek, nie jak niestrudzony przywódca wampirów.

— Proszę podać imię i nazwisko do protokołu.

- Charles Van Alen Force.

- Czy byłeś świadkiem, jak twoja córka korzysta z zaklęć czarnej magii?

- Tak, tak, ale... - Charles Force wytarł czoło jedwabną chustką.

— Inkantację. Zakazane zaklęcia.

— Tak, ale...

- To wszystko. Dziękuję - przerwał jego zeznania inkwizytor.

Charles wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale się zamarzył mu na ustach. Wrócił na swoje miejsce w Radzie, zgaszony i zniechęcony.

Nikt z członków Rady nie odważył się obdarzyć go choćby przelotnym spojrzeniem, a na sali dały się słyszeć buczenia i syczenie.

- Ostatecznym dowodem obciążającym Mimi Force będzie Znak. Jak sądzę, znajdziemy go na jej karku — oznajmił inkwizytor.

- To po prostu śmieszne. Nie mam Znaku Lucyfera, tak jak żadne z nas — Mimi wzruszyła ramionami. Miała ochotę krzyknąć. To jakaś parodia. Wrobiono ją!

- Podnieś, proszę, włosy - polecił Dowódca Straży. Mimi zebrała i uniosła włosy. Wcześniej robiła to przy Nan

Cutler, kiedy ta przyszła ją sprawdzić. Nic się wtedy nie stało i była pewna, że została oczyszczona z zarzutów. Od strony Rady dobiegł ją gorączkowy pomruk.

- Co jest? *Twoja szyja, Mimi, masz coś na szyi. Jack, nie strasz mnie.*

Czubkami palców dotknęła karku. Wypukłość na skórze. Tatuaż. Bardziej jak blizna po oparzeniu, jak piętno.

Wyrok zapadł szybko i jednogłośnie. Mimi została uznana winną spiskowania ze srebrnokrwistym. Miała zostać zabrana do ich starożytnego więzienia w Wenecji, gdzie jej krew miała być spalona, a pamięć zniszczona, bez nadziei na reinkarnację.

Ustalono milion dolarów kaucji, które jej ojciec wpłacił natychmiast, aby Mimi pozostała pod jego dozorem.

Mimi spojrzała na Jacka. *To nie może być prawda... Nie zrobiłam tego. Wiesz, że nie zrobiłam.*

Wiem, wiem. Jack objął siostrę ramieniem, ale jego twarz ściągnęła się z niepokoju. Sytuacja stała się dramatyczna. Mimi miała spłonąć!

Bliźniaki Force czekały, aż Charles zejdzie do nich z podestu. Nadal miał tę samą pustkę w oczach i szok wypisany na twarzy.

- Ojczy, co mamy teraz zrobić? — spytała Mimi. — Na pewno...

- Nic nie można zrobić... — powiedział z rozpaczą w głosie Charles Force.

-Nic?

- Istniał tylko jeden sposób, aby obalić dowód, jakim jest Znak Lucyfera. Musiałabyś poddać się jeszcze starszemu rytuałowi. Próbie krwi. Ale tylko Gabriela — Allegra Van Alen - mogłaby ją przeprowadzić.

- Gabriela? - zapytała Mimi, czując, że traci nadzieję. - Tak.

Jakby to mogło jej w czymś pomóc. Allegra leżała w śpiączce, z której nigdy się nie obudzi,

- Więc nie ma sposobu, żeby udowodnić moją niewinność? - spytała Mimi.

- Nie ma.

CZTERDZIEŚCI DWA

Obecna na przesłuchaniu publiczność rozproszyła się po Repozytorium, a Schuyler czekała przy wyjściu na dziadka. Oliver wyszedł szybciej, twierdząc, że musi być na po-południowym sprawdzianie z trygonometrii. Specjalne zwolnienie ze szkoły dostali tylko na poranne przesłuchanie i Schuyler wiedziała, że powinna z nim wrócić, ale chciała usłyszeć, co Lawrence myśli o tym wszystkim.

Wyszedł z pokojów Rady w towarzystwie Edmunda Oelricha i Nan Cutler.

— Pozwolisz, że się pożegnamy, Lawrence — skinął głową Edmund. — To straszne, co przytrafiło się naszej społeczności.

— Zapewniam cię, że możesz liczyć na nasze głosy — Nan dotknęła jego ramienia. —

Powinniśmy posłuchać cię czterysta lat temu. Pomyśleć, że Obrzydliwość dosięgła rodziny królewskiej!

— Dziękuję — skinął głową Lawrence. Spojrzał na Schuyler. — I co teraz myślisz o Kingsleyu Martinie?

Ruszyli w górę schodami, kierując się do bocznych drzwi prowadzących do otwartego tylko dla wampirów klubu Błock 122 i dalej, na ulicę.

— Więc przez cały czas chodziło o Mimi - zastanawiała się Schuyler. - Mimi...

Nadal trudno jej było w to uwierzyć, zwłaszcza w świetle wcześniejszych podejrzeń wobec Kingsleya.

— Wiedziałaś, że Kingsley jest venatorem?

— Tak — potwierdził Lawrence.

Schuyler przypomniała sobie, co Kingsley powiedział tamtego ranka do Jacka. Bylibyście

niczym bez nas, bez naszego poświęcenia.

—Ale miałaś rację, wnuczko. Jest też srebrnokrwistym — powiedział Lawrence, przywołując Juliusa siedzącego za kierownicą lincolna.

— Jak to? -f Schuyler skorzystała z przytrzymanych przez Lawrence^ drzwi i wsiadła do środka.

— Pochodzi z rodu starożytnych wojowników. Zostali skażeni przez samego Lucyfera. Ale powrócili między błękitnokrwistych, żałując za swoje czyny, i nauczyli się kontrolować Obrzydliwość, głód, głosy w głowach - wyjaśnił Lawrence, zamykając drzwi.]; - Juliusie, do Duchesne. Najpierw podwieziemy Schuyler, a po-i tern wrócimy do domu - dodał, stukając w szklaną przegrodę! oddzielającą szofera od pasażerów.

Ruszyli ulicami Chelsea do West Side Highway. Trwał kolejny szary, nowojorski dzień. - Ale dlaczego im ufamy?

- Ufaliśmy im od tysięcy lat. Kingsley Martin jest srebrnokrwistym tylko z nazwy. Jego krew jest równie błękitna jak twoja czy moja. Wyrzekli się powiązań z Lucyferem i odnieśli wielkie zasługi w poszukiwaniach spiskowca - westchnął Lawrence. — A jednak...

- A jednak?

- A jednak... coś w tym wszystkim nie daje mi spokoju. Naprawdę uważasz, że Mimi Force jest winna?

- Tak - odparła bez wahania Schuyler. — To okropna osoba.

- I z pewnością świadomość, że byłaś jej celem, jest bardzo nieprzyjemna. Ale...

- Ale co?

- Ale jeśli ty byłaś celem, dlaczego ofiarą padła Priscilla? I ta dziewczyna Llewellynów? Coś tu nie pasuje.

Schuyler wzruszyła ramionami. Może nie powinna wydawać pospiesznych sądów, ale przecież tak zdecydował Komitet? Nie mogła się zmusić, żeby współczuć siostrze Jacka. Jak by nie patrzeć, Mimi wysłała srebrnokrwistego, aby ją zabił.

- Słyszałeś, co mówił Kingsley. A on jest venatorem. Czy to nie znaczy, że musi mówić prawdę? Zawsze?

- Tak. - Lawrence skinął głową. - Charles im ufał. To on zwerbował ich z powrotem w nasze szeregi. Ale ja nie jestem pewien. Zawsze żywiłem pewne wątpliwości co do Martinów, Samochód podjechał pod bramę Duchesne. Schuyler pocałowała dziadka w policzek i wysiadła.

- Twoja babka zawsze powtarzała, że nie wolno ufać błyszczącym powierzchniom. Skrywają wiele usterek.

Wchodząc do szkoły, Schuyler wpadła na Jacka Force'a, który szedł od strony bocznego wejścia. Nadal miał na sobie szary garnitur, który nosił na przesłuchaniu, a jego oczy były zaczerwienione jakby płakał. Schuyler poczuła ukłucie żalu. Nie przejmowała się zbytnio losem Mimi, ale widok Jacka przypominał jej, że nie wszystkim ta sprawa była obojętna.

— Wiesz, że tego nie zrobiła — powiedział natychmiast. Schuyler poczerwieniła, myśląc, że przecież Mimi chciała ją

zniszczyć! Tak brzmiały jej własne słowa. Odparła więc chłodno:

— Sąd uznał inaczej.

— Mimi jest samolubna... ale nie jest zła — przekonywał Jack. Zadzźwięczał popołudniowy dzwonek, oznajmiając koniec przerwy na lunch i początek lekcji. Uczniowie zaczęli wylewać się z kafeterii, biegli schodami i tłoczyli się w marmurowym holu, gdzie stali Jack i Schuyler.

Niektórzy zaczęli szeptać do kolegów, widząc ich pogrążonych w rozmowie. Część spośród tych obecnych na przesłuchaniu patrzyła na Jacka ze współczuciem, w spojrzeniach innych była

niechęć, a ktoś nawet syknął na jego widok. Na popołudnie zwołano nadzwyczajne zebranie Komitetu, aby poinformować młodszych członków o najnowszych postanowieniach.

— Nigdy naprawdę nie skrzywdziłaby innej osoby - Jack na| dał bronił swojej siostry. — To nie tak, że ciebie nienawidzi. To nie tak. — Żałował, że nie może wyjaśnić. *To nie ciebie nienawidzi, Schuyler, tylko mnie. Po prostu skierowała wściekłość na zewnątrz, ponieważ nie potrafi znienawidzić kogoś, kogo kocha. A nienawidzi mnie za to, co zrobiłem — za to, że cię pokochałem.*

Schuyler popatrzyła na niego sceptycznie, ale nie odezwała się. Mimi Force. Azrael. Anioł Śmierci? Czy nie takie było zajęcie Mimi? Przynosić kres życia? Ku jej zdumieniu Jack najwyraźniej zdołał odczytać jej myśli,

— Nie rozumiesz, to wszystko kwestia równowagi. Jesteśmy tym, kim jesteśmy. Śmierć stanowi po prostu część życia. Dar dla czerwonokrwistych. Mimi jest częścią wielkiego planu

— powiedział.

— Nie jestem pewna — Schuyler wzruszyła ramionami. — Na razie, Jack.

CZTERDZIEŚCI TRZY

Ślęczący nad dokumentami z Repozytorium Lawrence zauważył, że jeden wycinek spłonął do szczętu - pozostała tylko data na górze strony, 23 listopada 1872. Kiedy się nad tym zastanawiał, Schuyler wróciła ze szkoły. Powiedziała mu, że Jack Force potrafił odczytać jej myśli.

- Myślałam, że chronię się przed telepatią, ale jemu się udało. Dlaczego? - zapytała.

- Abbadon zawsze był jednym z naszych najlepszych jasnowidzów - odparł Lawrence. -

Potrzeba czegoś więcej niż zwykłego *occludo*, aby zamknąć przed nim umysł. Ale zdarza się też, że osoby, które są blisko, doświadczają czegoś nazywanego pokrewieństwem dusz.

- Są blisko? — zdziwiła się Schuyler.

- Musiałas zauważyć, że go ciągnie do ciebie - stwierdził. Schuyler zarumieniła się. Żywiła w duszy taką nadzieję, ale

nigdy nie sądziła, że tak jest w rzeczywistości. A jednak, mimo więzi z Mimi, pragnął się z nią przyjaźnić i dawał do zrozumienia, że może byłby zainteresowany czymś więcej...

Pocałował ją raz, dawno temu. Ten chłopak w masce... Czy to mógł być on?

— Przecież łączy go więź z Mimi — odparła. — To niemożliwe.

— Teoretycznie nie. Nie w naszym rodzaju. Ale Abbadon zawsze taki był. Nie jesteś pierwszą osobą, która stawia pod znakiem zapytania jego wierność — wyjaśnił Lawrence. —

Ale to minie. Dzięki Bogu, ciebie nie ciągnie do niego. To by oznaczało dla was nieszczęście.

Patrzyła w dywan, zastanawiając się, czy dziadek ją sprawdza, czy po prostu zakłada, że Schuyler wybierze właściwą drogą dlatego tylko, że jest jego wnuczką.

— Tak — odpowiedziała. — Dzięki Bogu. Poczula nagły zawrót głowy, a świat przed oczami stał się

rozmazany i ziarnisty. Kolana się pod nią ugięły, ale zanim zdążyła upaść, Lawrence zerwał się i pochwycił ją.

— Nie zrobiłaś tego, o czym ci mówiłem — powiedział ponuro. - Nie wzięłaś familianta.

Słabniesz.

Potrząsnęła głową.

— To nie błahostka, Schuyler. Jeśli nie znajdziesz familianta, naprawdę zapadniesz w śpiączkę, jak twoja matka.

-Aleja...

Lawrence przerwał jej szorstkim rozkazem.

— Musisz zapolować, wykorzystać uwiedzenie. Wezwanie. To w tej chwili jedyny sposób.

Caerimonia osculor była rytuałem łączącym wampira i człowieka, zazwyczaj stanowiącym przedłużenie istniejącej relacji.

Dlatego familianci byli tradycyjnie kochankami i przyjaciółmi błękitnokrwistych. Ale Kodeks w ostateczności dopuszczał także wykorzystanie daru uwiedzenia. Wampir wysłał

Wezwanie, przyciągające do niego człowieka, hipnotyzował go i wypijał jego krew.

- Nauczyłem cię odpowiednich słów ze świętego języka - powiedział Lawrence. —

Wieczorem idę do klubu. Liczę, że zanim wrócę, zrobisz, co jest konieczne.

Niedługo później dziadek wyszedł, zostawiając Schuyler w jej pokoju na górze. Nie chcę, pomyślała z uporem. Nie chcę tego robić z kimś obcym. Nie chcę tego robić z kimś, kogo nie znam. Nie wiem. Nie jestem aż tak zdesperowana! Czy może jestem?

W tym momencie, jakby odpowiadając na wezwanie, ktoś zastukał do drzwi sypialni.

- Tak, Hattie? — zapytała Schuyler. Drzwi otworzyły się.

- To nie Hattie, to ja - Oliver opierał się niedbale o framugę.

- Nie słyszałam, żeby ktoś otwierał drzwi wejściowe. Co tu robisz? — zapytała nieufnie Schuyler.

- Twój dziadek powiedział mi, że chcesz, żebym wpadł — wyjaśnił Oliver.

Aha. Czyli Lawrence użył własnego wezwania. Tyle, że do tego celu potrzebował zaledwie telefonu. Bardzo sprytnie, dziadku, pomyślała Schuyler.

Oliver wszedł i przysiadł na komodzie naprzeciwko łóżka Schuyler. Popatrzył na nią zamyślony.

- Tak myślałem... Jeśli dalej chcesz to zrobić, możemy spróbować.

- Serio? -No.

- Tutaj? — Schuyler rozejrzała się po pokoju, plakatach *Evanescence*, różowym domku Barbie, rzędach okładek „Playbill” — *Rent*, *Avenue Q*, *The Boy from Oz* — przyklejonych na ścianach w okresie, kiedy Cordelia regularnie chodziła z nią na broad-wayowskie musicale.

To nadal była sypialnia dziecka, z seledynowymi ścianami. Nie przypominała kryjówki wampira.

- Miejsce dobre jak każde inne — wzruszył ramionami Oli[^] ver. — Poza tym oszczędzę sobie wydatków na hotel.

- Jesteś pewien? - Schuyler wzięła go za rękę.

- Tak - odetchną! głęboko. - Wiem, co się z tobą stanie, jeśli tego nie zrobisz, a tak między nami mówiąc, wolałbym, żebyś nie zostawała warzywem. Nie znoszę warzyw — zażartował.

— Szczególnie brokułów... Więc jak... Powinienem stanąć? Czy...

Wstał i rozejrzał się. Był o wiele wyższy od niej.

- Nie, usiądź - Schuyler łagodnie pociągnęła go na łóżko. — Inaczej nie dosięgnę.

Spojrzał na nią, kiedy stanęła obok. Pomyślała, że nigdy jeszcze nie wyglądał tak przystojnie ani tak bezbrannie. Oliver zamknął oczy.

- Bądź delikatna.

Schuyler pochyliła się, całując zagłębienie u nasady jego szyi, a potem, tak delikatnie jak zdołała, wysunęła kły i wbiła je.

Oliver syknął przez zęby, jakby z bólu.

— Mam przestać?

— Nie... Nie przerywaj... — machnął ręką.

— Nie boli cię?

-Nie... To jest... przyjemne - wyszeptał. Położył rękę na jej głowie i przyciągnął ją znowu do

siebie.

Schuyler zamknęła oczy i zatopiła głębiej kły w jego szyi. W tym momencie jej zmysły wyostrzyły się, a jego umysł otworzył się przed nią. Pamięć krwi napłynęła do niej. Było tak, jak mówiła Bliss: pożerała jego duszę, jego istnienie... i co widziała? Jego umysł był dla niej w tym momencie otwartą księgą, jego krew mieszała się z jej krwią, przynosząc życie... i mogła odczytać każdą myśl z jego życia... zobaczyć każde wspomnienie.

Oliver był w niej zakochany.

Kochał ją od zawsze. Od kiedy się spotkali. Przez te wszystkie długie lata.

Od dawna to podejrzewała, ale starała się o tym nie myśleć. Ale teraz miała potwierdzenie.

Nie mogła temu zaprzeczyć.

Och, Ollie. Nie powinnam tego robić — pomyślała z rozpaczą. Święty pocałunek mógł tylko spotęgować jego miłość, nie stłumić ją.

Teraz byli związani w nowy i bardziej skomplikowany sposób.

To było więcej, niż się spodziewała. Teraz wiedziała, że ich przyjaźń będzie zagrożona. Nie było już odwrotu. Mogli tylko iść dalej. Wampir i familiant Związani starożytnym rytuałem krwi.

Skończyła. Była nasycona. Schowała kły, czując życiodajną energię płynącą przez jej ciało.

Czuła się, jakby wypijała dziewięćdziesiąt litrów wysokooktanowej kawy. Jej policzki nabrały kolorów, a oczy lśniły.

Głowa Olivera opadła bezwładnie, zdążył już zasnąć. Schuyler ostrożnie położyła go na łóżku, gdzie musiał odpocząć przez kilka godzin, i przykryła kołdrą.

Co ja zrobiłam? - zastanawiała się. Czy uda się to ukryć przed Komitetem? A co, jeśli Oliver zostanie wygnany, ponieważ dowiedzą się, że zausznik został familiantem? Przypomniała sobie, jak Cordelia mówiła, że Allegra złamała Kodeks Wampirów, poślubiając swojego familianta, ojca Schuyler. Jej matka zrezygnowała z jednej więzi na rzecz innej.

A co z Jackiem?

Kiedy Oliver się obudził, Schuyler siedziała przy biurku, patrząc na niego.

- No cóż — powiedział, drapiąc szyję w miejscu, gdzie widoczne były świeże ślady po ukąszeniu. - To się chyba nazywa przyjaźnią z bonusem.

Wybuchnęli śmiechem.

Schuyler rzuciła w Olivera poduszką. Odprowadziła go do drzwi i jeszcze raz podziękowała.

Na pożegnanie pocałował ją w usta. Był to szybki pocałunek, ale mimo wszystko w usta.

Zamknęła za nim drzwi, a jej serce wypełniły niepokój i troska.

To był błąd.

CZTERDZIEŚCI CZTERY

Pokój szpitalny Allegry Van Alen znajdował się na najwyższym piętrze kompleksu Columbia Presbyterian, w prywatnym skrzydle, gdzie wracali do zdrowia bogaci i sławni. Był

umeblowany w stylu przypominającym apartamenty w najlepszych hotelach w mieście, z białą włoską pościelą, kosztownymi dywanami i kryształowymi wazonami pełnymi świeżych kwiatów. Każdego dnia zespół pielęgniarek masował i poruszał kończynami Allegry, aby uchronić jej mięśnie przed zanikaniem.

Ale Allegra tego nie zauważała. Niegdyś jedna z najstojniejszych piękności w mieście, spała, obojętna na otaczający ją świat: kobieta o wspaniałej i tragicznej przeszłości, ale bez przyszłości. Monitor przy jej łóżku pokazywał stały puls, a przez większość czasu jedynym dźwiękiem w pokoju było miarowe pikanie maszyny.

Lawrence Van Alen usiadł na krześle naprzeciwko łóżka Allegry. Przyszedł odwiedzić córkę po

raz pierwszy od powrotu.

Odkładał tę wizytę, ponieważ wiedział, jak ciężki dla niego będzie widok jego własnego dziecka w tak żalonym stanie.

— Jak to się mogło stać, Gabrielo? — powiedział wreszcie.

— Nie słyszy cię — odezwał się Charles Force, wchodząc do pokoju. Niósł następny wazon z kwiatami, który postawił na szafce przy łóżku. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego widokiem Lawrence'a.

— Nie chce nas słyszeć - sprostował Lawrence. - To twoje dzieło.

— Ja niczego nie zrobiłem. Sama za to odpowiada.

— Tak czy inaczej, ponosisz za to winę. Gdybyś nie...

— Chcesz powiedzieć, że gdybym nie uratował jej we Florencji? Gdybym pozwolił, żeby bestia ją dopadła? Wtedy nie zapadłaby w śpiączkę? Ale jaki miałem wybór? Pozwolić jej umrzeć? Co miałem zrobić? Powiedz mi, ojcze.

— To, co zrobiłeś, było wbrew prawom wszechświata. Nadszedł czas, Michale. Powinna była odejść.

— Nie mów mi o czasie. Nie masz pojęcia, co się wydarzyło. Nie było cię tam — odparł gorzko Charles.

Położył dłoń na policzku Allegry i pogładził delikatnie.

— Pewnego dnia się obudzi. Obudzi się z miłości do mnie.

— To smutne, że nadal tego nie rozumiesz. Ona nigdy nie będzie cię kochać tak, jak wcześniej. Sama nie rozumiała do końca wyborów, jakiego dokonała. Powinieneś pozwolić jej umrzeć. Ona nigdy ci nie wybaczy.

Ramiona Charlesa Force'a zdrząły.

— Dlaczego mówisz do mnie, jakbym wciąż był dzieckiem?

Ona opuściła Niebiosa tylko z miłości do ciebie i Cordelii, po tym, jak zostaliście wygnani.

- Tak. Zostaliśmy potępieni, my, którzy byliśmy wierni Lucyferowi. Ale twoja siostra przyniosła nam nadzieję. Z własnej woli stała się jedną z nieumarłych.

- A ja z własnej woli podążyłem za nią.

Lawrence zadumał się nad starożytną historią. Jak dawno temu to było: Lucyfer zasiadający na tronie, Księżę Niebios w całej swej chwale, jego jasno lśniąca gwiazda równie piękna jak słońce, równie potężna jak Bóg. Tak myśleli — na swoją zgubę. Ich cierpienie. Okrutne wygnanie z Raju i Gabriela, Pełna Cnót, która zaofiarowała się dołączyć do popleczników Lucyfera, aby przynieść swym pobratymcom nadzieję i ocalenie. Z miłości do nich opuściła Niebiosa, a Michał podążył za nią, ponieważ nie mógł znieść rozłąki. Byli nazywani Tymi Bez Skazy, ponieważ nie ciążył na nich grzech ani kara wygnania. Odeszli z Raju na własne żądanie. Z miłości i poczucia obowiązku.

- A więc wygrałeś, Lawrensie. Po tylu latach masz wreszcie to, czego chciałeś.

Zgromadzenie.

Tego ranka odbyło się białe głosowanie i Lawrence niemal jednogłośnie został wybrany na Regisa. Charlesa niezwłocznie pozbawiono tytułu i pozycji. Skazanie Mimi poważnie nadszarpięło jego reputację. Złożył rezygnację ze stanowiska w Radzie natychmiast po ogłoszeniu tej wiadomości.

- Nigdy nie chciałem zająć twojego miejsca, Charlesie. Chciałem tylko, żebyśmy byli bezpieczni.

- Bezpieczni? Nikt nie jest bezpieczny. Zasierasz tylko strach i słabość. Sprawisz, że znowu uciekniemy. Z powrotem do cienia. Z powrotem w ciemność, gdzie będziemy się kryć jak zwierzęta.

- To nie ucieczka, tylko manewr strategiczny, pozwalający nam się przygotować. Ponieważ

zbliża się wojna, a tym razem nie możesz niczego zrobić, aby ją powstrzymać.

Srebrnokrwieści powracają i przyszłość tego świata musi się zdecydować raz na zawsze.

Charles Force nie odpowiedział. Podeszedł do okna i spojrzał na rzekę Hudson. Powolna barka sunęła po powierzchni, słychać było krzyki samotnej mewy.

- Ale ja mam nadzieję. Zostało powiedziane, że córka Allegry pokona srebrnokrwistych.

Wierzę, że Schuyler przyniesie nam poszukiwane ocalenie - powiedział Lawrence. — Jest niemal tak potężna jak jej matka. — Opowiedział Charlesowi; o niezwykłym talencie Schuyler. - A pewnego dnia będzie jeszcze potężniejsza.

- Schuyler Van Alen... Mieszaniec? — zastanowił się Charles. — Jesteś pewien, że to o nią chodzi?

Lawrence skinął głową.

- Bo przecież Allegra miała dwie córki - rzucił Charles lekko, niemal z rozbawieniem. — Z pewnością nawet ty o tym nie zapomniełeś.

CZTERDZIEŚCI PIĘĆ

Potępienie Mimi, czyli formalna procedura jej e g zekucji, miało się odbyć w okresie marcowych ferii w Duchesne, więc mogła udawać, że jej rodzina wyjeżdża po prostu na urlop do Wenecji. Perspektywa tego, co ma się wydarzyć ~ spalenie krwi, jej całkowite zniszczenie

- wydawała się kompletnie absurdalna.

Wierzyła, że ojciec znajdzie jakiś sposób, aby uchronić ją przed takim losem i spędziła lot z Nowego Jorku na przeglądaniu magazynów mody i zaznaczaniu ciuchów, które zamierzała kupić po powrocie do miasta. Ale kiedy wylądowali w Wenecji, brawura Mimi zaczęła pękać.

Szczególnie gdy członkowie Rady eskortowali ich do hotelu. Udali się także do starego więzienia, aby być świadkami ostatnich przygotowań.

Trudno jej było uwierzyć w śmierć i spłoniecie, kiedy siedziała w wygodnej sypialni, gdzie mogła na TiVo oglądać *My Super Sweet Sixteen* i *Tiara Girls*. Ale gdy postawiła stopę na mokrych weneckich chodnikach, powróciły echa przeszłości, a w jej wspomnieniach pojawiły się obrazy polowania: śmierć dla wrogów błękitnokrwistych, czarne płaszcze potępienia noszone przez skażonych zdrajców, krzyki skazanych. Mimi wzdygnęła się.

Zgodnie z tradycją oskarżony powinien dobrowolnie udać się do więzienia. W wieczór ich przybycia Mimi opuściła hotel, pokonując historyczną drogę przez Most Westchnień, którym wcześniej przechodziły tysiące błękitnokrwistych więźniów.

Most nazwano tak, ponieważ był to ostatni punkt, z którego skazani mogli popatrzeć na miasto. Wkroczyła na niego lekko. Jack szedł u jej boku, milczący i ponury. Kilka kroków za nimi podążała procesja Starszych i Strażników z Rady. Mimi słyszała ciężkie kroki mężczyzn i lekkie stukanie wysokich obcasów kobiet. - Przestań — powiedziała do brata. -Co?

Przestań się zachowywać, jakbym już była martwa. Nie zamierzam się poddawać.

Wysunęła podbródek, wyzywająco i nieugięcie.

—Ja się nie martwięj Muszą zauważyć, że zostałam wrobiona.?

— Nic cię nie załamie, co? — zapytał Jack z cieniem uśmiechu. Cieszyło go, że siostra jest równie nieznośna i pewna siebie, jak zawsze. Jej odwaga była godna podziwu.

— Drwię sobie ze Śmierci. W sumie przecież sama jestem Śmiercią.

Stali na środku mostu, przypominając sobie inny spacer, inny czas w ich wspólnej przeszłości. Szczęśliwsze wspomnienie.

Nagły pomysł zaświtał w głowie Mimi. Odwróciła się do brata. Stali naprzeciwko siebie, tak jak tyle wieków temu.

— Oddaję się tobie — wyszeptła, dotykając palcami jego palców. Były to święte słowa rozpoczynające ceremonię. To wszystko, czego wymagała więź. Wystarczyło, że powtórzy te słowa, zwracając się do niej, a więź zostanie odnowiona na nowe wcielenie. Na to wcielenie.

Jack przytrzymał delikatne dłonie siostry w swoich. Podniósł je do ust i pocałował namiętnie, mocno. Zamknął oczy i zacisnął rękę na drżących palcach, czując swoim umysłem jej miłość, jej pragnienie, jej całą duszę, czekającą w napięciu na jego odpowiedź.

- Nie. Jeszcze nie - westchnął, nadal trzymając ją mocno za rękę i otwierając oczy, żeby spojrzeć głęboko w jej oczy.

-Jeśli nie teraz, to kiedy? - zapytała, ze śladem łez w głosie. Tak bardzo go kochała. Należał do niej. Należała do niego. Tak było zawsze w ich rodzaju. Taka była ich nieśmiertelna historia.

- Czas może się dla mnie kończyć. Dla nas.

— Nie — w głosie Jacka zawierała się obietnica. — Nie pozwolę, żeby tak się stało. — Odwrócił wzrok.

Mimi z wściekłością zaplotła ręce i spojrzała na to, co go rozproszyło.

Kilka kroków za nimi szła Schuyler Van Alen ze swoim dziadkiem. Litości! Czy ta przekłeta dziewczucha nie mogła zostawić jej w spokoju? Wygrała przecież, prawda?

- Zaczekaj - poprosił Jack. - To nie tak, jak myślisz. Muszę pomówić z Schuyler.

Mimi patrzyła, jak Jack podchodzi do jej rywalki. Czy nawet w noc swojego potępienia nie mogła mieć chwili spokoju?

Schuyler była zaskoczona, kiedy Jack Force pojawił się przed nią. Przyjechała z Lawrence'em do Wenecji na życzenie dziadku. Myśl o tym, że będzie świadkiem końca Mimi Force nie cieszyła jej, chociaż podobnie jak Mimi nie potrafiła uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

- Wiesz o próbie krwi - powiedział Jack.

Skinęła głową.

—Tak. Dziadek powiedział mi, że to jedyny sposób, aby ustalić, co wydarzyło się tamtego wieczora. Jedyny sposób, aby podważyć wyrok wydany przez Radę.

Schuyler nie powiedziała natomiast, że Lawrence wyjawiał jej jeszcze coś o próbie krwi.

Dziadek wtajemniczył ją w trakcie! wampirzych lekcji w historię matki i przyznał, że Gabriela była jedynym wampirem o takiej umiejętności: jako jedna z najwyższych rangą venatorów umiała odróżnić prawdziwą pamięć i krwi od fałszywej.

—Jesteś córką Allegry, mogłaś odziedziczyć tę zdolność — wyjaśnił jej Lawrence. - Być może mogłabyś oczyścić z zarzutów Mimi Force.

- Ale dziadku - sprzeciwiła się Schuyler. - Ja nie... Ja nie mogę...

- Słuchaj mnie uważnie. Próba krwi oznacza, że musiałabyś i wypić krew Mimi, aby odkryć prawdę o tamtych wydarzeniach.

Tylko ci, którzy są Bez Skazy, mają zdolność odróżnienia prawdziwych wspomnień we krwi od fałszywych. Ale wiąże się z tym wielkie ryzyko: kiedy pijesz krew innego wampira, możesz ulec pokusie, jakiej ulegli srebrnokrwisci, zabić Mimi i zostać potępiona, stając się Obrzydliwością. To ryzyko, na którego podjęcie sama musisz się zdecydować.

- A jeśli tego nie zrobię? — spytała Schuyler.

- Wyrok zostanie wykonany.

Myśl o tym, że życie Mimi spoczywa w jej rękach, prześladowała Schuyler. Ryzykować swoje życie dla ocalenia wroga! Jak mogła zdecydować się na coś takiego? Odwiedziła matkę w szpitalu, szukając porady.

Allegra spała spokojnie na łóżku.

- Nie wiem, co mam zrobić. Jeśli tego nie spróbuję, Mimi umrze. Ale jeśli spróbuję, mogę stać się potworem... Powiedz mi, co mam robić, mamó. Pomóż mi.

Ale jak zwykle Allegra nie dała córce żadnego znaku.

A teraz Jack uważnie się jej przyglądał. Dlaczego jej o tym przypominał? Czy nie powinien być u boku siostry i pomóc jej zaakceptować to, co nieuniknione?

Jack rzucił okiem na Lawrence'a, który bacznie przyglądał się im dwojgu. Potem spojrzał ponownie na Schuyler.

- Jesteś córką swojej matki. Tylko ty możesz przeprowadzić próbę krwi.

Cofnęła się o krok.

Lawrence odchrząknął, ale nie odezwał się ani słowem.

- Lawrence, sam mówiłeś, że Schuyler została obdarzona mocami, jakich nikt z nas nie posiada. Schuyler, proszę. Błagani cię — Jack miał łzy w oczach. — To dla niej jedyna szansa. Oni naprawdę ją zniszczą.

Nagle Schuyler zrozumiała, jaka jest stawka. To nie kolejna rozgrywka Rady. To nie udawanie ani przedstawienie dla ich rozrywki. Przeprowadzili dochodzenie i ogłosili wyrok.

Kara została zapisana w *Księdze praw*. Przebyli ocean, wracając do Wenecji, do starożytnego więzienia, aby wykonać wyrok.

Mimi miała spłonąć.

Schuyler spojrzała niechętnie na Jacka. Twoja siostra chciała mnie zniszczyć! Chciała, żebym zginęła... Żeby dopadł mnie srebrnokrwisty! Jak mogę...

Ale wiedziała, co musi zrobić. To był znak, na który czekała. Spojrzała głęboko w pełne niepokoju, zielone oczy Jacka.

- Dobra - powiedziała, biorąc głęboki wdech. - Zrobię to.

CZTERDZIEŚCI SZEŚĆ

Egzekucja, poprzedzona formalnym odczytaniem wyroku, miała odbyć się w jednej ze starych sal w podziemiach Pałacu Dożów. Mimi Force została wyprowadzona na środek sali w kajdanach. Na ramiona miała narzucony czarny płaszcz, którego kaptur skrywał jej jasne włosy.

Rada Starszych stała wokół niej w półokręgu. Dowódca Straży kończył właśnie odczytywać sentencję, kiedy Lawrence wstrzymał dalsze postępowanie.

— Jako Regis mam podstawy, aby zażądać próby krwi, która obali lub potwierdzi ustalenia posiedzenia Rady.

— Próba krwi? — zapytał Edmund Oelrich, Dowódca Straży. — Przecież to niemożliwe.

Allegra nadal jest uśpiona, nieprawdaż?

Charles Force, siedzący w pierwszym rzędzie, obok syna, zerwał się na nogi.

— Popieram wniosek o próbę krwi.

- Lawrensie, czy to rozsądne? O czym ty mówisz? — spytał Nan Cutler.

- Córka Allegry, Schuyler Van Alen, *zgodzi się* przeprowadzić rytuał — Lawrence skinął na Schuyler, żeby wystąpiła naprzód.

- Ona jest półkrwi! — wykrzyknął Forsyth Llewellyn. — Zgłaszam sprzeciw! Skąd wiemy, że jest odpowiednią osobą?

- Córka Allegry? — spytał ktoś ze Starszych.

- Została obdarzona mocami daleko wykraczającymi poza przeciętność i jestem przekonany, że podoła temu zadaniu.

Rada naradziła się po cichu i ogłosiła odroczenie wykonania wyroku do czasu, aż rozważą nowy zwrot w sprawie na zamkniętym posiedzeniu. Kilka godzin później *członkowie* Rady

powrócili. Przemówił Dowódca Straży.

- Próba krwi zostanie przeprowadzona.

Mimi i Schuyler zostały zaprowadzone do małej celi obok sali sądowej. Lawrence poklepał Schuyler po plecach.

- Uważaj na siebie i pamiętaj, co ci mówiłem. Kiedy zostały same, Mimi ściągnęła z głowy kaptur i popatrzyła na Schuyler z niesmakiem. -Ty. -Ja-

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Prędeż mnie szlag trafi.

- Serio? Bo to faktycznie jest ta druga opcja - warknęła Schuyler.

Mimi pociemniała na twarzy.

— Mój brat cię do tego namówił, prawda?

— Tak. I to jemu powinnaś dziękować za ocalenie życia, jeśli naprawdę okażesz się niewinna

- odparła Schuyler.

Mimi splotła ręce i przyjrzała się skórkom przy paznokciach. Przewróciła oczami.

— Dobra, miejmy to już za sobą.

Uniosła podbródek i zamknęła oczy. Schuyler stanęła na palcach i zbliżyła usta do szyi Mimi.

Zatopiła kły... i tak jak w przypadku Olivera, została przeniesiona w przeszłość... widziała to, co kryło się we wspomnieniach Mimi... wróciła do wieczora, kiedy miał miejsce atak.

Mroczne podziemia Repozytorium. Mimi i Kingsley śmiejący się nad książką. Stojący wewnątrz pentagramu, oświetleni migoczącą i rzucającą cienie na kamienne ściany świecą.

Mimi nacinająca nadgarstek, skraplająca krwią płomień i wypowiadająca zaklęcie.

Ale... nic się nie stało.

Mimi zemdląca, zaklęcie nie zadziało.

Nie mogła obudzić w sobie nienawiści potrzebnej do wezwania srebrnokrwistego.

Ale Mimi nie była całkowicie nieprzytomna, tylko zamroczona. Widziała to, co się wokół niej działo, ale pamięć o tym zachowała się wyłącznie w jej podświadomości. Dlatego nie mogła się bronić, nie potrafiła wykazać, że jest niewinna. Teraz, poprzez próbę krwi, Schuyler widziała, co naprawdę się wydarzyło.

Kingsley zaklął i podniósł nóż. Naciął nadgarstek i wypowiedział słowa wezwania mocnym, głębokim głosem.

Ziemia zadrżała, otworzyła się w niej szczelina, z której wystrzelił płomień. Dym zasnuł powietrze i nagle pojawiła się zwalista, mroczna bestia, która skierowała się wprost do Bliss, a potem zabiła Priscillę Dupont.

W zamieszaniu Kingsley pomógł Mimi wstać i położył rękę na jej karku.

Schuyler poczuła chłodne dotknięcie, którego doświadczyła Mimi.

A potem Kingsley wypchnął Mimi z wnęki i pobiegł do Repozytorium, udając, że został przygnieciony regałem. To wszystko była robota Kingsleya.

Schuyler zachłysnęła się, pijąc krew Mimi. Wiedziała, że powinna przestać, ale nie mogła.

Chciała poznać, chciała pożreć wszystkie wspomnienia Mimi. Zobaczyła coś jeszcze: noc Balu Czterystu. After party w Angel Orensanz Foundation. Jacka Force'a wkładającego czarną maskę, noszoną przez chłopaka, który pocałował ją tamtego wieczora.

Więc to jednak z Jackiem się całowała.

Świadomość tego sprawiła, że wypuściła Mimi i cofnęła się, chowając kły. Pragnienie krwi było silne — kusiło ją, aby całkowicie wysuszyć Mimi, aby stać się Mimi, pochłonąć jej wspomnienia i jej istotę. Ale szok wywołany widokiem Jacka w masce ocalił ją przed przemianą w Obrzydliwość.

Schuyler zatoczyła się pod ścianę, czując zawroty głowy i widząc mroczki przed oczami, a Mimi zachwiała się i opadła na najbliższe krzesło.

130

* * *

Schuyler powróciła na posiedzenie Rady, kiedy tylko zdołała się jakoś pozbierać.

- Mimi jest niewinna - oświadczyła i tak jak nauczył ją Lawrence, otworzyła swój umysł przed nimi i pokazała to, co widziała we wspomnieniach krwi, przekazując wszystkim zgromadzonym wizję Kingsleya Martina wzywającego srebrnokrwistego.

CZTERDZIEŚCI SIEDEM

Zwolnioną Mimi oddano pod opiekę rodziny, a Schuyler czekała wraz ze swoim dziadkiem przy wejściu

do Pałacu Dożów na motorówkę.

- Czy Martinowie zostaną aresztowani? - zapytała. Lawrence popatrzył w niebo.

- Tak, oddział venatorów został już wysłany do ich domu. Ale nikogo nie zastaną.

- Czemu?

- Ponieważ na pewno już zniknęli - powiedział Lawrence. - Nie będzie łatwo ich znaleźć.

- Wiedziałaś?

- Nie, dopóki nie odczytałaś prawdy ze wspomnień krwi. Podejrzewałem, ale nie miałem pewności. A to nie to samo.

- Więc dlaczego nic nie zrobiłaś?

- Nic? - zapytał Lawrence z uśmiechem. - Ocaliłem niewinną dziewczynę przed śmiercią. Nie nazwałbym tego niczym.

— Ale powinieneś wysłać kogoś do Kingsleya...

— Nie bez dowodów.

— Czekalesz, a oni w tym czasie uciekli. Lawrence skinął głową.

— Tak, uciekli. Ale przynajmniej wiemy, że jesteśmy na właściwym tropie. Śmierć Priscilli Dupont nie miała być tylko demonstracją ich rosnącej siły. Zginęła, ponieważ była blisko odkrycia, kto w Radzie wspiera srebrnokrwistych. W dniu, w którym nastąpiła eksplozja, zamierzała właśnie skonfrontować się ze sprawcą.

— Zamierzała oskarżyć Martinów?

— Tak przypuszczam. -I czego to dowodzi?

— To dowodzi, że Cordelia i ja mieliśmy przez cały czas rację.

— Ale skoro Martinowie zniknęli...

— Martinowie nie byli jedynymi podejrzanymi— powiedział Lawrence. — To tylko szeregowcy, pionki zmuszone do wykonywania czyichś poleceń. Jeśli to, co mi powiedziała, jest prawdą, jeszcze jeden ród nadal skrycie wspiera srebrnokrwistych i odgrywa kluczową rolę w przygotowaniach do powrotu Lucyfera.

-Kto?

— I tego właśnie musimy się dowiedzieć.

Schuyler zastanowiła się nad słowami dziadka. Martinowie zostali zdemaskowani, ale gdzieś tam krył się władca marionetek, pociągający zza sceny za sznurki. Pomyślała o dokumentach, które Priscilla Dupont zgromadziła przed śmiercią.

— Dziadku, a co się stało z Maggie Stanford? Czy ktoś co wie? Lawrence potrząsnął głową.

-Nie.

Force'owie - Charles, Jack i Mimi - wyszli razem z sali sądowej. Na ich twarzach malowała

się ulga. Jack podszedł do Schuyler.

— Dzięki — powiedział po prostu.

Całowałaś mnie, pomyślała Schuyler. Pamiętała, co powiedział do niej tamtej nocy. *Skąd wiesz, że nie jest zainteresowany?* Czy wiedział, że ona wiedziała?

Chciała dotknąć jego policzka, znowu pocałować jego delikatną skórę, ale zobaczyła grymas niezadowolenia na twarzy Mimi. Nawet jeśli Mimi Force zawdzięczała Schuyler życie, nie znaczyło to, że zamierza w przewidywalnej przyszłości być dla niej miła.

— Nie ma za co — odparła. Dołączył do nich Charles.

— Kiedy wrócimy do Nowego Jorku, przyślę szofera po twoje rzeczy. Przygotowaliśmy już dla ciebie gościnną sypialnię. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

— O czym pan mówi? — zdziwiła się Schuyler.

— Właśnie, tato, co tu jest grane? - wtrąciła się Mimi.

— Jak widzę, twój dziadek zapomniał cię poinformować — uśmiechnął się ponuro Charles.

— Lawrence, być może zdobyłeś przywództwo w Radzie, ale ja wygrałem walkę o adopcję.

Schuyler, sąd czerwonych zdecydował w swojej nieskończonej mądrości, że zostaniesz oddana pod moją opiekę.

— Dziadku...

— To prawda. Apelacja została odrzucona. — Lawrence zwiesił głowę. - Charles, nie przypuszczałem, że będziesz się przy tym upierał. Przykro mi, Schuyler. Postaram się coś zrobić w tej sprawie, ale na razie musisz zamieszkać z Force'ami. Charlesie, nie ma potrzeby, żebyś posyłał po Schuyler. Sam ją odwiozę.

Mimi patrzyła na Schuyler z wściekłością, Jack był po prostu zaszokowany. Mieszkać z nimi?

Czy wszyscy poszaleli?

Schuyler patrzyła na oboje bliźniąt, uświadamiając sobie, że właśnie przetrwała próbę krwi tylko po to, aby stanąć przed nowym, znacznie trudniejszym wyzwaniem.

CZTERDZIEŚCI OSIEM

Powrót do domu okazał się dla Bliss lekkim rozczarowaniem po tym, jak skakano wokół niej w klinice doktor Pat. Została wreszcie wypisana. Przez kilka tygodni trzymano ją pod obserwacją, sprawdzając, czy stan ustabilizował się i czy nie wykazuje oznak skażenia.

Zastanawiała się, czego właściwie się po niej spodziewali — że się na nich rzuci? Potnie się?

Miała wrażenie, że pielęgniarki w klinice baty się podchodzić bliżej, bo coś się może stać.

Był pierwszy tydzień marcowych „ferii narciarskich” — normalnie ich rodzina siedziałyby już w samolocie do Gstaad, ale obowiązki w Radzie wezwały ojca do Wenecji. BobiAnne pojechała z nim, po to tylko, żeby wpaść do sklepów przy Via Condotti w Rzymie. Także Jordan towarzyszyła rodzicom, którzy uznali, że jest jeszcze za mała, żeby zostawiać ją samą.

Podczas rekonwalescencji starszej siostry znajdowała się pod opieką domowej służby. Bliss była w domu podczas procesu Mimi i ogłoszenia wyroku, ale czuła, że niemal na pewno Mimi nie stanie się żadna krzywda. Zbyt pięknie wyglądałoby jej życie bez dyktatorskich zapędów Mimi Force, a nie było siły, żeby wola wszechświata okazała się miła do tego stopnia, by Bliss pozbyła się jej raz

na zawsze.

Znudzona i samotna w apartamencie Bliss postanowiła z braku lepszych pomysłów zrobić porządku w szafie. Może przeprowadzić rytuał „wiosennych porządków”, zalecany zawsze przez pisma kobiece: wyrzucić wszystkie ubrania, których nie nosiło się od dwóch lat, które wyglądają na podniszczone lub które nie pasują.

Wyciągając stary sweter z grubej wełny, zrzuciła na podłogę podłużne aksamitne pudełeczko, które poturlało się i otwarło. Wypadł z niego naszyjnik.

To był szmaragd. Po Balu Czterystu zapomniała go oddać ojcu, żeby schował do sejfu. Bliss podniosła klejnot, nadal myśląc z nieufnością o związanej z nim legendzie. Zaiste, Zguba Lucyfera. Kiedy wkładała naszyjnik do pudełka, spod aksamitnej wyściółki wysunęło się zdjęcie.

Bliss podniosła je, żeby się przyjrzeć. Przedstawiało jej ojca, młodego i szczupłego, w myśliwskiej kurtce i wysokich butach. Koło niego stała kobieta, którą Bliss zawsze uważała za swoją matkę. Ojciec przechowywał spłowiała kopię tej fotografii w portfelu. Ta jednak była w lepszym stanie. Bliss widziała długie, jasne włosy matki i wielkie, sarnie oczy. Ojciec zawsze mówił, że je odziedziczyła. Ma oczy po matce. Oczy matki były zielone, jak jej własne, zielone jak szmaragd, który trzymała w dłoni.

Bliss obróciła zdjęcie.

Forsyth Llewellyn i Allegra Van Alen, 1982.

Allegra *Van Alen*?

Czy to nie była matka Schuyler?

Musiała nastąpić jakaś pomyłka. Jej własna matka nazywała się Charlotte Potter. O co tu chodziło?

Bliss wciąż jeszcze zastanawiała się nad tajemniczym zapisem, gdy od strony okna dobiegł ją głośny brzęk. Na podłodze leżało roztrzaskane szkło, więc podbiegła zobaczyć, co się stało.

W kącie drżał chłopak, którego stopy były pocięte odłamkami szkła. Miał ten sam T-shirt i dżinsy, w jakich widziała go po raz ostatni. Jego ciemne włosy były mokre i splątane, ale patrzył na nią tym samym smutnym, zawstydzonym wzrokiem, Dylan! To naprawdę był on.

Żywy.

Nie spuszczał z niej oczu, oddychał płytko i urywanie. Podbiegła do niego, ciągle trzymając szmaragd. Dylan spojrzał na Bliss. Wzdrygnął się, niemal jakby zranił go sam widok klejnotu.

- Żyjesz! - wykrzyknęła z radością Bliss. - Ale jesteś ranny... Czeka, opatrę cię.

23 LISTOPADA 1872

CIAŁO ZAGINIONEJ DZIEDZICZKI ZNALEZIONE W RZECE

Nowojorska policja odnalazła ciało Maggie Stanford
dwa lata po jej zaginięciu. Podejrzewa się morderstwo.
Odnalezione ciało zaginęło ponownie.

CIAŁO ELEGANCKO UBRANEJ,
pięknej kobiety znaleziono dzi-
siejszego ranka w rzece Hudson.
Policjant Charles Langford na-
trafił na zwłoki o szóstej rano
i zgłosił sprawę do komisariatu
X rewiru. Ciało zostało wy-

da i Dorothei Stanford, któ-
ra zmarła dwa miesiące temu
na skutek obłąkania spowodo-
wanego zaginięciem córki. Suk-
nia, którą zgodnie z zeznania-
mi świadków Maggie Stanford
miała na sobie na Balu Patry-

łowione z wody i przeniesione na posterunek. Na ciele i głowie ofiary znajdowały się ślady pozwalające podejrzewać, iż kobieta została zamordowana. Ofiara miała rude włosy i zielone oczy, ubrana była w białą jedwabną suknię balową, ozdobioną różowymi wstążkami. Próbując ustalić jej tożsamość, policjanci w kieszonce sukni znaleźli chusteczkę z inicjałami „M.S.”.

Dzięki temu ofiarę zidentyfikowano jako Maggie Stanford, córkę nieżyjących już barona olejowego Tiberiusa Stanfor-

cjuszkowskim, odpowiada opisem sukni, w jaką była ubrana martwa kobieta. Niezwykle dobrze zachowane ciało, niemal bez śladów rozkładu, zostało przekazane do szpitala na dalsze badania. Jednakże następnego dnia zniknęło z kostnicy. Policja jest całkowicie zaskoczona tą dziwną sprawą.

Dylan potrząsnął głową.

— Nie ma teraz czasu. Wiem, kim jest srebrnokrwisty.

Podziękowania

Ta książka nie powstałaby bez nieustającej zachęty i wsparcia ze strony czytelników.

Dziękuję wszystkim, którzy przysyłali e-maile, umieszczali notki na blogach, pisali recenzje i postowali na forach poświęconych *Błękitnokrwistym*. Jesteście świetni!

Z całego serca dziękuję wspianiałemu zespołowi z wydawnictwa Hyperion za cierpliwość, wsparcie i entuzjazm: Jennifer Besser, Helen Perelman, Brendzie Bowen, Nellie Kurtzman, Jennifer Zatorski, Colinowi Hostenowi, Elizabeth Clark, Angusowi Killickowi i Deborah Bass.

Jestem głęboko wdzięczna Richardowi Abate i Josie Freedman z ICM.

Podziękowania i ucałowania dla mojej rodziny i przyjaciół, z których większość zaniedbywałam, zajęta pisaniem tej książki (i wielu innych). Mam nadzieję, że kiedyś znajdę czas na życie towarzyskie. Szczególnie dziękuję moim ulubionym siostrzeńcom i siostrzenicom, którzy dostarczali mi inspiracji: Nicholasowi i Josephowi Green, Alexandrowi, Valerie i Lily Johnston.

Jak zawsze niczego nie osiągnęłabym bez mojego męża, Mike'a Johnstona, który żył wraz ze mną tą książką, ale ponieważ nie znosi sentymentalnych przemówień, oszczędzę mu ich. I wreszcie gorące uściski dla naszego przyszłego wampirzego dziecka, które towarzyszyło mi na każdym kroku

Drzewo rodziny
VAN ALEN

- ☐ = zerwana więź
- (m) = małżeństwo
- (w) = nieśmiertelna więź
- z = znane imiona z przeszłych wcieleń

Cordelia Van Alen — (m) — Lawrence Van Alen
Serafiel (w) *Metatron*
Aniol Pieśni *Niebiański Skryba*
 z Catherine Carver z John Carver

Steven Chase — (m) —
 (czerwonokrwisty)

Allegra Van Alen — ☐ —
Gabriela Bez Szkazy
 z Rose Standish

Charles (Van Alen) Force — (m) — Trinity Burden Force
Michał o Czystym Sercu
 z Myles Standish

Schuyler Van Alen
Dimidium cognatus
 (półkrew)

Benjamin (Jack) Force — (w) —
Abbadon
Aniol Zniszczenia
 z Waleriusz
 z Ludwik Orleański
 z William White

Madeleine (Mimi) Force
Azrael
Aniol Śmierci
 z Agrypiną
 z Elisabeth Lorraine-Lillebonne
 z Susannah Fuller

Drzewo rodziny
VAN ALEN

☐ = zerwana więź
(m) = małżeństwo
(w) = nieśmiertelna więź
z = znane imiona
z przeszłych wcieleń

Cordelia Van Alen — (m) — Lawrence Van Alen
Serafiel (w) Metatron
Aniol Pieśni Niebiański Skryba
z Catherine Carver z John Carver

Steven Chase — (m) — Allegra Van Alen
(czerwonokrwisty) Gabriela Bez Szary
z Rose Standish

Schuyler Van Alen
Dimidium cognatus
(półkrew)



Charles (Van Alen) Force — (m) — Trinity Burden Force
Michał o Czystym Sercu
z Myles Standish

Benjamin (Jack) Force — (w) — Madeleine (Mimi) Force
Abaddon Azrael
Aniol Zniszczenia Aniol Śmierci
z Waleriusz z Agrypiną
z Ludwik Orleański z Elisabeth Lorraine-Lillebonne
z William White z Susannah Fuller

Drzewo rodziny
VAN ALEN

☐ = zerwana więź
(m) = małżeństwo
(w) = nieśmiertelna więź
z = znane imiona
z przeszłych wcieleń

Cordelia Van Alen — (m) — Lawrence Van Alen
Serafiel (w) Metatron
Aniol Pieśni Niebiański Skryba
z Catherine Carver z John Carver

Steven Chase — (m) —
(czerwonokrwisty)

Allegra Van Alen — ☐ —
Gabriela Bez Skazy
z Rose Standish

Charles (Van Alen) Force — (m) — Trinity Burden Force
Michał o Czystym Sercu
z Myles Standish

Trinity Burden Force

Schuyler Van Alen
Dimidium cognatus
(półkrew)

Benjamin (Jack) Force — (w) — Madeleine (Mimi) Force
Abbadon Azrael
Aniol Zniszczenia Aniol Śmierci
z Waleriusz z Agrypiną
z Ludwik Orleański z Elisabeth Lorraine-Lillebonne
z William White z Susannah Fuller

Madeleine (Mimi) Force
Azrael
Aniol Śmierci
z Agrypiną
z Elisabeth Lorraine-Lillebonne
z Susannah Fuller